

JAROSŁAW MOLENDĄ

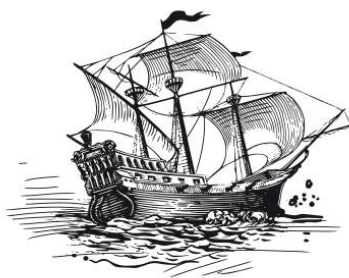
ZAKAZANA
HISTORIA
HODKRYCIA
AMERYKI



BELLONA

JAROSŁAW MOLENDĄ

ZAKAZANA
HISTORIA
HODKRYCIA
AMERYKI



BELLONA

Warszawa

Jarosław Molenda

Zakazana historia odkrycia Ameryki

ISBN: 978-83-11-16207-5

Spis treści

Wstęp

Prowadził ich Ägir

Wysłannicy Pierzastego Węża

Faraonowie na kokainowym haju

Ananas – przysmak Cezara?

Podróże świętego Brendana

Wyspy Błogosławione – mit czy rzeczywistość?

Zakończenie

Zdjęcia

Bibliografia

Wstęp

Odkrycia w dzisiejszych czasach nie są już czymś zadziwiającym lub mistycznym. W rzeczywistości stanowią rezultat wielu małych, niepewnych kroków. Jednocześnie zawdzięczamy je także ludziom, którzy nie bali się realizować swych szalonych wizji. Jeden pomysł połączony z drugim doprowadzał do urzeczywistnienia lub zrozumienia trzeciego. W jakim punkcie byłaby nasza wiedza bez owych bezimiennych badaczy, lecz także bez niepoddających się zapaleńców w rodzaju Schliemanna, Bingham, Evansa czy Cartera?

Niestety obszerne rozdziały przeszłości pograżyły się w niepamięci, a scheda po ludziach mieszkających niegdyś po obu stronach Atlantyku i Pacyfiku zagubiła się w nieświadomości. Spuścizna po ludach i kulturach trafia do nas różnymi drogami. Jest ona zniekształcona błędną interpretacją bądź niedostatecznymi informacjami. Jednym źródłem jest to, co widzimy i weryfikujemy na podstawie dawnych i współczesnych odkryć archeologicznych. Innym to, co znajduje się od dawna w starożytnych tekstach, które trzeba jednak umieć odczytać.

Historia wciąż pozostaje nie nauką, a swoistą sztuką, przeważnie lekceważącą święte teksty, które w różnych kulturach rodziły się w ciągu wielu stuleci, wchłaniając jeszcze starsze mity i legendy. Znalazły się w nich rzeczywiste zdarzenia, nieraz dziejące się w bardzo odległej przeszłości. Odczytanie na nowo nie tylko starożytnych świadectw religijnych pomogło potwierdzić wiele wydarzeń historycznych. Jeśli weźmiemy poprawkę na swoisty „pryzmat mitu”, to okazuje się, że dzięki babilońskiemu *Eposowi o Gilgameszu*, hinduskim *Wedom*, Biblii, indiańskiemu *Popol Vuh* otrzymujemy doskonały materiał faktograficzny!

Z perspektywy postępu technicznego osiągniętego w nowożytnej Europie łatwo patrzeć z góry na dziedzictwa kultury materialnej starożytnych. Spoglądając z wyższością na techniczną tradycję antyku, łatwo popaść w śmieszność, czego przykładem jest Edward Gibbon, XVIII-wieczny historyk angielski, który w swym *Zmierzchu i upadku cesarstwa rzymskiego* stwierdził, że kultura materialna Rzymian w Brytanii dorównywała we wszystkim tej w Anglii jego czasów, z jednym tylko wyjątkiem: oto w celu ogrzewania mieszkań nie znała wspaniałego wynalazku kominka, z którego braku musiała się posługiwać tak prymitywnym urządzeniem, jak... centralne ogrzewanie domów¹.

Czy uwierzylibyśmy, że starożytni są w stanie wznieść konstrukcje wielkości piramid, gdyby nie dotrwały do naszych czasów? Każda z kultur robiła to na swój sposób i w innym celu, ale trzeba pamiętać, że coś wyższego niż piramida Cheopsa wzniesiono dopiero w XIX wieku. Była to wieża Eiffla. Dzisiaj wiele piramid jest stosem gruzu lub piachu, jednak nawet taki krajobraz jest żywym przypomnieniem tradycji, która przetrwała tysiąclecia i dała światu najtrwalszy symbol jego starożytnej przeszłości.

Nie zapominajmy ponadto, jak konieczność zachowania tajemnicy wpływała na rozprzestrzenianie się wiadomości o odkryciach geograficznych. Znajomość nowego szlaku mogła być tak skuteczna jak najlepsza broń, jak wynalazek wojenny, ważny tak ze względów ekonomicznych, jak i konfliktu zbrojnego. To dzieje stare jak świat – od podróży Fenicjan po rywalizację portugalsko-hiszpańską w XV wieku. Niezmierzone przestrzenie oceanu nie były dla prehistorycznych i antycznych społeczności przeszkodą, wręcz przeciwnie, stanowiły pomost ułatwiający przemieszczanie się ludzi.

Kontakty międzykontynentalne miały miejsce, lecz trudno zaprzeczyć, że nie zaistniało coś takiego jak „wpływ” czy „analogia”, tak jak nastąpiło to po wyczynie Krzysztofa Kolumba. Ale już tysiąclecia przed nim byli realni ludzie na rzeczywistych okrętach z konkretnymi ideami, dzięki którym wielkie kultury weszły w kontakt i – choć nietrwale – połączyły się bez tak tragicznych konsekwencji jak w XVI wieku, gdy w wyniku chorób przywiezionych przez Europejczyków oraz przemocy w imię Chrystusa zmarła zdecydowana większość populacji obu Ameryk.

1. Morze w kulturach świata, red. A. Piskozub, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk 1976, s. 199. [\[wróć\]](#)

Prowadził ich Ägir

Przez Ocean Atlantycki w kierunku zachodnim wiodły dwie historycznie udokumentowane trasy. Najbardziej znana jest ta, którą przemierzył Krzysztof Kolumb. Tam spotyka się najlepsze warunki pogodowe, korzystne silne pasaty, a przede wszystkim prądy: Północnorównikowy, zwany niekiedy Kanaryjskim, który bierze swój początek w okolicach północno-zachodniej Afryki, i Południoworównikowy, płynący z okolic południowego krańca Afryki. Istnieje wiele przesłanek, że Kolumb nie był pierwszym, który podążył tą trasą.

Drugi szlak, o którym wiemy, wiódł z północno-zachodniej Europy przez Szetlandy, Wyspy Owcze, Islandię, Grenlandię i Ziemię Baffina do Labradoru. Mniej więcej od końca X wieku do początków XVI wieku normańscy koloniści żyli na południowo-zachodnim wybrzeżu Grenlandii – niecałe 400 kilometrów od Ameryki! Musimy w tym miejscu zrobić pewną uwagę. Nasze rozumienie nazwy „Normanowie” nie występuje na żadnym z obszarów objętych we wczesnym średniowieczu kolonizacją skandynawską, nie mówiąc już o samej Skandynawii.

Nieporozumienie w nazewnictwie wynika stąd, że wczesnośredniowieczni Norwegowie identyfikowali się z etnonimem Nordmen – „ludzie północy”, a kronikarze frankijscy używali skrótu myślowego, nadając wszystkim Skandynawom jedno, geograficznie uzasadnione miano Nordmand (notabene również oznaczające „ludzi północy”). Rozróżnienie obu pojęć musiało stwarzać trudności nawet ludziom wykształconym. Z czasem powstała zbitka językowa określająca tak samo Normanów z Norwegii jak i Normanów z Normandii ¹.

Pierwsza odnotowana wzmianka na ich temat pochodzi z 793 roku, kiedy to złupili klasztor w Lindisfarne na niewielkiej wyspie położonej u północnych brzegów Anglii. W następnym roku los Lindisfarne podzieliły klasztory w Jarrow i Wearmouth. Tysiące ust szeptało w Europie modlitwę: „Od wściekłości Normanów uchowaj nas, Panie!”. Nie uratowało to Fryzów, gdy w 810 roku dwieście wikingów pojawiło się na horyzoncie.

Podobnego losu nie uniknął nawet Paryż – położony przecież w głębi lądu, a nie na wybrzeżu – w 885 roku, kiedy to większość jego mieszkańców została wyrżnięta w pień pomimo rozpaczliwej obrony. Król Franków okupił pokój krainą, zwaną później Normandią, i ręką córki, którą oddał za żonę wodzowi najeźdźców – jarłowi Rollonowi. Łupieżcy zapuszczali się także na Półwysep Iberyjski, ale już podczas pierwszej wyprawy w 884 roku arabscy kalifowie skutecznie oparli się ich zakusom, stając się ich pierwszym w historii godnym przeciwnikiem.

W 867 roku norweskich żeglarzy, płynących w kierunku Wysp Owczych, dopadł sztorm i pogał na zachód, ku odludnemu wybrzeżu, które wzbudziło ich wielkie zainteresowanie. Wyszli więc na ląd i znaleźli się w rzadkim lesie. Szli dalej i wspięli się na jakieś wzniesienie. Stąd mogliby ujrzeć smugę dymu albo inny ślad ludzkiej obecności. Wszystko jednak wskazywało na to, że wyspa jest bezludna.

Przywódca grupy, Gardar, chciał możliwie szybko wrócić do ojczyzny z wiadomością o sensacyjnym odkryciu. Przedtem jednak wikingowie opłynęli nowy ląd i stwierdzili, że jest to prawie okrągła wyspa. Na cześć kapitana nazwali ją Gardarsholm. Ponoć pierwszym mieszkańcem Islandii, bo o niej mowa, miał być Ingolf Arnarson, który osiedlił się na niej około 870 roku w miejscu, które nazwał Reykjavik – „zatoka dymów”.

W ślad za nim podążyli następni koloniści. Wiemy o co najmniej pięciu ekspedycjach, które zostały podjęte w kierunku zachodnim. Ponad sto lat później z Islandii na poszukiwanie nowych ziem wyruszył inny wiking – Eryk Rudy, który odnalazł Zieloną Ziemię. Obaj wyruszyli za morze, kierując się pogłoskami o wcześniejszym odkryciu odległych wysp. Grenlandię przypadkowo dostrzegł Gunnbjörn Ulfsson około 900 roku.

Nieudaną próbę jej zasiedlenia Snobjörn Galti miał podjąć w 977 roku. Wszystkie te odkrycia nowych wysp były ubocznym skutkiem żeglarskiej aktywności wczesnośredniowiecznych Skandynawów, którzy przemierzali znane i nieznanne morza w poszukiwaniu szczęścia na odległych lądach.

Wyprawy wikińskie stanowiły dla młodych mężczyzn okazję do wykazania się swą walecznością i odwagą, zgromadzenia majątku oraz zdobycia sławy niezbędnej do zyskania prestiżu społecznego.

W tym miejscu dodajmy, że pisany małą literą termin „wiking” nie ma żadnej konotacji etnicznej czy geograficznej. Oznacza pewne zjawisko kulturowe, charakterystyczne dla VIII–IX wieku. W Irlandii określano ich mianem Finngall („jasnowłosi cudzoziemcy” – Norwegowie) oraz Dubgall („ciemnowłosi cudzoziemcy” – Duńczycy), w Niemczech nazywano ich Askemannami, w Bizancjum – Warangami, w Rosji – Waregami².

Słowo *viking* w języku nordyckim oznacza „piractwo” lub „wyprawę łupieżczą”³. Duńczycy zdobywali Wielką Brytanię i wybrzeża Europy, Szwedzi wyprawiali się przez kontynent, wykorzystując rzeki, docierali do Konstantynopola i państw Orientu. Cieszyli się opinią nie tylko dobrych żeglarzy, lecz także znakomitych żołnierzy. Gwardia przyboczna cesarza Bazylego II składała się z sześciu tysięcy wikingów.

Pamiętajmy, że nazwę Skandynawia podał jako pierwszy Pliniusz Starszy, który jednak obejmował nią tylko dzisiejszą południową Szwecję oraz wyspy duńskie. Podobnie tej nazwy używano w początkach średniowiecza dla obszaru o zbliżonym zasięgu, a mianowicie Półwyspu Jutlandzkiego, wysp duńskich, południowej Norwegii. Istnieje wiele wyjaśnień nazwy Skandynawia, jednak najbardziej przekonujące wydaje się to, które wywodzi ją od Skaddeey, co oznacza wyspę spowitą mgłami.

Wybitne miejsce w kształtowaniu się kultury tego obszaru zajmowała kraina pięciuset wysp – późniejsza Dania. Pewne przesłanki pozwalają sądzić, że już w III tysiącleciu p.n.e. pływano na szlakach przekraczających setki kilometrów. Studia nad niektórymi rytami łodzi z Bohuslan w południowo-zachodniej Szwecji, a także wyobrażenia łodzi z Jarrestad w Skanii przynoszą dwie sugestywne teorie.

Pierwszą, że Morze Północne od dawna nie stanowiło przeszkody nie do przebycia, a drugą, że sławne wyprawy wczesnośredniowiecznych wikingów korzeniami mogą sięgać aż po starożytność. Decydującym momentem w postępie techniki żeglarskiej było bez wątpienia użycie żagla jako środka napędowego łodzi i statków, a także zastosowanie steru i wynalezienie sposobu na zamocowanie masztu. Sądzi się, że te ulepszenia wprowadzili już żeglarze z pięciuset wysp na długo przed wikingami⁴.

Trzeba też w tym miejscu podkreślić, że ci ostatni byli nie tylko łupieżcami, wśród nich znajdowali się rolnicy, rybacy, kupcy, rzemieślnicy,

artyści, jak w każdym innym narodzie. Im zawdzięczamy część systemu prawnego, tradycję wolności osobistej oraz przepiękne literacko sagi. W większym stopniu wzbogacali niż niszczyli cywilizację zachodnią. Niewątpliwie byli znakomitymi podróżnikami, potrafili nawiązać pośrednie kontakty nawet z odległymi Chinami. Jednak to załogi, którymi kierowali dowódcy wywodzący się z terenów dzisiejszej Norwegii, pokonały Ocean Atlantycki i dotarły do Ameryki.

Jednak to nie oni pierwsi spojrzeli z zainteresowaniem w kierunku zachodnim. Już Kasjusz Dion, historyk z bityńskiej Nicei z przełomu II i III wieku, twierdził, że za jego czasów łodzie wiosłowe ze skóry, którymi posługiwali się mieszkańcy wybrzeży zachodniego Oceanu – mimo że przeznaczone w zasadzie do poruszania się po rzekach i ich estuariach – były jednak na tyle mocne, aby stawiać czoło falom morskim.

Lud Oestrymniów, identyfikowany z plemieniem Osismii, zamieszkującym Galię Lugdunensis, rozciągającą się między rzekami Loarą, Sekwaną, Marną i Saoną, posługiwał się nieco innym typem łodzi, o czym pisał pochodzący z Etrurii poeta rzymski Rufus Awienus:

„U stóp tego przylądka leży Zatoka Ojstrymnicka. A z niej wynurzają się wyspy Ojstrymnidy, rozrzucone szeroko, obfitujące w kruszce, jak cyna i ołów. Ludu tu wiele, dumnego i pracowitego. Wszyscy zajmują się handlem i na uszytych łodziach prują wzburzoną toń i głębiny oceanu pełnego zwierząt. Nie umieją budować statków z sosen ani z klonu, ani nie zbijają galer z jodeł, jak jest ogólnym zwyczajem, lecz robią sobie czółna ze zszytych skór i na nich puszczają się na dalekie morze”⁵.

Z kolei uznanie Juliusza Cezara zyskały *ponta* – podobne, ale wykonane z drewna jednostki sojuszników Oestrymniów – Wenetów. Ich łodzie przez swój wygląd, zwłaszcza wysoki zakrzywiony dziób, wydają się być konstrukcją poprzedzającą jednostki wikingów. Oto jak opisywał je autor *Wojny galijskiej*:

„Dna bardziej płaskie niż w naszych okrętach, aby mogły się łatwiej wyzwać z mielizn i odpływów; dzioby równie wysoko podniesione jak rufy były przystosowane do wysokiej fali i burz; okręty były w całości zbudowane z dębiny, aby mogły wytrzymać wszelkiego rodzaju napór fal oraz urażenia; żebra z belek grubych na jedną stopę były razem zbijane przy pomocy żelaznych gwoździ grubości palca; kotwice były uwiązane nie na powrozach, ale na żelaznych łańcuchach; zamiast płótna żaglowego korzystano ze skór o grubej, a także i o delikatnej wyprawie, czy to

z powodu niedostatku lnu, czy ze względu na nieznamość jego przeróbki, czy też – i to jest bardziej prawdopodobne – dlatego że ich zdaniem płócienne żagle nie mogłyby wytrzymać tak gwałtownych burz i tak bardzo silnych wichrów Oceanu oraz należycie utrzymywać w ruchu okręty o tak wielkim ciężarze. A gdy dochodziło do spotkań naszej floty z tymi okrętami, to przewyższała je ona tylko szybkością i napędem wiosłowym, pod wszystkimi innymi względami były one lepiej i bardziej odpowiednio dostosowane do właściwości tutejszego morza i gwałtowności burz [...]. Do tego trzeba dodać, że gdy płynęły z wiatrem, o wiele łatwiej znosiły burzę, bezpieczniej osiadały na mieliznach, a pozostawione przez odpływ nie obawiały się skał i raf” [6](#).

Wydaje się jednak, że Rzymianin znacznie przesadził w swych komplementach. Przede wszystkim wątpliwe, czy wypowiadając tę opinię, miał na myśli inne wody niż kanał La Manche, gdzie rzeczywiście masywne i niewielkie żaglowo-wiosłowe *ponta*, czyli czółna-jednodrewnki, zwane *linter*, mogły zdawać egzamin, natomiast z pewnością nie zaliczyłyby go na Atlantyku.

W grę mogą wchodzić również barki Galów z Akwitanii, przez Celtów określane mianem *vegeia* i *celsa*. Domniemane szczątki takiego statku z IV wieku wydobyto z Tamizy, był on nitowany żelaznymi nitami i miał około 20 m długości i około 5 m szerokości. Niestety, niewiele potrafimy powiedzieć o walorach żeglugowych barek o płaskim dnie, które były zbijane z desek dębowych, ale pomost robiono z drewna jodłowego, maszt zaś z wysokopiennych sosen.

Burty były nierzadko rzeźbione, a na pomoście stał namiot chroniący od wiatru i deszczu. Barki miały często ozdobiennie rzeźbione dzioby i rufy, widzimy tu szczególnie psie pyski, niedźwiedzie mordy lub też popiersia kaczek. Podobne zakończenia dziobów i ruf miały magiczny charakter, gdyż wymienione zwierzęta były atrybutami bądź kobiecego bóstwa – Arduinny, Epony, bądź też bóstwa solarne – Belenosa. A są to zwierzęta, zwłaszcza pies, prowadzące dusze zmarłych w zaświaty.

Te duże mocne barki były używane także do dalszych podróży morskich, dawały się świetnie nieść fali. Więcej wiadomości o typach statków, barek i ich wyposażeniu dostarczają nam kamienne stele grobowe przedstawiające żeglarzy, jak na przykład znana płyta nagrobna Blussiusa z Moguncji oraz płyta z Neumagen pod Trewirem pochodząca z I wieku n.e. Inna, z Aix-en-Provence, przedstawia kształt żagli rejowych, często

trójkątnych, robionych ze skóry bądź z grubego płótna lnianego (ozdobnik litery w słynnym mszale z Tours datowanym na XII wiek przedstawia barcę wiozącą zmarłego św. Marcina).

Dalej, obok ogólnej sylwety statków widzimy rozmaite kształty ruf, dziobów, burt, kilów, stępek, sterów, ruchomych rej, kotwic, wiosł itp. Większe statki były budowane głównie w Arelate i Narbo (Arles i Narbonne). Istniały tam odrębne od nautów rzecznych stowarzyszenia marynarzy morskich. Na steli z III wieku n.e. z Narbonne widzimy żaglowce *corbita* i *ponto*. Spotykało się je także na wodach północnej Galii. Inny typ statku do podróży morskich, może nawet po oceanie, nazywa się *geseoreta*. Jeśli chodzi o plemiona celtyckie, to żegluga na Morzu Północnym i Atlantyku była chyba bardziej rozwinięta niż na Morzu Śródziemnym⁷.

Wskazuje na to odkrycie domostwa nad Fiordem Eryka w Brattahild na Grenlandii, które nie ma ani jednej cechy świadczącej, że jest pochodzenia normańskiego, czyli na przykład platform wzdłuż ścian czy centralnie umieszczonego paleniska. Wejście znajdowało się z boku, zamiast w szczytowej ścianie, w dodatku dom miał doprowadzoną bieżącą wodę, a takiego systemu nie znaleziono w żadnym domu normańskim z X wieku w całej Skandynawii.

Natomiast zarysy podłóg całego szeregu domów wiejskich z X wieku w Irlandii, nieoparte na wzorach normańskich, są identyczne z zarysem podłogi domu w Brattahild we wszystkich podstawowych cechach, włącznie z umiejscowieniem paleniska i innych wewnętrznych struktur, a także stosunkiem długości do szerokości. Jedną z uderzających cech tych celtyckich konstrukcji – która jest wciąż charakterystyczna dla chat w północnej Irlandii i Szkocji – jest to, że są one niezmiernie wąskie i długie⁸.

Potwierdzeniem styczności przybrzeżnych kultur po obu stronach oceanu miały być słowa galijsko-celtyckie znajdujące się w słownictwie niektórych szczepów indiańskich, zwłaszcza z terenów dzisiejszych Karoliny, Wirginii i Kentucky. Posługując się starym językiem gaelickim, można było się ponoć porozumieć na przykład z Indianami Tuscarora, którzy mieli pamiętać podróże ich plemiennego bohatera o imieniu Madoc. Ponadto na stanowiskach eskimoskich archeologowie odkryli pewną liczbę przedmiotów wykonanych z brązu, żelaza i miedzi, co wskazuje, że musiało dochodzić do wymiany towarów.

Społeczności nadatlantyckiej Europy już w swych plemiennych czasach rozwoju obeznane były z żywiołem morskim daleko różnym od tego, jaki przedstawiał śródziemnomorski zespół mórz wewnętrznych. Mówiąc o tych ludach, należy zacząć od tego, który najdłużej bytuje na wybrzeżach atlantyckich Europy. Ludem tym jest ostatnia w nadatlantyckiej Europie społeczność przedindoeuropejska – Baskowie.

Naród ten, nazywający siebie Euskaldunak, stanowi zgrupowany przy zachodnich krańcach Pirenejów, po obu stronach granicy hiszpańsko-francuskiej, szczątek przedindoeuropejskiej ludności, która zajmowała przed przybyciem Indoeuropejczyków większą część nadatlantyckiej Europy, w tym także Wyspy Brytyjskie. Z ludnością tą wiążą się kultury megalityczne Europy Zachodniej, jej też przypisuje się rozprzestrzenienie tych kultur szlakami morskimi, a także ekspansję kultur Starego Świata do Ameryki Środkowej.

Jako argumentu na rzecz ostatniej hipotezy używa się dwudziestkowego sposobu liczenia przyjętego w języku Basków. Uważa się, że od nich ten sposób liczenia został zapożyczony przez niektóre współczesne języki europejskie, jak francuski czy duński, skoro używająca tych języków ludność osiedlała się na terenach o baskijskim podłożu etnicznym. Dwudziestkowy sposób liczenia znaleziono również po drugiej stronie Atlantyku w języku Majów i przypisuje się to zapożyczeniu od przodków dzisiejszych Basków [9](#).

Donosił o tym Diego de Landa, który w latach 60. XVI wieku był prowincjałem na Jukatanie i w Gwatemali: „Indianie nie tylko liczą czas poprzez lata i miesiące, jak wspomnieliśmy powyżej. Mają także pewien sposób liczenia poprzez wieki, liczą je po 20, licząc 13 dwudziestek za pomocą jednej z 20 liter miesięcznych, które nazywają *Ahau* [...]. W ten sposób łatwo jest starcowi, o którym pisałem w pierwszym rozdziale, pamiętać sprawy sprzed trzystu lat. Jeśli nie znałbym tego ich sposobu liczenia, to nie uwierzyłbym, że można pamiętać rzeczy z tak dawna” [10](#).

Na niezwykle zdolność zapamiętywania faktów przez członków kultur, w których pismo nie zostało wynalezione, zwraca uwagę jeden z najznakomitszych współczesnych znawców cywilizacji Majów, Michael D. Coe:

„Ludzie niepiśmienni zdolni są do zdumiewających wyczynów pamięciowych, jak mogą o tym zaświadczyć etnologowie. Rozległe historie plemienne zostały powierzone pamięci bardów i innych specjalistów; [...]

Ja sam mogę służyć za świadka takiego pamięciowego wyczynu. Pewnego późnego, zimnego popołudnia w trakcie Shalako, wielkiego rytuału u Zuni Pueblo w Nowym Meksyku, mój przyjaciel, Vincent Scully i ja byliśmy w Domu Rady Bogów; wokół ścian siedzieli pełni powagi kapłani, wyśpiewujący niezmiernie długi Mit Stworzenia Zuni, godzina za godziną głębokiego dudnienia unisono, w którym ani jedno słowo czy sylaba nie mogły być pomyłone. I to wszystko bez pomocy pisanego tekstu. Jedna pomyłka w recytacji oznaczałaby katastrofę dla plemienia” [11](#).

Lekceważenie tradycyjnych przekazów tubylczych to inaczej przemilczanie, a pośrednio wypaczenie prawdy historycznej. Nowoczesna nauka powinna uwzględniać i poddawać rzetelnej analizie wszystkie dostępne źródła. Czy można zatem się dziwić gorzkiemu stwierdzeniu indiańskiego antropologa, gdy powiada: „Istnieje bardzo silne uprzedzenie w dowierzaniu jakimukolwiek indiańskiemu przekazowi – po prostu dlatego, że jest to źródło indiańskie. Często bywa to niebezpieczne dla naukowców, którzy przyjmują postawę proindiańską i sugerują, że Indianie mogą dokładnie pamiętać cokolwiek z odległych wydarzeń” [12](#).

Szczególnie interesujące było odkrycie z kanadyjskiej wyspy Ellesmere, która oddzielona jest od Grenlandii Cieśninami Smitha, Kennedy’ego, Robesona. Znalaziono tam fragmenty kolczugi od średniowiecznej zbroi europejskiej wraz z wełnianą tkaniną, żelaznymi nitami łodzi i kawałkami drewnianych beczek datowanych na XIII wiek. Przedmioty te mogły się tam znaleźć na skutek wypraw kupieckich, to sugerowałoby znalezienie części składanej wagi z brązu służącej do ważenia małych przedmiotów. Najprawdopodobniej Normanowie docierali sporadycznie również do Ziemi Baffina, a mała drewniana figurka z końca XIII wieku wykopana tam w domu jednej z eskimoskich grup kultury *thule* wydaje się ukazywać Europejczyka ubranego w długie szaty z krzyżem na piersi [13](#).

Wiele śladów sąsiedztwa międzykulturowego znajduje się po stronie autochtonów – „Europejczycy” byli dla nich źródłem niezwykłych przedmiotów, głównie metalowych, które przemieszczały się nieraz na znaczne odległości, jak choćby norweska moneta Olafa Kyrre wybita w latach 1065–1080, która zawędrowała aż do stanu Maine, stając się podstawą do konstruowania fantastycznych wizji o dalekiej drodze Skandynawów w głąb kontynentu [14](#).

Pojedyncze przedmioty znajdujące wzdłuż północno-wschodniego skraj Kanady pochodzą głównie z osad Inuitów datowanych na XI–XIII wiek. Ich liczba wskazuje, że wzajemne kontakty musiały być częstsze i bardziej zróżnicowane niż tych kilka utarczek wspomnianych w sagach. Świadczy o tym eskimoskie naśladownictwo wytworów europejskich – na przykład 167 kościanych „stylu sów”, pojemniki klepkowe czy też rzeźby ukazujące „obcych”. Jednakże ewentualne transakcje wymienne nie mogły mieć znaczenia gospodarczego dla żadnej ze stron.

Podróże przez Atlantyk – mniej lub bardziej intencjonalne – odbywały się w obu kierunkach. Włoski uczyony Paolo Emilio Taviani cytuje słowa Kolumba o jego wizycie w Irlandii, zawarte w komentarzu do *Historia Rerum Gestarum* Eneasza Sylwiusza Piccolominiego, przyszłego papieża Piusa II: „Ludzie z Katalu przybyli ku wschodowi. Widzieliśmy wiele rzeczy godnych uwagi, zwłaszcza w Galway w Irlandii męża i żonę o dziwnym wyglądzie dwóch wyschniętych polan”.

Historia zachowała zapisy kilku takich „odkryć” Europy z Ameryki i niewątpliwie było ich więcej, lecz pamięć o nich nie przetrwała. Część z tych podróżników było Eskimosami, którzy dokonali tego wyczynu w łodziach ze skóry zwanych umiakami. Zachowane egzemplarze takich pływających jednostek mogły pomieścić do 40 pasażerów. Na olbrzymich kanu z kory drzewnej do brzegów naszego kontynentu mogli dotrzeć archaiczni Indianie. Takie łodzie, napędzane wiosłami przez 20–30 Beothuków, spotykano daleko od wschodnich wybrzeży Nowej Fundlandii jeszcze w XVII, a nawet XVIII wieku.

Europejczycy, którzy pod koniec X wieku przybyli na Grenlandię, wcale nie byli jej pierwszymi mieszkańcami, gdyż natrafili na ślady nieznanych im poprzedników. Ari Thorgilsson tak opisał to w *Księdze Islandczyków*: „zarówno we wschodniej, jak i w zachodniej części kraju znaleźli ludzkie siedliska, resztki skórzanych łodzi i przedmioty wykonane z kamienia” ¹⁵.

Dzisiaj wiemy, że pozostawili je wyspecjalizowani łowcy arktyczni, którzy po niemal trzech tysiącach lat eksploatacji wyspy tak dalece przystosowali się do zimnych warunków, że „nagle” ocieplenie klimatu w trakcie subatlantyckiego optimum końca I tysiąclecia n.e. skłoniło ich do przeniesienia się na zimniejsze tereny północnej Kanady. Powszechnie uznaje się, że pierwszym wikingiem, który przybył na wybrzeże lądu stałego Grenlandii, był Eryk Rudy.

Z dużą dozą prawdopodobieństwa można jednak stwierdzić, że wcześniej – być może już w 877 roku – niejaki Gunnbjörn Ulf Drageson zapędził się na zachód, gdzie odkrył przybrzeżne wysepki zwane później Szkierymi Gunnbjörna i wówczas w oddali dojrzał Grenlandię. Szkiery Gunnbjörna są wymieniane przy okazji dwóch wypraw na Grenlandię, z których ta prowadzona przez Eryka Rudego odbyła się później, a wyprzedził go Snaebjörn Wieprz w 980 roku.

Eryka Rudego nie zadowalała pozycja, jaką miał w Islandii. On, potomek jednego z najbardziej szanowanych i najpotężniejszych rodów w norweskim Jaederen koło Stavanger, na Islandii był tylko jeszcze jednym, nic nieznaczącym, ubogim osiedleńcem. Dzięki wżenieniu się w dość znaczny ród islandzki jego sytuacja uległa poprawie, lecz w żyłach Eryka płynęła krew dziada i ojca, więc także i on wpadł w tarapaty. Jego przeciwnicy skończyli marnie, a on został skazany w 981 roku przez miejscowy sejm (*thing*) na trzyletnią banicję.

Powszechne tłumaczenie odkrycia i zasiedlenia nowych ziem presją spowodowaną przeludnieniem Skandynawii nie znajduje potwierdzenia w zachowanych sagach. Ich autorzy przypisali bowiem przedkolonizacyjne spenetrowanie Islandii i Grenlandii uciekinierom politycznym. Znalezienie nowych, niezamieszkanymi terenów było więc – nie tylko dla Eryka Rudego – jedyną szansą odzyskania przywódczego statusu. Często mówi się o zasiedleniu nowych ziem położonych między Europą a Ameryką Północną w kategoriach „podboju” lub „kolonizacji”, co może implikować zorganizowaną akcję podjętą przez jakieś państwo lub grupę etniczną. Bardziej adekwatne będzie chyba określenie „exodus” ¹⁶.

Eryk Rudy wypłynął daleko na zachód, bo w zasadzie tylko ten kierunek mu pozostał. Tam dostał się w zasięg skracającego na zachód Prądu Zatokowego i korzystnego wiatru, dzięki czemu dotarł do wybrzeża Grenlandii. Kolejną szczęśliwą okolicznością okazała się pora roku, w jakiej odbył się rejs, gdyż dostęp od niegościnniej wschodniej strony uniemożliwiło mu zablokowane krą morze. Eryk Rudy dotarł do południowo-zachodniej części wyspy, gdzie panowały najbardziej sprzyjające warunki klimatyczne.

Nie poprzestał jednak na tym, gdyż miał nadzieję odnaleźć Irlandię Wielką oraz osiedla Westmanów. Zamiast łagodnego i gościnnego wybrzeża z rozwijającymi się osadami ujrzał przygnębiająco znajomy widok poszarpanego brzegu z wysokim masywem górskim. Po dotarciu do

dzisiejszego Półwyspu Cumberland na Ziemi Baffina on i jego towarzysze przekonali się, że na tym terenie występuje niezwykle obfita arktycznej zwierzyny.

Historię nazwy Hellulandia, jaką nadano tym obszarom, poznajemy dzięki opisom z trzech źródeł – *Sagi krótkiej*, *Sagi o Eryku Rudym* oraz *Sagi o Karlsefnim*: „Ten ląd był wysoki i górzysty, i były na nim śnieżne góry (alternatywnie: śnieżne pola) [...] okazało się, że był to kraj nieużyteczny [...] (spuścili łódź na wodę) i zbadali ten kraj. Znaleźli tam wiele ogromnych kamieni (hellur) [...] było tam wiele arktycznych lisów [...] nadali nazwę temu krajowi, zwąc go Hellulandią” [17](#).

Druga kraina została opisana następująco: „Stamtąd [z Hellulandii] żeglowali dwa doegry, zmieniając kierunek z południowego na południowo-wschodni, aż dopłynęli do lesistego kraju, w którym było wiele zwierząt. Na południowy wschód od tego kraju leżała wysepka i na tej wysepce zabili niedźwiedzia, nazwali więc ją Bjarney [Wyspą Niedźwiedzia], a ów lesisty kraj Marklandią [Krainą Lasów]” [18](#).

Mimo że wyprawa nie spełniła pokładanych w niej nadziei, okazała się jednak udanym przedsięwzięciem. W dodatku Eryk dokonał odkrycia tego, czego tylko z przyczyn technicznych nie można uznać za kontynent amerykański. Po powrocie na Islandię nie musiał w jakiś specjalny sposób namawiać innych do osiedlenia się na Grenlandii. W tamtym czasie łatwo było znaleźć wielu niezadowolonych, przed którymi nie rysowały się jakieś oszałamiające perspektywy.

Zdarzali się tacy, którzy byli skonfliktowani z potężnymi wodzami przeludnionego kraju. Istnieli też ci, którym w niesmak była rosnąca popularność chrześcijaństwa. Późniejsza istna nawała osiedleńcza, która wyruszyła w kierunku zachodnim i obejmowała całe rodziny zarówno szlacheckie, jak i pochodzenia chłopskiego, była spowodowana kilkoma innymi przyczynami. Należały do nich wywłaszczenia, wysokie podatki, a także względy polityczne oraz następstwa popełnionych wykroczeń.

Zjawisko to osiągnęło taki poziom, że król nałożył specjalny podatek od emigracji z Norwegii. *Saga krótka* z XII wieku podaje: „Mądrzy ludzie powiadają, że kiedy Eryk wyruszał, aby osiedlić się w Grenlandii, dwadzieścia pięć statków [trzydzieści pięć według innych źródeł] pożeglowało z nim z Breidhafjordu i Borgarfjordu, a tylko czternaście dotarło do Grenlandii. Niektóre zawróciły, inne potonęły. Było to na piętnaście lat przed prawnym ustanowieniem chrześcijaństwa w Islandii” [19](#).

Dzięki sagom można pokusić się o stwierdzenie, że Normanowie posiadali praktyczną znajomość rejonu Cieśniny Hudsona i zatoki Ungava, gdzie znajdujemy starą opowieść, która nabrała nieco mitycznego charakteru. *Saga o Bardzie* zawiera następujące fragmenty: „ten »król« zwał się Ragnör, i [...] rządził on Hellulandią i wieloma innymi krajami i po długich rządach kazał się żywcem zakopać z pięciuset ludźmi w Raknslodi” [20](#).

Być może Ragnör to Norman, który zjawił się w Hellulandii z północnych rejonów. Prawdopodobnie był banitą, jak Eryk Rudy przed nim, co nie było czymś wyjątkowym w tamtych czasach, biorąc pod uwagę krewki charakter wikingów. Nie bez walki z miejscowym ludem udało mu się osiedlić w tym kraju, a o ruinach jego domostwa lub kurhanu grobowego wspomina *Saga o Arrow-Oddzie* spisana w XIII wieku: „Gdy dopłynęli do lądu [którego szukali w Skuggifjordzie], ojciec i syn zeszli na brzeg i poszli ku miejscu, gdzie dostrzegli ufortyfikowaną budowlę, która wydawała się bardzo mocno zbudowana” [21](#).

Wyprawy wikingów nie zawsze były udane. Sagi i inne źródła podają, że wiele ich jednostek zatoneło w różnych okolicznościach:

- w wyniku wielkiego sztormu w 876 roku wszystkie 120 łodzi zatoneło w pobliżu Swanage;

- także sztorm zniszczył inną flotę na wysokości Nijmegen w 838 roku;

- w 896 roku na południowym wybrzeżu Anglii 20 okrętów zamieniło się we wraki, przypuszczalnie bardziej w efekcie splotu różnych niesprzyjających wydarzeń niż w wyniku jednoczesnej katastrofy;

- według mniej pewnych historycznie relacji niejaki Göngu-Hrolf podczas magicznej pogody na Morzu Bałtyckim, dowodząc flotą złożoną ze stu jednostek, powiązał je uprzednio linami. Mimo że do nawigacji miał wykorzystywać swoich czarodziejów, jedną z łodzi zatopił ogromny mors, a dziewiętnaście innych zostało straconych później, czyli zniszczenia flotyli wyniosły 20%;

- również na tym samym akwenie burza przegnała trzy zupełnie nowe statki spośród ośmiu w ogóle, a zatopiła wszystkie pięć starszych okrętów. Efekt – 62,5% strat.

Niekiedy równie wielką stratą okazywało się pochłonięcie przez fale tylko jednego statku, ponieważ na jego pokładzie znajdowała się jakaś

wybitna osobistość, tak jak się to stało na przykład w 1916 roku w przypadku Horatio Herberta Kitchenera – między innymi naczelnego dowódcy brytyjskiego podczas II wojny burskiej i ministra wojny od 1914 roku. Oto kilka podobnych zdarzeń, które miały miejsce milenium wcześniej:

- Thor rozbija na islandzkiej plaży łódź chrześcijańskiego kapłana Thangbranda;
- heros Gisli ponosi śmierć podczas wyprawy rybackiej;
- król Eysteinn z Vestfold w wyniku magicznych knozań króla Skjolda wypada za burtę i tonie;
- Gudrod Ljome ginie na morzu bez śladu;
- Hallfred i większość jego załogi tonie przy Konunghella w drodze do Szwecji [22](#).

Więcej szczęścia miał niejaki Bjarni Herjolfsson. Według *Sagi o Grenlandczykach*, w roku 986 dotarł w pobliże Ameryki zepchnięty z kursu przez niesprzyjające wiatry. Jeszcze do niedawna Bjarni Herjolfsson był jedną z najbardziej kontrowersyjnych postaci w historii wikingów i ich eskapad w kierunku zachodnim. Część naukowców wręcz ignorowała jego istnienie, podając w wątpliwość to, że był prekursorem wszystkich wypraw do Ameryki. Jak podaje *Saga krótka*: „Bjarni był bardzo obiecującym człowiekiem. Już w młodości ukochał podróże morskie. Wkrótce też stał się właścicielem statku i towarów. Był [wówczas] człowiekiem zamożnym i zażywał wielkiego szacunku u ludzi” [23](#).

Gdy miał około trzydziestu lat, przejął kupieckie interesy na morzu od ojca, który zajmował się sprawami, jakie należało załatwiać na lądzie. Zwyczajem żeglarzy podążających z towarem do Europy było spędzanie tam zimy na wyprzedazy przywiezionego towaru i nabywaniu innego. Oznaczało to, że kupiec w swoim rodzinnym domu przebywał tylko co drugą zimę.

Dlatego nie było go, gdy Eryk Rudy organizował ekspedycję kolonizacyjną na Grenlandię. Jej członkiem za to dość nieoczekiwanie został jego ojciec Herjolf. Można się dziwić, że człowiek 60-letni zdecydował się w tym wieku na rozpoczęcie nowego życia. Jednak jemu przyświecał inny cel niż prowadzenie pionierskiego życia. W przeciwieństwie do pozostałych, którzy ruszyli w głąb grenlandzkich

zatok, on pozostał u ujścia, przy przystani, stwarzając podwaliny pod powstanie ważnego portu handlowego – Herjolfsness.

Ojciec Bjarniego szybko zdał sobie sprawę z wielkich możliwości handlowych, jakie wiązały się z odkryciem nowego lądu. Syn, powracający prawdopodobnie z któregoś z portów Norwegii, został zaskoczony informacją o wyemigrowaniu ojca na Grenlandię. Jednak rodziciel musiał pozostawić dla niego jakąś wiadomość, być może z poleceniem dostarczenia ładunku sprowadzonego z Europy. Pierwsza taka dostawa do nowego osiedla gwarantowała niemal pewny zysk.

Musiało upłynąć trochę czasu, zanim udało mu się sprzedać dobytek, zgromadzić zapasy, a przede wszystkim naprawić nadwerężony poprzednią podróżą statek. Część załogi z pewnością nie miała ochoty na kolejny długi rejs tuż po ukończeniu pierwszego, zwłaszcza że wiązało się to z koniecznością przezimowania na Grenlandii w oczekiwaniu na ewentualną okazję powrotu do ojczyzny.

W międzyczasie Bjarni kompletował informacje i instrukcje, które miały ułatwić długi rejs po nieznanym wodach. Być może pomocny był w tym Eryk lub ktoś z jego załogi, a może wiadomości te wcześniej wydobyl od nich ojciec Bjarniego. Z pewnością musiał dysponować szczegółowym kursem, fakt, że trafił jednak do osiedla na zachodzie – mimo że zdryfował na zupełnie nieznanym sobie wody – wydaje się być dostatecznym tego potwierdzeniem.

Gnany kilka dni przez silny wiatr w kierunku południowym, statek zboczył w znacznym stopniu z właściwego kursu. W dodatku zasnuły chmurami niebo w ogóle uniemożliwiało ustalenie kierunku, w jakim zmierzał. Później, gdy zbliżał się już do amerykańskiego lądu, dostał się w zasięg mgły, która w niektórych miesiącach rozciąga się na przestrzeni 600 mil morskich.

Dopiero gdy słońce przebiło się przez chmury, pozwoliło mu określić jego przybliżoną pozycję. Samo wysokie położenie słońca w południe już musiało mu powiedzieć, że zawędrował za daleko od położonych na północnych szerokościach osad. Pojawienie się ptactwa zwiastowało bliskość lądu, pytanie pozostawało jedno – jakiego? My dzisiaj wiemy, że była to Nowa Fundlandia. Bjarni miał świadomość tylko jednego: nie była to Grenlandia, która według opisów miała być górzysta, a on spoglądał na nizinny ląd porośnięty gęstym lasem.

Postanowił płynąć na północ wzdłuż brzegu, zwłaszcza że pojawił się wreszcie sprzyjający wiatr z południa. Po dwóch dniach żeglugi ujrzeli inny ląd, ale i tym razem popłynęli dalej, by po następnych trzech dniach natknąć się na górzyste wybrzeże. Był to prawdopodobnie półwysep Kaumajet w północnej części Labradoru. Mimo że członkowie załogi nalegali na dobiecie do brzegu, Bjarni zdecydował się kontynuować podróż przy sprzyjającym, choć sztormowym wietrze.

Dopiero czwartego dnia ich oczom ukazały się majestatyczne góry, za którymi lśniła w promieniach słońca biała masa lądolodu bez żadnego śladu zieleni roślinności – cel ich tułaczki, która była jednocześnie wspaniałym wyczynem żeglarskim. Jego towarzysze przypuszczalnie nie podzielali naszego zdania, a i sam Bjarni traktował zboczenie z bezpośredniego kursu na Grenlandię jako swoją żeglarską porażkę. Poza tym wydaje się, że ojciec i syn byli bardziej zajęci omawianiem bieżących spraw handlowych i powodów, które skłoniły Herjolfssona do opuszczenia Islandii, niż opowiadaniem o nieudanym bądź co bądź rejsie.

Potwierdzeniem mogła być wizyta u Eryka, jaką zwyczajowo składali przybywający kupcy, aby sobie zjednać przychylność wodzów. Relacja o przypadkowo odkrytych ziemiach musiała wywołać sporo ironicznych docinków wśród wikińskiej braci, która uważała się za niezrównaną w sztuce żeglarskiej, a takie błąkanie się po morzu stwarzało dobrą okazję do naśmiewania się ze zbyt ostrożnego kupca. Trzeba też pamiętać, że Grenlandczycy byli jeszcze na etapie urządzania się na nowym miejscu i ostatnią rzeczą, o jakiej myśleli, były nowe ziemie.

Znalazł się jednak ktoś, kto widział w podróży Bjarniego wydarzenie warte zapamiętania. Tym kimś był syn Eryka – Leif, który w chwili podróży Bjarniego miał około piętnastu wiosen. Dokonania ojca – także odkrywcy nowych ziem – dostarczyły młodzieńcowi, będącemu w wieku skłonny do fantazjowania, bodźca do snucia marzeń o podobnych wyczynach. Musiało jednak minąć dużo czasu, nim mógł przystąpić do realizacji swoich ambitnych planów.

Pomocny okazał się także coraz większy niedostatek drewna i ciągle mizerne plony zbóż. Nic dziwnego, że w takich okolicznościach ludzie mogli przypomnieć sobie o ziemiach na zachodzie porośniętych obfitym drzewostanem. Nie wiemy, kto pierwszy rzucił pomysł pożeglowania w kierunku zachodzącego słońca. Problemem okazał się brak odpowiednio dużych statków. Jednak znalazła się jedna pełnomorska jednostka zdatna do

niemal natychmiastowego wypłynięcia. Jej właścicielem był nie kto inny jak Bjarni Herjolfsson, który zrezygnował z morskich eskapad.

Ponieważ posiadał jeszcze jeden statek, zgodził się sprzedać swój mały wykorzystywany *knorr*. Być może w ramach transakcji Leif otrzymał instrukcje dotyczące kursu oraz położenia owych ziem. Prawdopodobnie Leif zdecydował się na bezpośredni kurs na Nową Fundlandię, gdyż duma i ambicja nie pozwalały mu podążyć całym szlakiem Bjarniego wstecz. Istnieje dodatkowy ślad w tej sprawie – mapy Winlandii z około 1440 roku. Legenda mapy podaje, że Bjarni (bez imienia rodzowego) oraz Leif Eriksson byli współtowarzyszami wypraw do Winlandii. Jeżeli jest mowa o tym Bjarnim, to znaczyłoby, że stary kupiec jeszcze raz usłyszał zew morza, a Leif nie mógłby sobie wymarzyć lepszego pilota ²⁴.

Być może dzięki temu oraz sprzyjającemu wiatrowi z północnego wschodu podróż była szybka. Wkrótce osiągnęli swój cel – Winlandię. Nazwę najczęściej wywodzi się od normańskiego słowa *vin*, które oznaczało winną latorośl i winogrona, lub od słowa *vinber* – odnoszącego się do różnych gatunków dzikich jagód. Gdy domy były już gotowe, Leif postanowił zbadać okolicę. Podzielił załogę.

Część ludzi miała stale pozostawać w osadzie, zadaniem pozostałych było rozpoznanie terenu. Od domów oddalano się tylko na taką odległość, by można było wrócić wieczorem. Grupa penetrująca nie mogła się rozpraszać. Leif czasem wyruszał w teren, innym razem pozostawał w osadzie. Był to wspaniały, mocny człowiek i pod każdym względem mądry przywódca. Pewnego wieczoru nie powrócił Niemiec Tyrkir. Zmartwiło to bardzo Leifa, bowiem od wielu lat w rodzinie ojca, a potem i jego, traktowano Tyrkira jak członka rodziny.

Leif zbeształ swych ludzi i z grupą wybranych wyruszył na poszukiwania. Nie uszli daleko, a już spotkali zaginionego. Radość była ogromna. Ale wkrótce Leif zauważył, że Niemiec dziwnie się zachowuje. Zapytał go, dlaczego wraca tak późno i czemu oddalił się od grupy. Tyrkir odpowiedział, że wędrował niewiele dłużej niż inni, ale odkrył coś nowego – winne krzewy. Zapytany przez Leifa, czy to prawda, odpowiedział, że się nie myli, gdyż pochodzi z okolic, gdzie nie brakuje ani winogron, ani winnych krzewów ²⁵.

Inna szkoła twierdzi, że słowo *vin* w sensie pierwotnym, w jakim zostało użyte w sagach, nie ma nic wspólnego z winogronami czy jagodami, ale jest starym normańskim słowem na oznaczenie pastwisk. Wszystkie

hipotezy wydają się trafne, żadna nie wyklucza pozostałej. Współcześnie, co prawda, nie znajdziemy w tym rejonie winorośli, lecz istnieją dowody, że dzikie winogrona rosły tu jeszcze do połowy XVII wieku. Wzmianka o nich pojawia się choćby w dzienniku lekarza okrętowego Jamesa Yonge'a, który odbył cztery rejsy do Nowej Fundlandii w latach 1622–1670: „co się zaś tyczy owoców, jest tu niewiarygodna ilość poziomek, malin i dzikich winogron” ²⁶.

Po pracowicie spędzonej zimie statek został załadowany cennym ładunkiem, na który składało się twarde drewno, skóry upolowanych zwierząt oraz suszone jagody i winogrona, gdyż zalety rodzynek były już znane Normanom. Leif nie tylko nigdy więcej nie popłynął do Winlandii, mimo że kraina ta przyniosła mu bogactwo i rozgłos, lecz także nie pomógł nikomu innemu do niej dotrzeć.

Jego dwaj młodsi bracia, Thorstein i Thorvald, zazdrościli mu sławy i fortuny. Dodatkową zachętą była świadomość, że wspaniała kraina leży stosunkowo blisko. Nic dziwnego zatem, że Thorstein podjął próbę powtórzenia wyczynu brata, przy wydatnym wsparciu moralnym i finansowym Eryka. Znamienne jest, że nic nie wiadomo o tym, aby Leif udzielił jakiegokolwiek pomocy – od użyczenia własnego statku po udzielenie wskazówek na temat żeglugi.

Zwłaszcza nieznamość szerokości geograficznej Winlandii okazała się mieć niebagatelne znaczenie dla braku powodzenia ekspedycji. Rosnąca liczba osadników na Grenlandii wkrótce doprowadziła do narodzin pomysłu o założeniu nowych osiedli w przebogatej Winlandii. Spotkał się on z dość przychylnym przyjęciem. Oczywiście i tym razem Leif nie miał zamiaru dawać swojego statku. Jego najmłodszemu bratu nie pozostawało nic innego, jak wynająć *knorr* niejakiego Thorbjörna Vifilssona i rozpocząć przygotowania do podróży w jedną stronę.

W tym czasie na Grenlandii przebywali Thorfin Karlsefni i Thorhal Gamlisson, którzy przywieźli na wyspę emigrantów z Islandii. Ci jednak, gdy usłyszeli o bogactwach sprowadzonych przez Leifa, namówili kupców, aby zgodzili się udostępnić swe statki do przewiezienia ich jeszcze raz, tym razem do Winlandii. Trzecim obcym statkiem był *knorr* należący do braci Finnbogiego i Helgiego z Islandii. Saga podaje, że do wyprawy (wyłącznie „dla sławy i bogactwa”) namówiła ich Freydhis Eriksdottir, kusząc obietnicą połowy całego zysku, jaki przyniesie wyprawa.

Koloniści składali się z dwóch grup: islandzkiej przewodniczyli Thorfin Karlsefni, Snorri Thorbrandsson i Bjarni Grimolfsson, a grenlandzkiej – Thorvald Eriksson, po jego stronie w niewielkim stopniu opowiadała się jego przyrodnia siostra – Freydhis, która już na samym początku złamała porozumienie o zaokrętowaniu na każdy statek równej liczby zdolnych do walki mężczyzn.

Wprawdzie uczestnicy wyprawy nie dysponowali wskazówkami od Leifa, ale nowym osadnikom udało się dotrzeć do Nowej Fundlandii. Nie odnaleźli jednak Winlandii, z której poszukiwań zrezygnowali dość szybko. Zima, która nadeszła, okazała się cięższa, niż przypuszczali: z szalejącymi sztormami i widmem głodu zagładającym w oczy. Miało wówczas miejsce pewne zdarzenie – na świat przyszedł pierwszy znany nam potomek białych rodziców w Ameryce, któremu nadano imię Snorri.

W takich okolicznościach postanowiono odnaleźć Winlandię. Jednak różnica zdań co do jej hipotetycznego położenia doprowadziła do wysłania trzech osobnych ekspedycji badawczych. Wiatry zapędziły łódź Thorhala Myśliwego z dziewięcioma ludźmi z wód kanadyjskich aż do brzegów Irlandii – o dziwo żywych i całych. Druga, większa łódź, z taką samą liczbą załogi i przypuszczalnie pod dowództwem samego Thorvalda Erikssona, udała się w kierunku zachodnim i praktycznie wróciła z niczym.

Na południe udała się natomiast grupa islandzka, w której składzie znajdowała się Freydhis. Ona – jak już wiemy – daleka była od osiedleńczych ciągót. Statki płynęły wiele dni, aż wyprawa dotarła do bajkowego wręcz miejsca, gdzie: „Znaleźli łąny dzikiej pszenicy na nizinach, a wszędzie, gdzie rosły lasy, znajdowali wino [grona]. W każdym strumieniu było pełno ryb. Na obszarach, które zalewała woda przy przyptywie, wykopali rowy, a gdy następował odpływ, w rowach pozostawały płastugi. W lasach było bardzo wiele najrozmaitszych dzikich zwierząt” ²⁷.

Niestety ta pierwsza, pełna brawury i nadziei wyprawa kolonizacyjna na nowe ziemie zakończyła się niepowodzeniem. Gdyby nie złośliwość nieubłaganego losu, w który Normanowie z taką mocą wierzyli, oraz ich zuchwalstwo i chciwość, a przede wszystkim głupota, mogliby zadomowić się w Nowej Fundlandii. Pewne fragmentaryczne wzmianki znajdujące się w islandzkich sagach mówią, że w późniejszych latach podejmowano próby dotarcia do amerykańskiego lądu, lecz zmieniły one swój charakter, stały się podrózkami handlowymi.

Bodźcem było cenne drewno i jeszcze cenniejsze kły morsów, a także futra niedźwiedzi, bobrów, soboli, gronostajów i rysiów. Ich regularny eksport do Norwegii wzbogacał mieszkańców grenlandzkiej kolonii. Przykładowo sokoły białozory – cieszące się wielką popularnością wśród średniowiecznych myśliwych – pochodziły wyłącznie z Grenlandii lub arktycznej Ameryki.

Być może w 1059 roku doszło do świadomie podjętej podróży do Winlandii. Miał tam podążać ze świętą misją celtycki lub saksoński kapłan o imieniu Jon. Ponoć został zamordowany przez krajowców, a mimo to jego śmierć nie odstraszyła następców, gdyż wiemy o wyprawie misyjnej biskupa grenlandzkiego Eryka w 1121 roku, którego już trzy lata później musiał zastąpić nowy ksiądz.

W 1266 roku grenlandzcy Normanowie wysłali ekspedycję na północny akwen Morza Baffina. Celem było zbadanie, skąd pochodzą *skrælingowie*, których coraz częstsze wizyty na wybrzeżu północno-zachodniej Grenlandii zaczęły wzbudzać niepokój. Dodatkową korzyścią wyprawy było odkrycie terenów z dużą liczbą zwierząt łownych. Podróże na Labrador po cenne drewno musiały być częstym zjawiskiem, choć my wiemy raczej o tych nieudanych, które paradoksalnie okazały się godne odnotowania.

I tak w roku 1347 powracający z Marklandii statek dostał się w zasięg sztormu. Zepchnięta w ten sposób z kursu jednostka z osiemnastoosobową załogą zamiast do Grenlandii dobiła do brzegów Islandii. W 1360 roku miała miejsce ekspedycja badawcza pod dowództwem Paula Knutssona, która miała rozstrzygnąć, co się wydarzyło dziesięć lat wcześniej w Osiedlu Zachodnim, opuszczonym bez śladu przez mieszkańców.

Dowodem na to, że wyprawa ta osiągnęła wybrzeża Ameryki Północnej, ma być – wzbudzający spory co do swej autentyczności – słynny kamień z Kensington pokryty znakami runicznymi o następującej treści: „8 Gotów [Szwedów] i 22 Norwegów w wyprawie odkrywczej z [lub do] Winlandii na zachodzie. Rozbiliśmy obóz przy dwóch skalnych wysepkach. Dzień drogi na północ od tego kamienia byliśmy i łowiliśmy ryby jeden dzień. Po powrocie znaleźliśmy 10 ludzi czerwonych od krwi i nieżywych. A[ve] V[irgo] M[aria]. Chroń nas od złego. Postawiliśmy 10 ludzi nad morzem na straży statków 14 dni od tej wyspy. Rok 1362” [28](#).

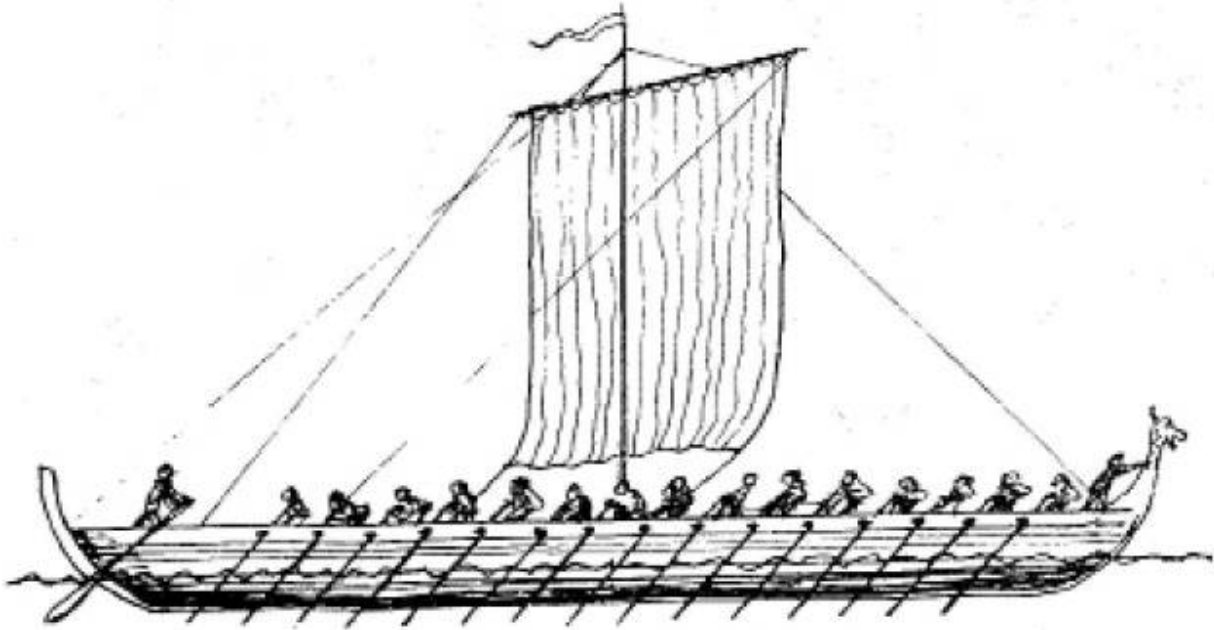
Nie tylko w naszej świadomości statek był uznanym symbolem wikingów, ale trzeba pamiętać też o tym, że bardzo często w północnej Europie był podstawowym – o ile nie jedynym – środkiem

komunikacyjnym. Budowa statków i podróże morskie to źródło wysoko wyspecjalizowanej nomenklatury w językach północnych, a tym, co świadczy o wyższości Skandynawów w tej dziedzinie, jest fakt, że inne ludy zapożyczyły od nich wiele terminów żeglarskich. Natomiast zapożyczenia w drugą stronę są stosunkowo rzadkie.

Statki wikińskie miały swoje specjalizacje – towarowe, rybackie, promy – ich rodzaje poznano dzięki wydobyciu w 1957 roku z dna fiordu Roskilde grupy celowo zatopionych niegdyś statków użytkowych z XI wieku. Prawdziwy statek atlantycki wikingów miał wyższe burty, które górowały nad burtami innych statków przeciwników. Prawdopodobnie w przeciętnej flocie znajdował się tylko jeden naprawdę ogromny statek o liczbie wiosł przekraczającej trzydzieści par. Najlepiej zachowane są wspaniałe norweskie okręty nagrobne z Osebergu, Vestfold i Gokstadt.

Podstawowym statkiem pełnomorskim był *knorr*, słowo o niepewnej etymologii, ale przypuszczalnie odnoszące się do twardego drewna stępki lub skrzywienia desek na falach. Nazwy obcego pochodzenia odnoszące się do statków handlowych to *búza* i *kuggr*. Ogólnym określeniem był natomiast *kaupskip*, statek kupiecki. Statkiem ogólnego przeznaczenia, na modłę późniejszych jednostek nazywanych pinasami, była *skúta* (spokrewniona ze słowem *skjóta* – „pędzić”), której pierwotnie główną cechą miała być szybkość. W tej klasie mieścił się również *karfi* z 12–32 wioślarzami [29](#).

Słowo *skip* było używane do prawie każdej niezależnej jednostki pływającej (niekoniecznie o wielkich wymiarach). Wielki *langskip* nosił miano *skeid*, co można objaśnić jako „rzecz, która tnie wodę” lub „długi kawałek drewna w kształcie miecza” – oba te określenia są właściwe. Natomiast największe okręty wojenne – przypuszczalnie z powodu swoich ozdobnych dziobów – nazywały się *drekar*, czyli „smok”.



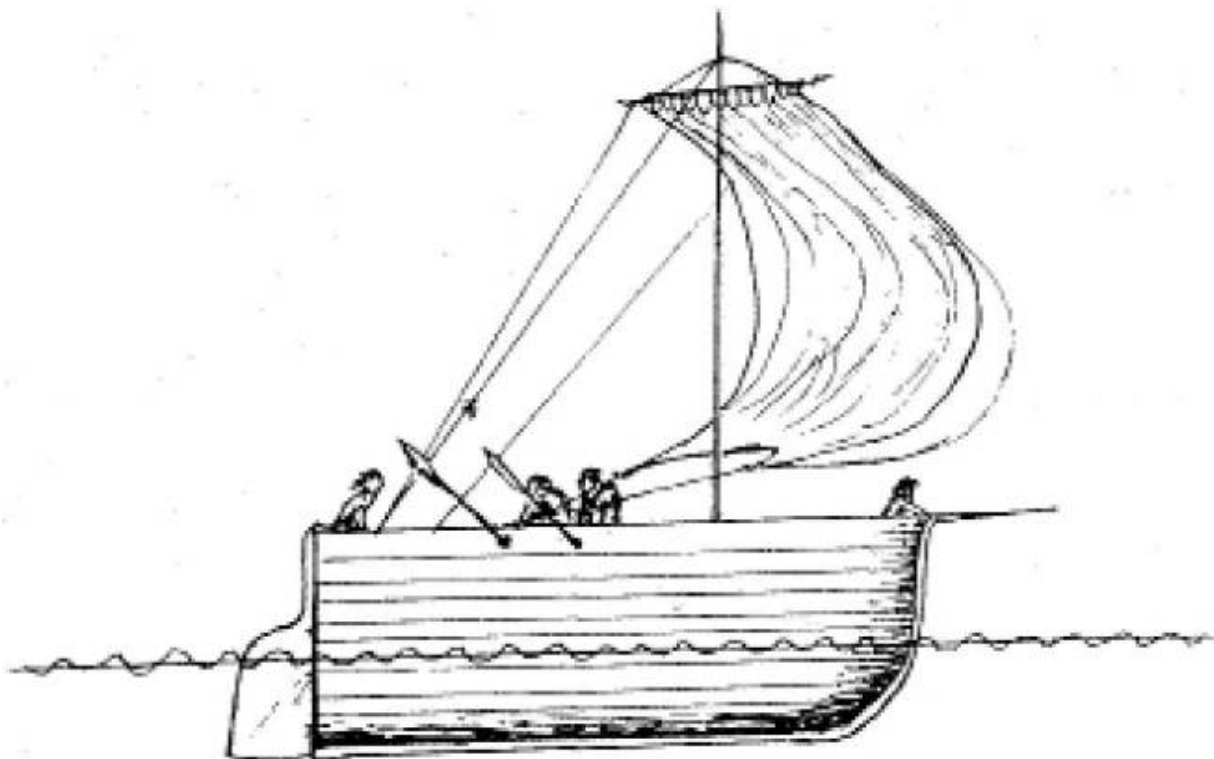
Łódź wojenna wikingów – liczna załoga przy wielu wiosłach, niewielka powierzchnia pokładu od dziobu do rufy

Drekar to jeden z najbardziej rozpoznawalnych symboli w historii. Owe pirackie łodzie ze smoczymi dziobami idealnie nadawały się do penetrowania zatok i rzek, lecz w przypadku większego sztormu przesadnie długa, wąska i prawie bez wolnej burty łódź błyskawicznie łapała fale lub przełamywała się na ich grzbietach. Ponadto należy pamiętać, że łupieżcze załogi wikingów składały się w większości z ludzi posługujących się lepiej mieczem i toporem niż sterem. Te jednostki nie pruły fal, one na nich „jechały”. Elastyczny, lekki kadłub miał tendencję do unoszenia się nad wodę, co pozwalało rozwijać – niewiarygodną jak na tamte czasy – prędkość 16 węzłów.

Jednostkami, których używano do podboju rozległych przestrzeni morskich, nie były – wbrew powszechnemu przekonaniu – owe słynne długie łodzie wikingów, a statki handlowe zwane *knorrami*, które zrodziły się z potrzeby statku o dużej ładowności, zdolnego oprzeć się wysokim falom oceanu. Ta konstrukcja była w stanie dorównać każdemu statkowi żaglowemu podobnej wielkości bez względu na epokę, w jakiej powstał.

Niektóre *knorry* osiągały długość ponad 30 metrów, przy prawie 90-procentowej długości w linii zanurzenia. Ich solidność wynikała z elastyczności, a nie z masywności i sztywności konstrukcji. Dzięki swej

szerokości i niewielkiemu zanurzeniu jego żegluga przypominała bardziej ślizganie się po falach niż ich przeorywanie. Cała konstrukcja łodzi mogła się w pewnym stopniu wyginać i skręcać pod przytłaczającym naporem mas wód, usuwając się lub uginając pod uderzeniami fal.



Wikiński statek handlowy – duża ładownia, nieliczna załoga, mała liczba wiosł, napęd głównie żaglowy

Jednostki te – płytkie, lecz bardzo szerokie z dużą wolną burtą – mogły zabrać od 20 do 40 ton ładunku podczas jednego rejsu. Dzięki stewom i małym stępkom na dziobie i rufie były sprawniejsze przy kursach na wiatr, przy których wykorzystywano pojedynczy maszt z kwadratowym żaglem oraz wiosło sterowe, zamocowane przy prawej burcie. Taki boczny ster miał tę zaletę, że można było zastosować bardzo długie, cienkie, a zarazem sprawne pióro, które – w momencie wpłynięcia na płytkie wody – podnoszono, żeby uniknąć zaczepienia o dno. Pozwalało to wpływać na akweny o nawet 1,5-metrowej głębokości, a to oznaczało możliwość dobiecia do piaszczystego lub błotnistego wybrzeża bez obawy uszkodzenia steru.

Swoją zwrotność wikińskie jednostki zawdzięczały prostokątnemu żaglowi. Z okresu zaskakująco późnego, bo dopiero z VIII wieku, pochodzi pierwsza podobizna statku żaglowego, wyryta na kamieniu ze Stenkyrka Smis na Gotlandii. Kamienne płytki ukazują złożony system lin takiej łodzi, dzięki któremu można było sterować także za pomocą żagla. Liny wykonywano przeważnie z łyka lub konopi, choć wiadomo również o posługiwaniu się linami ze skór fok i morsów, które nacinano spiralnie wokół ciała.

Przeważa opinia, że normańskie statki miały niższe maszty, niż dotychczas zakładano, a co za tym idzie, były lżejsze i szybsze, gdyż maszt z mniejszym żaglem zmniejszałby konieczność stosowania specjalnych want i balastu. Maszt łatwo można było położyć i postawić dzięki jego dolnemu zamocowaniu (w sięgających pokładu cęgach) i zakończeniu pięty masztu (wspartej na środkowej części stępki).

Odnaleziony fragment żagla dostarczył jeszcze jednej cennej wskazówki. Żagle były wykonane z wełny, która ma tę zaletę, że zawsze wraca do pierwotnego kształtu. Wbrew pozorom taki materiał nie nasiąkał wodą, ponieważ stosowano wełnę od specjalnego gatunku owiec, których sierść składa się z dwóch warstw i jest nieprzemakalna. Sierść bliżej skóry jest delikatna, a warstwa zewnętrzna sztywna i chroni przed wodą.

Wełnę dzielono i wyrabiano z niej dwa rodzaje włókien. Następnie tkano je razem na specjalnych pionowych krosnach. Do wyrobu żagla wykorzystywano także surową wełnę z naszytymi ukośnie paskami skóry jakiegoś morskiego zwierzęcia, aby utrzymywał swój kształt. Żagiel był wyposażony z reguły w kilka rzędów reflinek, dzięki czemu można było go refować (zmniejszać jego powierzchnię), mocując do rei (poziomej belki przytwierdzonej do masztu) lub opuszczając samą reję.

Bardzo ważną część osprzętu statku stanowił tak zwany *beitass* – rodzaj ruchomego drągu, który działał na podobnej zasadzie jak bom spinakera, czyli prościej mówiąc: poziome drzewce służące do umocowania trójkątnego, wypukłego żagla. Jego grubsze zakończenie lokowano w gnieździe na pokładzie dziobowym, a cieńsze przytwierdzano do przedniej krawędzi żagla, aby go usztywnić i wzmóc efektywność jego pracy w momencie żeglugi na wiatr. Dzięki zastosowaniu *beitassu* normańskie okręty mogły iść kursem nawet o 5–6 rumbów od linii wiatru.

Największą wadą normańskich statków były fatalne warunki życiowe załogi: kabinami mieszkalnymi były dwie ciemne trójkątne komory pod

pokładami, a podstawą wyżywienia zimne racje. Tylko w wyjątkowych okolicznościach, kiedy panowała bezwietrzna pogoda, istniała możliwość rozpalenia ognia na palenisku z kamieni ułożonych tuż przed pokładem rufowym.

Biorąc pod uwagę rozmiary statków, liczba załogi była stosunkowo duża, czyli od 15 do 20 ludzi, lecz wynikało to z konieczności posiadania odpowiedniej liczby rąk do samoobrony przed ziomkami oddającymi się „wikingowaniu”, a po części z potrzeby zwykłej siły roboczej do wiosłowania i wylewania nadmiaru wody. Z reguły kapitan statku był jednocześnie jego właścicielem i automatycznie głównym nawigatorem i sternikiem, w przypadku dłuższych podróży wspieranym przez zaufanych ludzi, przeważnie krewnych.

Podejmowane we współczesnych czasach próby żeglugi na replikach normańskich łodzi dowiodły, że jednostki te spisywały się lepiej niż jakikolwiek żaglowiec skonstruowany przed początkiem XIX wieku i wiele zaprojektowanych później, pomijając fakt, że nie były w stanie płynąć na wiatr tak dobrze jak nowoczesne żaglowce. Mimo długiego wiosła sterowego, które spełniało jednocześnie funkcję miecza, miały jednak zbyt mały opór boczny, choć głęboko zanurzone i obracające się na swojej własnej osi pióro sterowe wymagało tylko lekkiego poruszenia rumpla, by statek w jednej chwili zareagował zgodnie z wolą swego sternika.

Ich żeglowne możliwości oceaniczne sprawdzono kilkakrotnie. Pierwszy raz miało to miejsce 30 kwietnia 1893 roku, kiedy to na kopii statku gokstadzkiego, odkrytego w grobowcu norweskim z X wieku, dowódca Magnus Andersen z 12-osobową załogą wyruszył z Bergen, by po niespełna miesiącu – bo już 27 maja – osiągnąć wybrzeże Nowej Fundlandii.

Mimo że była to jednostka typu *karv*, czyli forma pośrednia między *knorrem* a słynną długą łodzią, udało jej się przetrwać kilka sztormów, częste wiatry przeciwne, osiągała momentami prędkość 11 węzłów. Kapitan stwierdził, że statek układał się odpowiednio do fali; dno i kil podnosiły się i opadały w granicach 2 centymetrów, a nadburcia odchyłały się o 15 centymetrów od normy.

Drugą próbę podjęto w 1932 roku na replice około 20-metrowego *knorru*, któremu na cześć słynnego odkrywcy nadano nazwę „Roald Amundsen”. Co ważniejsze dla podkreślenia możliwości wikińskich jednostek, statek ten podążył w kierunku zachodnim jednym ze szlaków Krzysztofa Kolumba i – co jeszcze bardziej warte podkreślenia – żeglował

średnio o jedną trzecią szybciej od flotyli Admirala. Jakby tego było mało, bez problemu wrócił do Norwegii, obierając kurs przez Nową Fundlandię.

Dzięki eksperymentom przeprowadzonym z kopiami statków odkrytych w duńskim Skudelev wiemy, że transportowy *knorr* (tak zwany Skudelev 1) mógł przewieźć szesnaście ton (sic!) ładunku, rozwijając szybkość podróży powyżej czterech węzłów. Jednym kursem można więc było przewieźć wszystko, co było potrzebne do uruchomienia gospodarstwa rolnego – łącznie ze zwierzętami hodowanymi [30](#).

Warunkiem wypłynięcia czy to kupieckiego *knorru*, czy wojennego *drekara* w rejs była dobra pogoda. Niekoniecznie chodziło o sprzyjające wiatry, a przede wszystkim o jak najlepszą widoczność. Należy pamiętać, że w idealnych warunkach (przy przeciętnej prędkości statku) trasę z Norwegii do amerykańskich wybrzeży przez Szetlandy, Wyspy Owcze, Islandię, Grenlandię i Ziemię Baffina można pokonać, nie tracąc z oczu lądu na dłużej niż półtorej doby. Mamy przekazy mówiące także o nieprzerwanej, wielodniowej żegludze.

Taką podróż przez Bałtyk z Hedeby do Truso w Zatoce Gdańskiej odbył kupiec o nazwisku Wulfstan. Rejs trwał siedem dni i nocy. Nie możemy powiedzieć, czy żeglarze z północy dysponowali i posługiwali się mapami, prawdopodobnie większą wartość dla wikingów przedstawiały ustne wskazówki żeglarskie, których rolę trudno przecenić, o czym często wspominają sagi. Przykłady takiej wiedzy nawigacyjnej, odzwierciedlającej doświadczenia wielu pokoleń starożytnych żeglarzy, odnajdujemy na przykład w *Odysei* Homera, choćby kiedy boginka Kalipso udzielała Odyseuszowi wskazówek co do żeglugi powrotnej na Itakę:

„W Plejady, w nie śpiącego wciąż patrzył Boota,
Toż w Niedźwiadka, zwanego Wozem; gwiazda ona
Bowiem w miejscu się kręci, patrząc wciąż w Oriona,
A w morzu się jak inne nigdy nie zanurzy.
Nimfa, z nim się żegnając, tę gwiazdę w podróży
Kazała mieć na oku wciąż po lewej stronie” [31](#).

Bez instrukcji Leifa Erikssona nie udałoby się jego następcom dotrzeć do Winlandii. Mimo że opis tułaczki Bjarniego Herjolfssona został sporządzony ponad sto lat od momentu podróży, odznaczał się taką dokładnością, że nikt – przy odpowiedniej znajomości północnych

akwenów Atlantyku – nie zabłądziłby, podążając tym szlakiem. W *Landnamabók* można było znaleźć wskazówki żeglarskie, które opisywały starą trasę do Islandii wiodącą przez Wyspy Brytyjskie:

„Tyli [Thule] leży o sześć dni podróży morskiej na północ od Anglii [...]. Stare księgi angielskie mówią, że zanim Normanowie osiedlili się w Islandii, istniała żegluga między Anglią a Islandią [...]. Doświadczeni mężowie, którzy urodzili się w Grenlandii i niedawno tutaj przybyli, mówią, że od Stadt [Kap Stadr] w Norwegii do Horn we wschodniej Islandii było siedem dni podróży, a od Snaefellsnes [Islandia Zachodnia], które leży najbliżej Grenlandii, dwa dni i dwie noce dalszej podróży do Szkier Gunnbjörn, między Grenlandią a Islandią. Podają też, że jeżeli się żegluje z Hernum [Bergen] do Hvarf [Przylądek Farvel] w Grenlandii i okrąży od południa Islandię, to podróż trwa dwanaście dni [...]. Z Reykjanes [Islandia Północna] do Svalbardi [Spitzbergen] – cztery dni [...].” ³².

Teksty tego rodzaju, jeżeli chodzi o detale, są w większości zazwyczaj nieścisłe lub wręcz sprzeczne ze sobą. Trzeba pamiętać jednak, że wynika to przede wszystkim z faktu, że utwory tego typu nie miały spełniać funkcji podręczników lub locji. Gdy nie miało się odpowiednich wskazówek, można było się ratować jeszcze innym sposobem.

Islandingabók przynosi apokryficzną niemal opowieść o niejakim Flokim, który później otrzymał przydomek Kruk. Wziął się stąd, że do pomocy w nawigacji używał właśnie tych ptaków, które rzadko odbywają długie loty, zwłaszcza nad otwartymi przestrzeniami wodnymi. Jeśli wypuścimy kruka ze statku, jest pewne, że od razu skieruje się w stronę najbliższego lądu. Ptak z wysokości tysiąca metrów wypatrzy ziemię znajdującą się ponad sto kilometrów dalej.

Pewne znaleziska archeologiczne mogłyby sugerować, że żeglarze wikińscy mogli być w posiadaniu czegoś w rodzaju prowizorycznego koła azymutalnego, podzielonego na *airty* i ich części. Normanowie, traktując cały horyzont jako różę wiatrów, dzielili go na osiem głównych części, które określali mianem właśnie *airtów*. Każdy z nich można było jeszcze pomocniczo podzielić na trzy mniejsze części, które odpowiadały współczesnym 15 stopniom.

Wikingowie potrafili też wyznaczać azymut słońca przy pomocy żółtego kryształu krzemianu – kordierytu, który zmieniał kolor na niebieski w chwili, kiedy padały na niego pod kątem prostym promienie naszej

dziennej gwiazdy. To pozwalało normańskim żeglarzom z pewną precyzją określać kąty względem wschodów i zachodów słońca oraz wyznaczać na tej podstawie aktualną szerokość geograficzną. Utrudnieniem w przypadku słonecznego kamienia było to, że niebo musiało być bezchmurne, a słońce powinno się znajdować 10 stopni nad horyzontem.

Jednym z przyrządów, który ułatwiał nawigację, był tak zwany kamień kierowniczy (*leidarsteinn*) – prekursor współczesnego kompasu. Według starych sag dawni wikingowie posiadali *sejersten* i *ker*, czyli kamień magnetyczny, zamknięty w drewnianej szkatule, który pływał swobodnie w naczyniu z wodą i wskazywał północ i południe. *Sejersten* znaczy dosłownie „kamień do żeglowania” i początkowo był bardzo kosztowny. Jeżeli chodzi o pomiar czasu, korzystali z zegara wodnego, podobnie jak żeglarskie ludy południa. W takim czasomierzu woda kapała w ciągu trzech, dwunastu lub dwudziestu czterech godzin. Dobowy upływ wody, który nazywano *aettmal*, był zarazem miarą odległości, jaką w tym czasie pokonywał statek w określonych, stałych warunkach ³³.

Istniały także inne metody orientowania się na morzu i wyznaczania właściwego kursu. Służyły temu dostatecznie wysokie punkty orientacyjne. Przeważnie obierano najwyższą górę na swoim wybrzeżu i ustalano kurs na najbardziej widoczny punkt na lądzie, do którego zamierzano dotrzeć. Przy dobrej widoczności obserwator na 20-metrowym maszcie mógł dostrzec wypatrywany wierzchołek z odległości ponad 150 kilometrów, a dzięki mirażom dystans ten zdecydowanie przekraczał 200 kilometrów.

Wykorzystywano także różne rodzaje znaków morskich, na przykład obecność ptaków, gdyż ich duża liczba na danym obszarze wskazuje zazwyczaj, że jest to dobre łowisko, co z kolei oznacza podwodną ławicę lub płytkie wody w pobliżu lądu. Ważny był gatunek zaobserwowanych ptaków, jak w przypadku pewnej odmiany mewy, której pojawienie się zwiastowało niedalekie sąsiedztwo Ławicy Nowofundlandzkiej. Podobnie maskonury i nurzyki pospolite w pewnych porach roku nie mają w zwyczaju oddalać się zbyt od lądu. O zboczeniu z kursu mogła doświadczonemu żeglarzowi sygnalizować także obecność – lub jej brak – wielorybów.

Mimo peryferyjnego położenia losy i dokonania Grenlandczyków były znane bardziej biegłym w sztuce stawiania i odczytywania liter Europejczykom. Już w 1070 roku istniała spisana przez niemieckiego kronikarza Adama z Bremy relacja o odkryciu Winlandii. O amerykańskim

łędzie wiedzieli hulający w tych okolicach angielscy piraci. Nic dziwnego, bo Grenlandia znajduje się w miejscu odległym od Ameryki tylko o kilka dni żeglugi, czyli tyle, ile trwał rejs z Kuby na kontynent.

Podróż była tak krótka, że Leif przywiózł z Ameryki do domu świeże jagody. Zresztą nazwa L'Anse aux Meadows³⁴ powinna zamknąć usta wszystkim, którzy negowali możliwość wcześniejszych kontaktów z lądem amerykańskim. Jest ona angielskim zniekształceniem francuskiej nazwy L'Anse-aux-Méduses, czyli Zatoka Meduz, a to z powodu ogromnej ilości tych jamochłonów pojawiających się w tym miejscu podczas lata.

To w tym miejscu, nad Epaves Bay, tuż u północnego krańca Nowej Fundlandii, znaleziono jedyną – jak na razie – bez wątpienia skandynawską osadę z okresu opiewanego przez sagi. Świadczą o tym budynki w skandynawskim stylu ze ścianami z torfu, jak na Islandii i Grenlandii, oraz wiele przedmiotów skandynawskiego pochodzenia, na przykład rodzaj igły do szycia ubrań wynalezionej przez wikingów z Irlandii. Co jeszcze może dowodzić bytności europejskich przybyszów w Ameryce? O tym w następnym rozdziale.

1. P. Urbańczyk, Normanowie, „Archeologia Żywa” 2000, nr 1–2, s. 26. [\[wróć\]](#)
2. A.J. Guriewicz, Wyprawy wikingów, przeł. S. Ludkiewicz, Warszawa 1969, s. 7. [\[wróć\]](#)
3. P. Urbańczyk, Normanowie, s. 26. [\[wróć\]](#)
4. Morze..., s. 228. [\[wróć\]](#)
5. Geografia antyczna, red. M.S. Bodnarskij, przeł. B. Butrymowicz, M. Golias, S. Hammer, W. Madyda, S. Mleczo, S. Oświęcimski, J. Parandowski, J. Pliszczyńska, J. Schnayder, L. Siemieński, W. Witwicki, Warszawa 1957, s. 334–335. [\[wróć\]](#)
6. G.J. Cezar, Wojna galijska, przeł. E. Konik, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk 1978, s. 95. [\[wróć\]](#)
7. Morze..., s. 215–216. [\[wróć\]](#)
8. F. Mowat, Wyprawy wikingów. Dawni Normanowie w Grenlandii i Ameryce Północnej, przeł. W. Niepokólczycki, Warszawa 1972, s. 49. [\[wróć\]](#)
9. Morze..., s. 260–261. [\[wróć\]](#)
10. D. de Landa, Świat Apocalypso, przeł. P. Skibiński, Radom 2006, s. 198–199. [\[wróć\]](#)
11. M.D. Coe, Breaking the Maya Code, New York 1994, s. 14. [\[wróć\]](#)
12. V. Deloria jr, Red Earth, White Lies, New York 1995, s. 159. [\[wróć\]](#)
13. R. Reichert, Historia Eskimosów z obszaru Arktyki Kanadyjskiej i Alaski, „Archeologia Żywa” 2006, nr 1, s. 44. [\[wróć\]](#)
14. P. Urbańczyk, Tubylcy amerykańscy w sagach grenlandzkich, [w:] Wyobrażenie wroga w dawnych kulturach, Warszawa 2007, s. 135. [\[wróć\]](#)
15. Ibidem, s. 130. [\[wróć\]](#)
16. P. Urbańczyk, Zdobywcy północnego Atlantyku, Wrocław 2004, s. 59. [\[wróć\]](#)
17. F. Mowat, op. cit., s. 365. [\[wróć\]](#)
18. Ibidem. [\[wróć\]](#)
19. Ibidem, s. 68. [\[wróć\]](#)
20. Ibidem, s. 410. [\[wróć\]](#)
21. Ibidem, s. 409. [\[wróć\]](#)
22. P. Griffith, The Viking Art of War, London 1995, s. 77. [\[wróć\]](#)
23. F. Mowat, op. cit., s. 75. [\[wróć\]](#)
24. Ostatnie badania dowiodły, że mapa ta została sfalszowana. [\[wróć\]](#)
25. E. Rackwitz, Szlaki w nieznanie. Z dziejów odkryć geograficznych, przeł. T. i L. Sikorscy, Łódź 1987, s. 73. [\[wróć\]](#)
26. F. Mowat, op. cit., s. 112. [\[wróć\]](#)
27. Ibidem, s. 202. [\[wróć\]](#)
28. Ibidem, s. 256. [\[wróć\]](#)
29. P.G. Foote, D.M. Wilson, Wikingowie, przeł. W. Niepokólczycki, Warszawa 1975, s. 231–232. [\[wróć\]](#)
30. W.W. Fitzhugh, E.I. Ward, Vikings. The North Atlantic Saga, Washington 2000, s. 148–152. [\[wróć\]](#)
31. Homer, Odyseja, przeł. L. Siemieński, Warszawa 1990, ks. V, wersy 273–278. [\[wróć\]](#)
32. P. Herrmann, Siódma minęła, ósma przemija. Przygody najwcześniejszych odkryć, przeł. K. Rapaczyński, Warszawa 1967, s. 263–264. [\[wróć\]](#)

33. Ibidem, s. 260–261. [\[wróć\]](#)

34. Spotykane inne wersje pisowni to Lancy Meadow oraz Lanse au Meadow. [\[wróć\]](#)

Wysłannicy Pierzastego Węża

Normańskie wyprawy na zachód nie były mało znaczącymi podróżami, mimo zakończonych niepowodzeniem misji osiedleńczych. Wyznaczyły kierunek i przetarły szlak dla późniejszych zdobywców tego kontynentu. Trzeba pamiętać, że wiedza o szlakach morskich nie ginie w momencie zniknięcia tylko jednej nacji, ponieważ przywilej jej wykorzystania pozostaje w gestii niezniszczalnej rasy – ludzi morza bez przynależności terytorialnej. Do tej braci należał także Krzysztof Kolumb, który od mieszkańców Madery, Wysp Kanaryjskich i Azorów uzyskał dość poszlak na potwierdzenie hipotezy, w którą chciał wierzyć.

Hipotetyczne kontakty miały miejsce na tych obszarach, które znajdują się w zasięgu dryfu prądów oceanicznych i powietrznych, wiodących od Europy ku Ameryce. Jeżeli mówimy o sprzyjających prądach morskich, to trzeba przede wszystkim wspomnieć o Prądzie Kanaryjskim płynącym od Wysp Kanaryjskich w kierunku Brazylii oraz o Prądzie Południoworównikowym prowadzącym swe wody od Zatoki Gwinejskiej do okolic dzisiejszego Rio de Janeiro. Dzięki temu praktycznie każda jednostka pływająca miała bardzo duże szanse na dotarcie do lądu na zachodzie.

W 1982 roku nurkom udało się zlokalizować w pobliżu Rio de Janeiro wrak datowany na I wiek p.n.e. Znalaziono w nim kilkaset długoszyich amfor z charakterystycznymi rączkami – bez wątplenia wytwór rzymskich garncarzy. Okręt spoczywał w osłoniętej zatoce, co sugerowałoby, że załoga chciała dobić do brzegu, by tam znaleźć schronienie. Pięć lat później u wybrzeży Wenezueli natknięto się na kolejny wrak, również pływający „pod rzymską banderą” ¹.

Jakie jest prawdopodobieństwo, że są to JEDYNE statki starożytnych, które dotarły do Ameryki? I jak duża szansa istnieje, że część z nich zdołała wrócić do ojczyzny? W obrębie Zatoki Meksykańskiej, Morza Karaibskiego oraz na obszarach położonych wzdłuż wybrzeża Oceanu Atlantyckiego i Spokojnego można trafić na legendy z powtarzającym się motywem nawiedzenia plemion i szczepów przez „bogów morza”. Kim oni byli?

Legendy przynoszą odpowiedź: biali bogowie przybyli zza morza. Prekolumbijska legenda meksykańska mówi o Quetzalcóatl, który przekazał tubylcom wiele umiejętności, przybywając wcześniej ze wschodu na statku z białymi skrzydłami. Ów białowłosy przybysz zaczął nauczać nowej religii oraz ustanowił prawa. Pokutuje dość powszechne przekonanie, że obszarem zamieszkiwanym przez jasnowłosych ludzi jest wyłącznie północ Europy. A jednak wśród północnoafrykańskich Berberów blondyni nie należą do rzadkości.

Według współczesnych antropologów ludy normańskie przybyły z kaukaskich równin, które – jak wiadomo – leżą w bezpośredniej bliskości krain Azji Mniejszej. Sama chronologia wyklucza wikingów jako białowłosych przybyszów ze wschodu, choć nie brakuje możliwości, gdy się pamięta, że po przyjęciu chrześcijaństwa nie było dla nich żadnym problemem wizytowanie Ziemi Świętej, czy to okrążając Półwysep Iberyjski i pokonując Cieśninę Gibraltarską, czy to płynąc rosyjskimi rzekami do Morza Czarnego.

Mumifikacja, z całym pracochłonnym procesem, stosowana była wśród większości plemion pacyficznego wybrzeża Ameryki Południowej. Nie znano jej w Indonezji, w przeciwieństwie do wysp Polinezji. Co charakterystyczne, w Ameryce Południowej i na archipelagach Oceanii zabalsamowani przodkowie nie byli grzebani w ziemi, lecz pozostawali w pobliżu żyjącej społeczności: w domach, świątyniach, rytualnych jaskiniach.



Wizerunek brodacza na azteckim naczyniu

Wśród czaszek należących do ludów starożytnego Peru z rejonu półwyspu Paracas oraz boliwijskiego Tiahuanaco stwierdzono współistnienie odmiennych typów, łącznie z rdzawo-brązowymi włosami. Niektóre mumie z Paracas zgotowały swoim znalazcom nie lada niespodziankę. Na przykład w jeden z tobołów zawinięty był mężczyzna z długą, bujną brodą. Metodą izotopu ^{14}C określono przybliżoną datę mumifikacji na rok 300 p.n.e. ².

W 1770 roku zdziwienie i zainteresowanie Hiszpanów biorących udział w ekspedycji pod dowództwem Felipe Gonzálesa y Haedo wywołały napotkane typy mieszkańców Wyspy Wielkanocnej, przypominających swym wyglądem bardziej Europejczyków niż Indian czy Polinezyjczyków. Dwu najrośniejszych zmierzono – jeden miał 199 centymetrów, a drugi 195 centymetrów wzrostu! Wielu z nich nosiło brody, a jeden z uczestników wyprawy dodawał nawet w swych wspomnieniach, że:

„Fizjonomie ich w niczym nie przypominają wyglądu Indian z kontynentu Chile, Peru czy Nowej Hiszpanii. Kolor ich skóry jest od białego, poprzez śniady aż do czerwonego. Nosi ich nie są płaskie, wargi nie są grube, zaś włosy mają miękkie o barwie kasztanowej; niektórzy tylko mają włosy czarne, inni wpadające w odcień rudy lub cynamonowy [...]. Zewnętrzny ich wygląd sprawia miłe wrażenie i przypomina bardziej Europejczyków aniżeli Indian” ³.

Rudowłose mumie znajdowano również na Wyspach Kanaryjskich. Nie dziwiło to europejskich przybyszów, ponieważ wśród tubylczej społeczności Guanczów osobnicy o takim kolorze włosów, bujnym zarostie i jasnej skórze trafiali się stosunkowo często. Akwarela Leonardo

Torrianiego z 1590 roku ukazuje Guanczów jako ludzi z białą skórą oraz żółtymi włosami. Są brodaci, choć ich zarost ma różną długość i kształt. Wyróżnia ich ponadto znajomość sztuki trepanacji, a także ceramiczne pieczęcie, przy jednoczesnym stosunkowo prymitywnym poziomie życia.

Jak dotarli na Wyspy Kanaryjskie, skoro nie potrafili budować jednostek pełnomorskich, a dysponowali jedynie łodziami-dłubankami, zdolnymi do pokonania krótkiego dystansu pomiędzy najbliższymi wyspami? Czy wystarczającym wyjaśnieniem jest teoria, że ich przodkowie nie znali innych łodzi, jak tylko trzcinowe żaglówki *madie*, które są w użyciu do dzisiaj na marokańskim wybrzeżu? Nikt nie nauczył ich „szkutników” konstruowania łodzi metodą spajania płaskich desek w wydrążoną i szczelną łódź. Czy dlatego pozostali bez statków zdolnych do żeglowania po otwartym morzu, gdy ostatnia łódź z trzciny rozpadła się ze starości, a na wyspach nie rósł papirus ani żadna inna pływająca trzcina?

To niejaki Quilaztli, starzec z Xochimilco, przekazał Motecuhzomie odziedziczoną po przodkach „archaiczną” przepowiednię. Przytacza ją w literackiej wersji legendy o Quetzalcóatlu, której zrąb faktów został oparty na źródłach pisanych z okresu prekolumbijskiego, były prezydent Meksyku José López Portillo y Pacheco: „Oto Ce-Acatl Quetzalcóatl, Pierwsza Trzcina Upierzonego Węża. To ja, który wciąż jeszcze nim jestem.

Słuchajcie! Teraz widzę przyszłość.

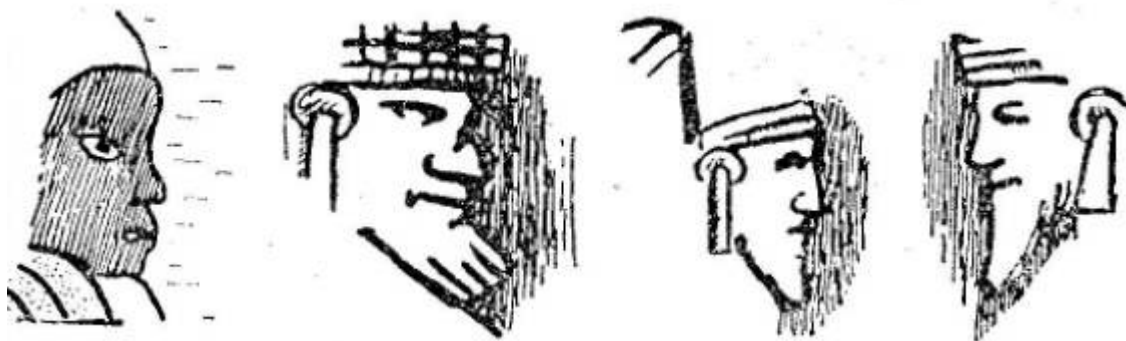
Wkrótce nastąpi moje odejście i sam stawię mu czoło. Wkrótce pójdę tam, gdzie przebywa mój ojciec. Sam odejdę. Moje odejście dotyczy tylko mnie.

Słuchajcie! Słuchajcie! A potem rozgłaszajcie na ziemi, bo dotyczy to mojego na nią powrotu!

Powrócę! Ja powrócę! Kocham tę moją obcą ziemię, na której żyłem przez pięćdziesiąt dwa lata, na której grzeszyłem, na której odbywałem pokutę!”⁴.

W świątyni wojny w Chichén Itzá odkryto – tyleż zagadkowe co zaskakujące – malowidła ściennie przedstawiające bitwę morską, w której udział biorą ludzie o jasnej karnacji skóry. Niektóre twarze przedstawione z profilu bez cienia wątpliwości wykazują cechy negroidalne oraz europoidalne. Przypadek? Fantazja artysty? Pojawiły się przypuszczenia, że takie przedstawienie postaci ludzkiej ma symbolizować jej zrodzenie się z morza. Przypomnijmy, że imię Viracocha oznaczało „piana morska” lub „osad morski”.

Gdy dodamy to tego pomalowany w naturalnych barwach relief na piramidzie Quetzalcóatla w Teotihuacán, przedstawiający tego boga, jak pływa pod postacią pierzastego węża pomiędzy konchami i muszlami, hipoteza nabiera cech prawdopodobieństwa. Wiele mówi się o Fenicjanach lub wikingach jako potencjalnych przybyszach ze Wschodu, ale zapomina się o dawnym ludzie z Azji Mniejszej – Hetytach. Cywilizacja hetycka istniała jeszcze przed Fenicjanami, rozkwitając na bogatych równinach wokół syryjskiego Aleppo.



Zagadkowe profile ze świątyni Chichén Itzá na Jukatanie

Przez te tereny prowadził niegdyś szlak karawanowy, łączący żyzne doliny Mezopotamii z basenem Morza Śródziemnego, przy czym dystans między Eufratem a wybrzeżem tego morza wynosi kilkaset kilometrów. Dzięki zabytkom wiemy także, że Hetyci dysponowali wielkimi jednostkami pływającymi, wykonanymi zarówno z drewna, jak i z trzciny. Ważnym odkryciem okazała się stela hetycka z reliefem, przedstawiająca brodatego człowieka, który unosi rękę z zamiarem zabicia rogatego węża, stojącego przed nim pionowo na końcu ogona.

Wykazuje ona specyficzne podobieństwo z olmecką stelą odnanioną w La Venta nad Zatoką Meksykańską, na której znajduje się taki sam motyw. Podobieństwa charakterystyczne są również dla motywów oraz techniki wykonania dzbanów figuralnych, kamiennych posągów z oczami z obsydianu lub muszli, wielkich zerodowanych wzgórz z cegły *adobe*, symbolicznych wyobrażeń kapłana-słońce z pióropuszem oraz ciałem pół-ptaka i pół-węża.

Najstarszy wizerunek meksykańskiego Pierzastego Węża ma około 3500 lat, czyli przypada na okres największej świetności państwa Hetytów. Równie duże znaczenie ma wygląd znaków pisma hetyckiego, na które natrafiono na płaskorzeźbach. Nie przypominają pisma klinowego Sumerów lub egipskich ideogramów. Najmocniej w oczy rzuca się ich podobieństwo pod względem stylu, wykonania oraz zastosowania do hieroglifów najwcześniejszych mieszkańców Ameryki Środkowej: Olmeków czy Misteków.

Kronikarz meksykański Fernando Alvarado Tezozomoc, autor dzieła zatytułowanego *Crónica mexicayotl* z 1609 roku, podczas spotkania z azteckimi artystami, kiedy ujrzał rysunki pierwszych brodatych Hiszpanów, miał powiedzieć: „To z pewnością Quetzalcóatl, na którego czekaliśmy, ten, który żył z nami w dawnych czasach w mieście Tula. Bez wątpienia to jest on, Ce Acatl Inacuii, Bóg z Trzciny, ten, co wyruszył w drogę”⁵.

Na potwierdzenie prawdziwości i dawności profecji Quilaztli pokazał „bardzo stare” malowidło przedstawiające wszystko, o czym mówił. Chcąc nie chcąc, nasuwa to myśl, że mamy do czynienia z realną obserwacją, przypadkową i jednorazową, utrwaloną w postaci malowidła i wtórnie przekształconą w profecję. Uwagę zwraca nie tylko naoczność pojawiających się w opisie konkretów, połączona z uwypukleniem elementów najbardziej dla Indian zaskakujących (m.in. różnobarwne stroje, nakrycia głowy), lecz także obecność pewnych szczegółów.

To zdaje się świadczyć, że źródłem wiedzy starca Quilaztli było rzeczywiście „malowidło” – piktograficzny zapis jakiegoś realnego zdarzenia. Nadaje ono opisowi posmak autentyku sprzed konkwisty, gdyż wydaje się mało prawdopodobne by ktoś, kto wymyślał „archaiczne” przepowiednie w okresie postpodbojowym, zdecydował się pisać o czymś równie absurdalnym z punktu widzenia ówczesnej wiedzy o Hiszpanach⁶.

Fakt, że wśród różnych cywilizacji w odległych punktach naszego globu pojawiły się wspólne formy kulturowe może wynikać z tak zwanego prawa konwergencji. Zgodnie z nim identyczne lub podobne potrzeby i warunki życiowe są impulsem do stworzenia tych samych wytworów kultury materialnej. Co jednak powiedzieć w przypadku wytworów sfery duchowej, czyli mitów i podań, wśród których jednym z najczęstszych jest indiański mit o ojczyźnie na wschodzie za wielką wodą i przybyciu stamtąd Mesjasza o białej cerze? Podróżujący po Ameryce Południowej na początku XIX

wieku Aleksander Humboldt opisuje postać imieniem Amalivaca, „ojca” wenezuelskich Tamanaków znad środkowego Orinoko, który:

„Kiedy zaprowadził już ład w Ameryce, z tej strony wielkiej wody, odpłynął z powrotem na drugi brzeg, skąd przybył. Odkąd tubylcy widzieli napływających misjonarzy, uważali, że tym »drugim brzegiem« jest Europa, a jeden z nich naiwnie zapytał ojca Gili, czy widział tam wielkiego Amalivaca, ojca Tamanaków, który na skałach wyrył symboliczne znaki [...]. Amalivaca był cudzoziemcem, jak Manco Capac, Bochica i Quetzalcóatl, ci niezwykli ludzie, którzy w alpejskiej lub cywilizowanej strefie Ameryki, na wyżynach Peru, Nowej Granady i Anahuac zaprowadzili ład społeczny, służbę ofiarną i ugruntowali bractwa religijne” ⁷.

Popol Vuh – „biblia” plemienia Quiché, zamieszkującego tereny dzisiejszej Gwatemali, mówi o wyprawie trójki bohaterów na Wschód, by złożyć przysięgę potężnemu królowi: „Potem postanowili wyruszyć na Wschód, pragnąc wypełnić w ten sposób zalecenia swych ojców, których nie zapomnieli. Upłynęło już wiele czasu, odkąd umarli ich ojcowie, gdy plemiona dały im żony i spowinowacili się, gdy trzech wzięło sobie żony.

A odchodząc rzekli:

– Ruszamy na Wschód, tam skąd przybyli nasi ojcowie,

Tak rzekli, gdy ruszyli w drogę trzej synowie. Qocaib nazywał się jeden i był synem Balam-Quitze z rodu Cavec. Zwany imieniem Qoacutec był synem Balam-Acaba z rodu Nihaib; i ostatni, który nazywał się Qoahau, był synem Mahucutaha z rodu Ahau-Quiché.

Takie są więc imiona tych, którzy udali się tam, za morze; wyruszyli wówczas ci trzej i obdarzeni byli rozumem i doświadczeniem, ich stan nie był stanem ludzi próżnych. Pożegnali się ze swymi wszystkimi braćmi i krewnymi i odeszli z radością.

– Nie umrzemy, powrócimy – rzekli, gdy we trzech ruszyli w drogę.

Z pewnością przeszli przez morze, gdy dotarli tam na Wschód, gdy poszli, aby otrzymać godność królewską. I takie było imię Pana, króla Wschodu, tam gdzie przybyli. Gdy stanęli przed obliczem Pana Nacxit, takie bowiem było imię wielkiego Pana, jedynego najwyższego sędziego wszystkich królestw, ów wręczył im insygnia królewskie i wszystkie ich oznaki” ⁸.

Kim był ów tajemniczy władca równie zagadkowego królestwa? Biskup Diego de Landa zrelacjonował opowieści najstarszych Indian, które oni

z kolei usłyszeli od swoich przodków. Mówią one, że lud, który zasiedlił ich kraj, nadciągnął ze Wschodu i jeszcze długo utrzymywał kontakty ze swoją pierwszą ojczyzną. W podobnym tonie pisał jego rodak Bernardino de Sahagún:

„O pochodzeniu tych ludzi, na podstawie relacji podawanej przez starszych, wiadomo, że przybyli od strony morza, z kierunku północnego. I w istocie przybyli w łodziach, które nie wiadomo, jak były wykonane. Przypuszcza się tylko, że według opinii, jaka krąży pośród wszystkich rdzennych mieszkańców o tych, co wyszli z siedmiu jaskiń, te siedem jaskiń to były łodzie lub statki, na których przypłynęli pierwsi mieszkańcy tej ziemi. Tak ustalono na podstawie prawdopodobnych przypuszczeń. Najpierw ludzie przybyli, by zasiedlić tę ziemię od Florydy. Omijając niebezpieczeństwa, przybyli i zeszli ze statku w porcie Pánuco, nazywanym przez nich Panco, co oznacza miejsce, gdzie dotarli ludzie, którzy przebyli wodę” [9](#).

Kto wie, czy to nie o nich mówią legendy indiańskie, według których pewnego dnia wśród Azteków i Majów pojawili się brodaci biali ludzie. Przytoczmy jeszcze raz słowa Diego de Landy:

„[...] opowiem, co mi powiedział władca Indian, człowiek obdarzony wielką wiedzą i cieszący się wielkim poważaniem. Gdy rozmawialiśmy pewnego dnia o tej sprawie, i gdy zapytałem go, czy kiedykolwiek słyszał o nowinie Chrystusa, Naszego Pana albo o Jego krzyżu, powiedział mi, że nigdy nie słyszał od swych przodków o Chrystusie czy krzyżu, z wyjątkiem tego, że gdy zniszczyli pewien niewielki budynek na wybrzeżu, znaleźli w nim kilka grobów, a wśród ciał i kości zmarłych znajdowały się niewielkie metalowe krzyże i że nie myśleli o sprawie krzyża aż do teraz, gdy stali się chrześcijanami i zobaczyli, że trzeba go czcić i oddawać hołd, i pomyśleli, że owi pochowani tam zmarli też musieli być chrześcijanami. Jeśli tak rzeczywiście było, możliwe, że dotarli tam jacyś nieliczni ludzie z Hiszpanii i wkrótce dokonali żywota, nie mogła więc pozostać po nich pamięć” [10](#).

Jak odległy musiał to być okres, niech świadczy fakt, że zapomniano o tych wydarzeniach, dlatego trudno dopatrywać się w przybyszach wikingów. O kogo może chodzić? Przywódcą ludu zwanego Pelazgami, czyli Ludem Morza, był Forkis. Tego samego określenia (Pulasta) używał panujący w XII wieku p.n.e. faraon Ramzes III na ścianach swojej świątyni

w Madinat Habu w Tebach Zachodnich w odniesieniu do najeźdźców, którzy zaatakowali Deltę Nilu.

Innymi słowy, egipski termin Pulasta i grecki Pelazgowie określał tych samych obcych przybyszów. Nazwa Pelazgów pochodziła od Pelasgosa, „Pierwszego Człowieka”, jaki postawił stopę na greckiej ziemi, syna Gai – bogini ziemi – i księcia, który przybył do Egei z grupą uciekinierów. W malowidłach na wazach był przedstawiany jako brodaty mężczyzna wysuwający się głową do przodu z paszczy monstrualnego węża morskiego przed boginią Ateną.

W tej jednoznacznej symbolice Pelasgos oznacza przybycie do Grecji Pelazgów i cywilizacji. Taki sam obraz pojawia się po przeciwległej stronie świata, w mezoamerykańskich wyobrażeniach przynoszącej cywilizację Pierzastego Węża, którego również przedstawiano jako brodatego mężczyznę o jasnej skórze wyłaniającego się z paszczy wielkiego węża. Przez Tolteków nazywany Tollanem, miał przybyć ze wschodu, zza Oceanu Atlantyckiego, uciekając przed klęską żywiołową, która zniszczyła jego ojczyznę.

Podobnie Pelasgos dotarł na Peloponez z zachodu, po straszliwej powodzi. Porównując te dwa mity pochodzące z tak odległych od siebie części świata, można dojść do uzasadnionego wniosku, że oba mówią o tej samej katastrofie. Pytanie tylko, kim byli owi przybysze? Toltecki Quetzalcóatl był boskim władcą drugiej ery „Czterech Wiatrów”, u której schyłku huragany zniszczyły świat, a ludzie zamienili się w mały. Kult tego boga był szeroko rozwinięty.

Dzielił on władzę z innymi głównymi bóstwami, a jego atrybuty przedstawiane w świętych rękopisach pokazują go w zmiennej postaci, stąd często przypisywano je bóstwom plemiennym innych obszarów. Podobnie rzecz się miała w przypadku bóstw egipskich, gdzie bóstwa przejmowały rysy innych bogów, często charakter jednego boga łączono z cechami innego. Potężniejsze bóstwo mogło zamieszkać w słabszym i wzmocnić je, przy czym żadne nie traciło własnej indywidualności.

Quetzalcóatl często przyjmował na przykład postać misteckiego Tezcatlipoca, który przedstawiany był jako bóstwo królujące nad czterema stronami świata, tylko za każdym razem namalowane w innym kolorze. Właśnie jego „białą” wersję przejmował Quetzalcóatl, związany ze wschodem w roli Gwiazdy Porannej oraz z zachodem – jako Gwiazda

Wieczorna. Pod nazwą „Pierzastego Węża”, lecz z zachowaniem atrybutów władzy Tezcatlipoca, kierował losami mieszkańców miasta Cholula.

Wśród różnych wcieleń Quetzalcóatla najbardziej znane to Ehecatl – bóg wiatru, Xolotl – jego „drogocenny bliźniak” oraz Tlahuizcalpantecuhtli, czyli bóg Wenus w fazie Gwiazdy Porannej, uważanej również – jak odnotowano powyżej – za jedną z inkarnacji Pierzastego Węża. Wielopostaciowość i różnorodność ról, jakie przypisywano Quetzalcóatlowi, sprawiają, że można tę postać interpretować i mitologizować na różne sposoby.

W skrajnie idealistycznych interpretacjach był twórcą wszelkich najwyższych wartości duchowych mieszkańców starożytnego Meksyku. Równie wiele odmiennych wersji dotyczy narodzin oraz śmierci Quetzalcóatla oraz późniejszych cudownych przemian. Informatorzy franciszkańskiego kronikarza Bernardino de Sahagúna twierdzili, że:

„Natychmiast (Quetzalcóatl) poszedł w kierunku morza,
w kierunku ziemi czerwonej (Tlapalan)
tam znikł
Nasz Księżę Quetzalcóatl [...]” [11](#).

I dalej:

„kiedy Nasz Księżę Quetzalcóatl
udał się w stronę morza,
aby zamieszkać na ziemi
koloru czerwonego,
w miejscu, gdzie spłonął w płomieniach” [12](#).

Alvarado Tezozomoc, sam wywodzący się z arystokracji meksykańskiej, przytacza następujące słowa, które miał wypowiedzieć Motecuhzoma, gdy u wybrzeży Meksyku w 1518 roku pojawiła się wyprawa Juana de Grijalvy: „[...] starcy z Tulan [Tollan] uważają za bardzo pewne to, co im zapowiedział ich bóg Quetzalcóatl, że ma znowu panować w Tulan i nad całym tym światem, i to, że kiedy odchodził, zabrał, a idąc, pozostawiał za sobą w górach i rzekach złoty kruszec oraz szlachetne kamienie, które dziś mamy i używamy [...] oświadczył w Tulan [...], że ma wrócić z nieba,

dokąd się udał na spotkanie z Innym bogiem, które to miejsce, dokąd zdążył, nazywane jest Tlapal[lan [...]" [13](#).

W momencie przybycia Hiszpanów istniało więc psychokulturowe podłoże, które nawet bez intencjonalnych, motywowanych racjami politycznymi działań mogło zrodzić hipotezę, że przybysze ze wschodu są związani z Quetzalcóatlem. Bezspornym faktem jest rewitalizacja legendy o Quetzalcóatlu na skutek pojawienia się Hiszpanów. Mistekowie mieszkający na południu Meksyku nazywali go Yucano („Jasne światło”). Quetzalcóatl miał również swoje ołtarze i posągi w świątyniach Azteków w Uitzilopochtli w Tenochtitlán i Tezcocanów w świątyni Tezcatlipoki w Tezcoco.

Na Jukatanie czczono również Itzamnę, który był dawnym herosem i bogiem Majów, noszącym niegdyś imię Zamna („Niebiańska Rosa”). Itzamną stał się wówczas, gdy został bogiem plemienia Itza. Majowie opowiadali Hiszpanom także o innym brodatym cywilizatorze, który odwiedził ich, a także lud Nahua. Jednak Kukulcán, bo tak go nazywano, nadciągnął z zachodu. Chociaż niektórzy badacze sugerują, że Kukulcán i Quetzalcóatl to jedna i ta sama osoba. Jak w każdym micie, i w tych opowieściach tkwi prawdopodobnie jakieś większe lub mniejsze źdźbło prawdy. Zagadką pozostaje, czy jest to źdźbło trawy, czy bambusa?

Te dwukrotne odwiedziny morskich podróżników zyskały nazwę Wielkiego oraz Małego Przybycia i wydaje się, że to drugie miało mniej cech boskich. Prowadzący swych towarzyszy Kukulcán zakazał prowadzenia wojen, agresji, czym przypomina postępowanie meksykańskiego Quetzalcóatla. Zresztą imiona obu mitycznych bóstw znaczą to samo, ponieważ nazwa *kukul* oraz *quetzal* odnosi się do tego samego pięknego ptaka, którego pióra wykorzystywano do ozdabiania strojów wybitnych osobistości. Natomiast określenie węża w języku Majów *can* oznacza to samo co azteckie *coatl*.

Po zakończeniu swej misji Kukulcán miał oddalić się w stronę zachodzącego słońca, a tamtejsze tereny zamieszkiwało plemię Centalów, które – jakżeby inaczej – również gościło tajemniczego przybysza. W tradycji tego ludu nosił on imię Wotan (lub Uo-Tan). Zgodnie z legendą tych jukatańskich Indian do brzegów przybiło wiele obcych statków, z których na ląd zeszli wysocy ludzie o jasnych włosach i oczywiście niebieskich oczach.

Odziani byli w dziwne szaty, a na ich czołach znajdowały się ozdoby w kształcie węża. Ze względu na długie, powiewne szaty byli określani mianem *tzequil*, czyli „odziani w długie koszule”. Mieli przybyć z kraju, który sami nazywali *ualum uotan*. Tradycja przekazuje, że Wotan odwiedzał lud Centalów czterokrotnie. Podczas tych wizyt przekazał im zasady uprawy, prawa, pisma, a także pewnych rytuałów religijnego kultu, przez co niekiedy nazywany był także „Mistrzem Świętego Bębna”, gdyż ten instrument przywoływał do odbycia obrzędowych tańców.

Ponieważ zapamiętany został również jako twórca kalendarza, stąd jego imię stanowiło nazwę trzeciego dnia w ich dwudziestodniowym kalendarzu. Imię Wotan – będące odpowiednikiem *can* u Majów – było zarazem pierwszym znakiem bóstwa, według którego liczyli swój rok. Ich sąsiadów, Indian Zoque, odwiedził dobroczyńca Condoy, który miał wyłonić się z grotty u stóp góry. W Gwatemali, wśród ludu Quiché, najwyższej rozwiniętego pod względem kulturowym ludu Ameryki Środkowej w okresie hiszpańskiej konkwisty, gościł inny „wędrowiec”, znany między innymi jako Gucumatz.

O jego bytności pisał kronikarz Fuentes y Gusmán, który miał szczęście zapoznać się z trzema zaginionymi w późniejszych latach manuskryptami ludu Quiché. Oto początek jednego z nich: „Ja, Don Francisco Gómez, dawniej Ahzib Quiché, opisuję oto na tym papierze historię przybycia naszych ojców i dziadów z tamtego brzegu morza, gdzie wstaje słońce” ¹⁴. Cytowana już księga narodu Quiché *Popol Vuh* podaje:

„Różne były ich imiona, gdy się rozmnożyli tam na Wschodzie, i wiele było imion ludów: Tepeu, Oloman, Cohah, Quenech, Ahau, bo tak się nazywali ci ludzie tam na Wschodzie, gdzie się rozmnożyli [...]. Byli tam wówczas w wielkiej ilości ludzie czarni i ludzie biali, ludzie różnych rodzajów, ludzie różnych języków, które wprawiały w podziw, gdy się ich słuchało” ¹⁵.

Ponieważ Indianie z plemienia Quiché nie byli narodem morskim, zastanawiał ich fakt pokonania przez przodków rozległego akwenu morskiego: „Nie jest jednak całkiem jasne, jakie było ich przejście przez morze; jakby nie było morza, przeszli na tę stronę; po kamieniach przeszli, po kamieniach okrągłych, leżących na piasku. Z tej też przyczyny zostały one nazwane Kamieniami w Szeregu, Wyrwanymi Piaskami, takie imiona im nadali, gdy wędrowali pośród morza, pośród rozstępujących się przed nimi wód” ¹⁶.

Podążając tropem wędrownych krzewicieli wiedzy, idziemy dalej na południowy wschód. Na terenie współczesnego Salwadoru natrafiamy na ceramiczne głowy z brodatymi obliczami. Brodaci ludzie pojawiają się na prehistorycznych konstrukcjach megalitycznych w panamskim Coclé. W tym kraju Indianie Kuna posługiwali się pismem obrazkowym, za pomocą którego uwiecznili na drewnianych tablicach między innymi tradycję o przybyciu do nich wielkiej osobistości. Migrujący kapłan pojawia się także wśród mieszkańców Pampy jako Pay Zume (Pay – kapłan, bóstwo).

Przekazy ludu Chibcha, który zamieszkiwał tereny dzisiejszej Kolumbii i tylko nieznacznie odstawał poziomem od innych wysoko rozwiniętych kultur z tego okresu – Inków i Azteków – mówią, że wszelkie nauki otrzymali od przybysza ze wschodu: „Zdarzyło się to dwadzieścia pokoleń wstecz. Objawił się na tych ziemiach człowiek, którego nikt nie znał. Był to starzec o długiej, białej brodzie, sięgającej pasa. Jego siwe włosy związane były wstążką. Miał bose stopy. Ubrany był w bawełnianą tunikę, przykrywającą kolana i długą mantę, której końce powiązane były w węzeł na prawym ramieniu. Od tego czasu oni ubierać się będą tak samo. Mówiono, że przywędrował ze wschodu, tam, gdzie po horyzont ciągną się równiny, przecięte bystrymi wodami rzek.

[...] długo jeszcze zachowała się pamięć o nim i o jego naukach. Ci, co słuchali nauk, na skałach malowali jego podobiznę, a w jaskiniach, w wapiennych głazach rzeźbili jego postać. W tych bowiem jaskiniach, nad brzegami rzeki Sugamuxi, miał zwyczaj spędzać noce. Z ziemi Guanów zawrócił na wschód i zawędrował na ziemie Hunzy i do doliny Iraca. Potem zniknął [...]” [17](#).

Legenda ta przytoczona została w *Krainie Mwiszków. Przewodniku po Eldorado* Adama Elbanowskiego, który podaje też inną wersję mitu o losach tajemniczego przybysza:

„Opowiadają o nim jeszcze inaczej. Nazywali go Nemqueteba albo Bochica, albo Zuhe. Niektórzy dowodzili, że było trzech różnych przybyszów, a każdy z nich przywędrował w innym czasie, aby nauczać, i każdy nosił inne imię. Było to bardzo dawno temu, ale przecież pamiętali to, co opowiadali przodkowie. Nie było ich trzech, ale jeden, a tylko obdarzali go różnymi imionami. Przybysz miał długą brodę do pasa i włosy ułożone w koronę, zdobną we wstążki, a nad czołem zatknięte miał barwne

pióra. Odtąd, jak on, przewiązywali włosy, chodzili boso i okrywali się mantami.

Pokazał im, jak dobrze żyć. Dał im sprawiedliwe prawa. Zapowiedział im, że po śmierci będą osądzeni, a ich dusze żyć będą i potem powrócą do ciała. Nauczył ich wszystkiego. Odszedł potem na północ. Zdarzyło się znacznie później, że wylały rzeki płaskowyżu i potężne wody pokryły całą ziemię wokół Bogoty, aż po najwyższe góry. Wezwali go na pomoc, a wtedy on powrócił i cofnął spiętrzone rzeki i uratował ich przed potopem” [18](#).

Według ludu Chibcha przybysz pochodził ze wschodu, z obszaru dzisiejszej Wenezueli. Łatwo dostrzec podobieństwo z kolumbijskimi odpowiednikami imion tamtejszego wędrowca: Tsuma oraz Zume. Z tą różnicą, że wenezuelski bohater nie osiedlił się wśród Indian. Pośród legend górskich plemion, zwłaszcza znad jeziora Titicaca, w przeciwieństwie do tych z wybrzeża, znajdujemy i taką, która opowiada o przybyciu jasnowłosego mężczyzny o białej skórze.

Indianie określali jego brodatych towarzyszy mianem *mitimas*, co w języku keczua oznacza osadnika bądź kolonizatora, natomiast ich przywódcy nadali imię Wirakocza. W Peru krąży mnóstwo opowieści o białych brodatych wędrowcach, którzy przybyli z bliżej nieokreślonego rejonu, by po jakimś czasie odejść w kierunku zachodnim. Pedro Pizarro, kuzyn i towarzysz słynnego konkwistadora, zwraca uwagę w swojej *Relacji o odkryciu i podboju Królestwa Peru* na jasną karnację inkaskich dam:

„Panie, o których mówię, były bardzo czyste i schludne, nosiły rozpuszczone na ramiona włosy, czarne, bo takie starały się mieć, i bardzo długie. Szczyciły się swoją urodą i zaiste prawie wszystkie córki władców i długouchych były piękne. Ze zwykłych Indianek najładniejsze i najlepiej ogładzone były Indianki Guanca, Chachapoya i Cañares; reszta tych kobiet była pospolita – ani piękna, ani brzydka, lecz średniej urody. Ludność królestwa Peru jest biała, śniada, a władcy i ich kobiety jeszcze jaśniejsi, jak Hiszpanie. Widziałem kobietę indiańską z dzieckiem, którzy byli tak biali i jasnowłosi, że aż strach. O takich mówiono, że to dzieci bóstw” [19](#).

Teraz należałoby przypomnieć sobie malarstwo hiszpańskie z tamtego okresu, a przede wszystkim przedstawiane przez ówczesnych artystów kobiety. Ich wyobrażenia piękności niewieściej różnią się od naszego ideału kobiecej urody. Czy hiszpańscy przybysze mieli odmienny gust od rodaków? Bo jak inaczej tłumaczyć, że żenili się z inkaskimi

księżniczkami, nie wahali się przedstawiać ich królewskiej parze w Madrycie, a niecały wiek po podboju złożyli prośbę z podpisami 567 reprezentantów starych królewskich rodzin o... zwolnienie z podatków!

Warto też odnotować, że chociaż rdzenni obywatele imperium inkaskiego nie mieli bród, ale znali słowo na określenie brody – *sonkhasapa*. Inny kronikarz hiszpański, Pedro de Cieza de León, opisując w 1553 roku ruiny megalitycznych osad opuszczonych na długo przed pojawieniem się jego rodaków, odnotował: „Kiedy pytać Indian, kto postawił te starożytne budowle, odpowiadają oni, że budowniczymi byli podobni do nas biali i brodaci ludzie, którzy przybyli w te okolice wiele wieków przed początkiem panowania Inków i zbudowali tutaj osiedle” [20](#).

Mowa o Vinaque, stanowisku pomiędzy Cuzco a wybrzeżem Pacyfiku. Natomiast o Tiahuanaco tak opowiada: „W obecności Juana de Vargas pytałem tubylców, czy te budynki zostały zbudowane w okresie panowania Inków, ale oni śmieli się z tego pytania, twierdząc, że postawiono je, jeszcze zanim rozpoczęły się rządy Inków [...]. Zarówno z tego, jak i z faktu, że i oni opowiadają o brodatych ludziach na wyspie Titicaca oraz o innych, którzy byli twórcami budowli w Vinaque, można by wnioskować, że jeszcze przed panowaniem Inków była tu obdarzona inteligencją rasa, która przybyła nie wiadomo skąd i dokonała tych czynów” [21](#).

Cytowany wcześniej Pedro de Cieza de León podawał: „Indianie mówią, że zanim zapanowali Inkowie [...] nagle pojawił się z południa biały dostojny człowiek ogromnego wzrostu. Był tak potężny, że góry zamieniał w doliny, a doliny w góry, sprawiając, iż potoki płynęły z żywych kamieni. Kiedy poznali jego siłę, nazwali go stwórcą wszelkiego stworzenia, władcą wszechrzeczy – Ojcem Słońca, gdyż nadal czynił jeszcze większe cuda, dając życie ludziom i zwierzętom. Za jego sprawą spotkało ich wiele dobra. Taką oto historię opowiedzieli mi Indianie, którzy słyszeli ją od swych ojców, ci zaś z kolei słyszeli o niej z pradawnych pieśni pochodzących ze starożytności.

Mówią, iż człowiek ów powędrował wzdłuż górskich grzbietów na północ, czyniąc po drodze cuda. Nigdy go już potem nie ujrzeli. Po drodze uczył ludzi, jak mają żyć, zwracając się do nich z wielką miłością i serdecznością, napominając, by byli dobrzy, nie czynili innym krzywdy, kochali się nawzajem i okazywali sobie miłosierdzie. W większości miejsc nazywano go Ticci Wirakocza. W wielu miejscach budowano świątynie,

stawiając mu w nich posągi i składając przed nim ofiary. Ogromne statuy w Tiahuanaco pochodzą ponoć z tamtych czasów.

Po upływie długiego czasu ujrzeli innego człowieka, który go przypominał, lecz nie wiedzą, jak miał na imię. [...] Zobaczyli, że na jego rozkaz ogień wygasa, choć kamienie zostały spalone w taki sposób, że wielkie głązy można było podnieść rękoma, jakby były z korka. Mówili dalej, że opuściwszy miejsce tego zdarzenia człowiek ów przybył na wybrzeże, a rozpostarłszy oponcę, wszedł pośród fale morza i nikt go już potem nie widział. Kiedy to uczynił, nadano mu imię Wirakocza, co oznacza »morska piana«” [22](#).

Inny kronikarz hiszpański, Pedro Sarmiento de Gamboa, podał, że o Wirakoczy i jego towarzyszach mówiono, że „podróżowali wodą, jakby to był łąd, a nie tonęli. Wyglądali jak piana na wodzie i ludzie dlatego nadali im nazwę Viracocha, co znaczy tyle samo, co tłuszcz albo piana na morzu”. Sposób podróżowania przypomina jako żywo przybycie przodków narodu Quiché. Jezuicki historyk i kronikarz Anello Oliva odnotował natomiast:

„Wielu podejmowało podróże wzdłuż wybrzeża, a niektóre statki uległy rozbiciu. W końcu jeden ród osiedlił się na pewnej wyspie o nazwie Guayau, niedaleko wybrzeży Ekwadoru [...]. Na tej wyspie urodził się Manco Capac, a kiedy jego ojciec Atau umarł, Manco Capac postanowił opuścić miejsce swego urodzenia i poszukać bardziej urodzajnych okolic. Tak więc wyruszył w drogę takim statkiem, jaki posiadał, z dwiema setkami ludzi, podzielonymi na trzy grupy. Po dwóch z nich słuch przepadł na zawsze, on jednak, ze swoim orszakiem wylądował w pobliżu Ica na wybrzeżu peruwiańskim. Stamtąd pospieszyli w góry i dotarli do brzegów jeziora Titicaca” [23](#).

Dalej dowiadujemy się, że przybysze rozdzielili się, a większość ukryła się na wyspie na jeziorze Titicaca, którą później określano mianem Wyspy Słońca. Po jakimś czasie zebrali się ponownie, a na brzegu ukazał się Manco Capac we wspaniałym stroju jako syn Słońca: „pokryty złotem, równie promienny jak jego ojciec [...]. Na wieść o tym zebrali się ludzie z całej okolicy, by oglądać cudowną istotę” [24](#).

Kimkolwiek był ten czczony przedinkaski przybysz, zachowywał się całkiem odmiennie od późniejszych europejskich intruzów. Hiszpańscy najeźdźcy natknęli się w świątyni w Cuzco i rozbili na kawałki marmurowy posąg, który według anonimowej relacji miał być „taki sam zarówno pod

względem włosów, cery, rysów twarzy, jak i stroju i sandałów, jak przedstawiany przez malarzy Apostoła św. Bartłomieja” ²⁵.

Po dotarciu do Cacha, gdzie znajdowała się świątynia Wirakoczy, ponownie zobaczyli posąg brodatego mężczyzny w długiej szacie. Współczesny konkwistadorom Inca Garcilaso de la Vega pisał: „Nadali mu imię widma, które mu się ukazało, widmo bowiem oświadczyło, że tak się nazywa. A ponieważ książę mówił, że miało zarost na twarzy, odmiennie od Indian, którzy zazwyczaj zarostu nie mają, i odziane było w szatę do pięt, różną od stroju noszonego przez Indian, który nie sięga poniżej kolan. To stąd się wzięło, że nazwali *Vira cochami* pierwszych Hiszpanów, którzy wtargnęli do Peru, ponieważ widzieli, że mają brody i całe ciało okryte ubraniem” ²⁶.

W następnym rozdziale ten sam kronikarz, zwany niekiedy Herodotem Ameryki Południowej, uzupełniał swój opis: „Był to człowiek słusznego wzrostu, z brodą długą na ponad piędź, w szatach długich i obszernych niczym tunika lub sutanna, sięgających pięt, na łańcuchu przywiązany na szyi miał dziwne zwierzę nieznannej postaci z lwimi pazurami, koniec łańcucha znajdował się w jednej ręce posągu [...]. Posąg przypominał wyobrażenia naszych błogosławionych apostołów, a ściślej postać świętego pana Bartłomieja, ponieważ malują go z szatanem uwiązany u stóp, tak jak posąg *Inki Vira cochy* z nieznanym zwierzęciem. Hiszpanie ujrawszy tę świątynię i posąg, rzeczono go kształtu, zaczęli się dorozumiewać, iż mogło się zdarzyć, że apostoł święty Bartłomiej dotarł do Peru owym poganom dobrą nowinę głosić i że ku jego pamięci Inkowie sporządzili posąg i świątynię” ²⁷.

Dzisiaj trudno znaleźć ślady po tych białych wędrowcach, choć zadziwiająco zbieżne są dalsze losy krzewicieli kultury na terenie Meksyku i Peru. Obaj (Quetzalcóatl i Wirakocza), opuszczając kraj ze swoimi towarzyszami, najpierw rozjechali się w różnych kierunkach. Dopiero na koniec, zebrawszy się na wybrzeżu, wyruszyli przez morze w dalszą drogę: Wirakocza na zachód, Quetzalcóatl na wschód: „Na koniec przybył on na wybrzeże morskie, gdzie zbudował tratwę z węży, a siadłszy na niej niczym na kanu, wyruszył na morze” ²⁸.

Odkrycia – nie tylko archeologiczne, lecz także botaniczne – potwierdziły, że mieszkańcy peruwiańskiego wybrzeża zapuszczali się na wyspy Galapagos. Czynili to wieki wcześniej, niż gdy przybrzeżny prąd

pochwycił statek wiozący do Peru biskupa Panamy, Thomasa de Berlangę – „odkrywcę” tego archipelagu w 1535 roku. Po dziesięciodniowym, bezradnym dryfowaniu Hiszpanów w równikowym pasie ciszy wyłoniła się wreszcie pierwsza wyspa.

Znamienne jest, że europejscy żeglarze byli w posiadaniu okrętów i kompasów, a Indianie mieli do dyspozycji „wyłącznie” tratwy z balsy, które nie prezentują się zbyt okazale, wydają się niezgrabne i mało trwałe. Niezależnie jednak od tego, z którymi brzegami Oceanu Spokojnego połączymy pochodzenie Polinezyjczyków, ich skład rasowy stanowi intrygującą zagadkę. Dość powszechny jest typ europoidalny, zwany arabsko-semickim, ze stosunkowo bujnym zarostem, wąskimi wargami oraz niekiedy rudobrazowymi falistymi włosami i charakterystycznym garbatym nosem.

Cechy fizyczne mieszkańców wschodniego Pacyfiku w sposób zasadniczy kontrastują z cechami ich pobratymców z części zachodniej, zwłaszcza z negroidalną Melanezją. Najbliższą amerykańskiego wybrzeża zamieszkaną wyspą – pomijając Wyspę Wielkanocną – jest Mangareva, która leży na południowo-wschodnim krańcu archipelagu Tuamotu. Wśród jej mieszkańców krążyła legenda o czerwonym wodzu noszącym imię Tupa, który przybył ze wschodu na czele floty złożonej z czółen typu niepolinezyjskiego, przypominających bardziej tratwy.

Szykując się do powrotu, Tupa miał opowiedzieć mieszkańcom o ich licznych sąsiadach ze wschodniego kraju, którymi rządzi potężny władca. Zgadzałoby się to z inkaskim przekazem, według którego czterysta tratw pod dowództwem dziada Atahualpy – Inki Tupac Yupanqui – dotarło do odległych wysp. Indianie z okolic miasta Ica, jak również mieszkający znacznie dalej na południe, w pobliżu chilijskiego Arica, opowiadali Hiszpanom o dawnych wyprawach żeglarskich na morza południowe, podczas których mieli dotrzeć do wysp leżących daleko na zachodzie.

Prawdziwości tych opowiadań starał się dowieść nawigator, kronikarz inkaski oraz „kat” tego narodu (gdyż to on osobiście pojmał ostatniego władcę, Inkę Tupac Amaru) w jednej osobie – Pedro Sarmiento de Gamboa. Dzięki jego staraniom ekspedycja, którą dowodził bratanek wicekróla Peru, Alvaro Mendaña de Neyra, wyruszyła z peruwiańskiego portu Callao 19 listopada 1567 roku. Zapasy dla wyprawy obliczono na podstawie wskazówek Inków oraz obliczeń Sarmiento de Gamboa, czyli – zgodnie z prawdą – na dwa miesiące.

Gdyby nie zmiana kursu wprowadzona przez głównego pilota, z którą zgodził się dowódca wyprawy, to oni jako pierwsi dobiliiby do wybrzeży Wyspy Wielkanocnej. Gdyby nie kolejna zmiana kursu, statki osiągnęłyby archipelag Tuamotu. A tak „chwiejny” kurs spowodował, że karawele przeszły niemal przez środek akwenu pomiędzy tymi wyspami a leżącymi na północy Markizami. Dzięki takiemu lawirowaniu po 80 dniach żeglugi osiągnęli jednak Wyspy Salomona, wchodzące w skład Melanezji.

Co ważne, droga powrotna trwała pięć razy dłużej, a żeglarze musieli zmagać się z przeciwnymi masami wody i powietrza. Markizy zostały odkryte dopiero ponad ćwierć wieku później podczas drugiej wyprawy Mendañy, co było pierwszym europejskim odkryciem w rejonie polinezyjskim. Archipelag otrzymał nazwę na cześć małżonki wicekróla Peru – markizy Mendozy de Cañete. Podczas drugiego rejsu Mendañy – po wylądowaniu na Markizach – admirał zszedł na ląd w towarzystwie małżonki, by wziąć udział w mszy odprawianej przez hiszpańskiego kapelana.

Pedro Fernández de Quirós odnotował okoliczności towarzyszące temu zdarzeniu w dzienniku pokładowym: „Jedna bardzo urodziwa tubylcza dziewczyna siedziała w pobliżu Doñi Izabeli, a włosy miała tak rude, że Doña Izabela pragnęła odciąć i zabrać ze sobą kilka loków; kiedy jednak stwierdziła, że dziewczynie nie bardzo się to podoba, zrezygnowała” [29](#).

Inny zapis z tego dziennika, zrobiony przez Quirósa po dotarciu do wyspy Peregrina, mówi, że: „Pięciu tubylców przybyło w kanu, siedzący pośrodku był bardzo zajęty wylewaniem z łódki. Jego rude włosy opadały aż do pasa. Był pięknie zbudowany, miał białą skórę, twarz o wyraźnych rysach, bardzo ładną, piegowaną i rumianą, oczy czarne i sympatyczne, ładne czoło i brwi, nos i wargi proporcjonalne” [30](#).

Innym razem napotkali tubylca z białą skórą i tak brązową brodą, że załoga Mendañy natychmiast nazwała go „Flamandem”. Skąd ludzie o tak jasnej karnacji, a nawet rudych włosach? Z „czarnej” Melanezji? Czy ze znajdujących się jeszcze dalej za nią obszarów azjatyckich? Jeżeli spojrzeć w odwrotnym kierunku – na wschód, odnajdziemy peruwiańskie wybrzeże nawiedzane w czasach preinkaskich przez rudych przybyszów. W muzeum w Ica można podziwiać preinkaskie mumie, które mają taki kolor włosów.

Większość naukowców podejrzewa, że mit o Quetzalcóatlui to hiszpańska propaganda, mająca na celu ułatwienie podbicia Meksyku przez konkwistadorów. Na pierwszy rzut oka mają sporo racji, jednak po

zastanowieniu rodzą się pewne wątpliwości. Dlaczego przedstawiali białego boga jako mężczyznę z jasnymi włosami i niebieskimi oczami? Od kiedy wśród Hiszpanów dominuje ten typ urody? Gdzie się podzieli czarnoocy bruneci? Czy nie jest to sprzeczne z logiką?

Można by to zrzucić na karb niezręczności lub głupoty Hiszpanów, ale oni sami byli zdumieni, gdy natknęli się na świątynie i ołtarze, gdzie ujrzeli wizerunki ryby i gołębia, czyli symbole występujące w chrześcijańskiej Europie. Jeszcze większe zdziwienie ogarnęło ich, gdy ujrzeli, jak pogański kapłan chrzci dzieci, opryskując je wodą i zwilżając im usta. Ich zaskoczenie nie małało, zwłaszcza gdy zauważyli, że spowiedź i komunia również nie są obce Aztekom. Podobnie symbolika Świętej Trójcy pod postacią wizerunków „słońca-pana”, „słońca-syna” i „słońca-brata”. Kamienne krzyże i stylizowane w kształcie krzyża drzewa, z leżącymi pod nimi ofiarami z płodów rolnych, dopełniły całkowitego zaskoczenia.

Sugerowano, że legendy o białym brodaczu mogły nie pochodzić z czasów prekolumbijskich, lecz to przybycie Hiszpanów było bodźcem do ich powstania.

Co wtedy począć z realistyczną sztuką Moche, Chimú, Nazca przedstawiającą takie postaci? Ich wizerunki – rzeźbione, modelowane w glinie lub malowane na ceramice – pochodzą z pewnością z okresu znacznie poprzedzającego pojawienie się Hiszpanów w Ameryce. Głównacynie mężczyzny z ludu Moche, pochodząca z I wieku n.e., nosi turban i jest ozdobiona włosami.

Nie to wywołało jednak największe zaskoczenie, a fakt, że na naczyniu widniała zniekształcona grecka inskrypcja *Jub Basileus*, czyli „król Juba” (przypuszczalnie chodzi o Jubę II (zm. w 23 roku n.e.), władcę Numidii, potem Mauretanii. Inne ceramiczne naczynie Moche przedstawiało głowę z nakryciem, jakie nosili Berberowie, a także – co również warto podkreślić – tatuaż w formie trzech linii, taki sam, jaki ozdobił oblicza mężczyzn i kobiet tego ludu [31](#).

Portrety mężczyzn na naczyniach mają też niekiedy – u Indian tak niezwykle – długie brody. Wygląd twarzy zdaje się świadczyć o wielkim zróżnicowaniu rasowym mieszkańców państwa Moché. Większość portretowanych ma wprawdzie wyraźne rysy indiańskie, inni jednak przypominają raczej Chińczyków, a niektórzy wykazują nawet cechy negroidalne [32](#).

Ktoś stwierdzi: przypadkowa zbieżność. Ale tego samego nie można powiedzieć o odnotowanych przypadkach chorób, które w danym czasie nie miały prawa istnieć na kontynencie amerykańskim. Na przykład do niedawna sądzono, że gruźlica pojawiła się na kontynencie południowoamerykańskim dopiero razem z Europejczykami. Jednak odkrycie z roku 1973 podważyło i ten pogląd. W ciele ośmioletniego chłopca żyjącego w okresie Nazca (200–800 n.e.) odkryto prątki tuberkulozy [33](#).

Inne badania, przeprowadzone na liczącej tysiąc lat mumii kobiety z Peru, potwierdziły zasadność tej hipotezy, przynajmniej jeśli chodzi o gruźlicę. Kiedy Arthur Aufderheide, lekarz patolog z University of Minnesota, zrobił sekcję tych zwłok, odkrył jeden guz na płucu i dwa na węzłach chłonnych, co świadczy o wystąpieniu gruźlicy. Stosując nową technikę analizy DNA – reakcję łańcuchową zwaną polimeryzacją – Aufderheide i jego kolega uniwersytecki, biochemik, zdołali sklonować materiał genetyczny pochodzący z mumii i otrzymali biliony kopii [34](#).

Podczas badań odkryli fragmenty DNA, które występuje tylko w bakterii gruźlicy, co potwierdziło prawdziwość ich diagnozy. Kobieta żyła 40–45 lat – podeszły wiek jak na tamte czasy – a gruźlica nie była przyczyną jej śmierci. Jednak fakt, że na nią zapadła, świadczy, że choroba ta występowała już w Ameryce przed przybyciem Europejczyków. To nie koniec medycznych zagadek.

Badania dowiodły, że Indianie zapadali na choroby występujące wyłącznie w Chinach i południowo-wschodniej Azji, jak choćby przypadki chorób skórnych Indian z brazylijskiego Mato Grosso, tasiemca uzbrojonego nękającego Indian Lengua z dzisiejszego Paragwaju, tasiemca nieuzbrojonego, który pojawił się wiele stuleci temu na obszarze Peru i Meksyku. W obu tych krajach mamy do czynienia także z pasożytami *Andyostoma duodendale*.

Tego właśnie pasożyta z rodziny nicieni (powodującego częste krwotoki i doprowadzającego do poważnej anemii) odkryto – wciąż przyczepionego – w jelitach ciała pochodzącego z okresu Tiahuanaco i datowanego na rok około 920–930 n.e. Problem ten czeka na rozwiązanie. Jak do Ameryki Południowej dostały się tasiemce albo zarazki wywołujące gruźlicę? Z Azji przez Cieśninę Beringa czy odpowiednio przez Pacyfik i Atlantyk nawet trzy, cztery tysiące lat temu?

Część naukowców wysuwa zastrzeżenie co do realności transoceanicznych rejsów Indian z powodu braku kilu przy ich jednostkach pływających. Nie do końca jest to prawda, bowiem kiedy Hiszpanie przybyli do inkaskiego imperium, ujrzeli między innymi tratwy morskie o długości sięgającej nieraz nawet 30 metrów. Znany wczesny dziejopis Peru, Bernabé Cobo, opisując w *Historia del Nuevo Mondo* wyśmienite właściwości używanego do budowy pełnomorskich tratw drewna balsa i sprawność tubylców jako żeglarzy i pływaków, podaje bardzo dużo szczegółów:

„Największe tratwy, jakich używają peruwiańscy Indianie, zamieszkali w portach nieopodal lasów, jak Payta, Manta i Guayaquil, składają się z siedmiu, dziewięciu albo i więcej pni balsa i budowane są następująco: lianami bądź linami wiązuje się pnie ułożone wzdłuż i przymocowuje do innych pni, które leżą w poprzek; środkowy pień jest na dziobie dłuższy od innych, pozostałe zaś są tym krótsze, im bardziej oddalone od środka, tak że kształtem i proporcjami przypominają palce wyciągniętej dłoni, podczas gdy fala jest równa. Na nich umieszcza się platformę, ażeby woda, która wdziera się przez szpary między dużymi drewnianymi balami, nie zmoczyła ludzi i żagli. Tratwy te poruszają się na morzu z pomocą żagli i pagajów, a niektóre są tak duże, że z łatwością mogą unieść pięćdziesięciu ludzi” [35](#).

Więcej detali zawiera inna relacja dwóch hiszpańskich oficerów z 1736 roku: „Największą osobliwością tego rodzaju tratwy jest to, że żegluje ona, halsuje i płynie na przeciwnym wietrze równie dobrze, jak statki z kilem, dryfując tylko w niewielkim stopniu. Ta zaleta wynika z innej metody sterowania niż za pomocą steru; zastępuje go kilka desek, długich na 3 lub 4 metry i szerokich na 0,5 metra zwanych *guaras*, które umieszcza się pionowo, zarówno na dziobie, jak i na rufie między głównymi belkami. Kiedy załoga wpycha jedne głęboko do wody i podnosi inne, tratwy te odpływają, sterują na wiatr, halsują, kładą się na kurs i wykonują wszystkie inne manewry prawdziwego statku. Jest to wynalazek nieznanym dotąd najinteligentniejszym narodom Europy” [36](#).

Również Thor Heyerdahl przyznawał, że gdyby wiedział, jak posługiwać się dodatkowymi kilami, mógłby zwiększyć sterowność tratwy i lepiej wykorzystać wiatry. Chociaż jego tratwa rozbiła się na przybrzeżnej rafie wyspy Raroia w archipelagu Tuamotu, to i tak wykazał, że jednostka taka spisywała się na oceanie lepiej, niż można było przypuszczać. Błędne jest

przekonanie, że starożytne ludy z zachodniego wybrzeża Ameryki Południowej nie były w posiadaniu jednostek zdolnych do odbywania dalekich rejsów oceanicznych.

Bardzo wygodne byłoby założenie, że brakowało im umiejętności żeglarskich, mimo linii brzegowej liczonej w tysiącach kilometrów, o osiągnięciach inżynieryjnych, artystycznych i innych na lądzie nie wspominając.

Nawet relacja angielskich piratów, którzy zapuścili się w ten rejon około 1600 roku, brzmi podobnie. Dowódca, kapitan Bartholomew Sharp, zapisał, że tratwy tubylców żeglują bardzo dobrze, a niektóre z nich są tak duże, że na swym pokładzie wiozą 250 worków mąki z peruwiańskich dolin do Panamy i żaden worek nie zamoknie.

Tratwy z balsy służyły również do transportu *guana* z wysp w pobliżu Pisco i Paracas do różnych prowincji na całym wybrzeżu inkaskiego imperium. Liczne relacje wspominają o wyprawie Tupaca Inki, z której miał przywieźć ze sobą „czarnych ludzi” i inne zdobycze, przechowywane w twierdzy Cuzco aż do przybycia Hiszpanów. Wyprawy na tratwach z balsy urządzali również żeglarze Moché, o czym donosił ojciec Miguel Cabello de Balboa w dziele z 1586 roku *Miscellanea Antártica*:

„Ludzie z Lambayeque – i cały mieszkający z nimi lud – mówią, iż w czasach tak dawnych, że nie wiedzą, jak je określić, przybył z północnej części tego Piru z dużą flotą *Balsas* ojciec rodzin, mąż wielkiego męstwa i zalet o imieniu Naylamp; przywiózł on ze sobą wiele konkubin, ale jego główną żoną była podobno Ceterni. Razem z nim przybyło wielu ludzi, którzy szli jego śladem, jak z kapitanem i przywódcą” ³⁷.

Rządzący królestwem potężny „Pan z Sipán” wysyłał tratwy na południe i północ w poszukiwaniu cennych towarów. To stąd miał wyruszyć ostatni Wirakocza w bezpowrotną drogę, i to właśnie w tym miejscu Prąd Humboldta przekształca się w Południowy Prąd Równikowy, prowadzący wprost na leżące na zachodzie Markizy. W drugiej połowie XVI wieku hiszpańscy żeglarze wyruszyli z Ameryki dalej na zachód, gdyż uwierzyli w rzetelność informacji podawanych przez Indian.

Uwierzyli w prawdziwość ich opisów, ponieważ zobaczyli na WŁASNE OCZY, jakie atuty miały tubylcze tratwy, oraz przekonali się, jak rozległą wiedzę żeglarską dysponują ci, którzy na nich pływają. Większość współczesnych nie chce w to uwierzyć. Gdyby ówczesni Europejczycy nie

uwierzyli, nie odkryliby Melanezji czy Polinezji, chociaż mieli dostęp do tych archipelagów od strony azjatyckiej już kilkaset lat wcześniej.

Oficjalna nauka twierdzi, że nawet gdyby zgodzić się z teorią o pojawieniu się w Ameryce jakichś żeglarzy ze Starego Świata, to ich przybycie nie przyczyniło się w znaczący sposób do rozszerzenia wiedzy geograficznej po obu stronach Atlantyku, nie zainspirowało trwałych, kształtujących nowy obraz kulturowy, dwustronnych kontaktów. Jeśli wikingowie nie pozostawili po sobie niczego, oprócz kilku obłożonych darnią wałów ziemnych i paru żelaznych gwoździ, to ciężko oczekiwać na przykład śladów po fenickich wyprawach wcześniejszych o dwa i pół tysiąca lat.



Wyobrażenie łodzi trzcinyowej widniejące na naczyniu ceramicznym Moche.

Trudno wymagać, by skład starożytnych załóg stanowili nie tylko żeglarze, lecz także wybitni inżynierowie lub pisarze. Uczciwie jednak

trzeba przyznać, że do Indian nie dotarła choćby idea zbudowanych z desek kadłubów. Po co mieliby zmieniać konstrukcję swoich łodzi, skoro ich sprawdzały się w południowoamerykańskich warunkach? W grę mogła wchodzić również mentalność. Wystarczy przywołać wcale nie tak odległe zdarzenie z udziałem pewnego Portugalczyka, który zbudował obszerną łódź przeznaczoną do żeglugi na jeziorze Tana.

Łódź ta butwiała jednak nieużywana, nikt z krajowców nie chciał jej kopiować – Etiopczycy woleli nadal posługiwać się swoimi tradycyjnymi chybotliwymi i ciasnymi pirogami. Również pierwsze mosty, które pojawiły się w Etiopii jako dzieło Portugalczyków, nie zyskały aprobaty Etiopczyków: jeden z tych mostów został wkrótce zwalony – podobno dlatego, że mogłby ułatwić przechodzenie wrogich wojsk – a inne, pozostawione własnemu losowi, z czasem rozpadły się same ³⁸.

Czy to oznacza, że bytność Portugalczyków w tym regionie świata należy włożyć między bajki? Innym koronnym dowodem oficjalnej nauki, wykluczającym możliwość kontaktów transatlantyckich, jest brak zastosowania koła przez rdzennych Amerykanów. Przytaczający ten argument zapominają o jednym, co znakomicie uchwycił w swojej książce *Królestwo za Bramą Łez* Andrzej Bińkowski. Wskazał on mianowicie, że przybycie do Etiopii dużej grupy *ferendżich*, czyli cudzoziemców, którzy zjawili się w Etiopii nie jako wrogowie, lecz jako sprzymierzeńcy, mogło wywrzeć istotny wpływ na rozwój tego regionu.

Jednak rdzenna ludność nie była skłonna do kopiowania nowinek cywilizacyjnych zauważonych u *ferendżich*. Szczególnie drastyczny jest właśnie przykład z kołem. Etiopczycy nie znali go i po raz pierwszy – jak można sądzić – spotkali się z jego zastosowaniem, gdy oglądali działa żeglarzy portugalskich. Jednakże nie przejęli wynalazku koła, pozostali przy mułach i osłach używanych od niepamiętnych czasów jako środki transportu.

Nie jest prawdą, że Indianie nie znali koła, ponieważ idea koła była doskonale znana w Ameryce, zwłaszcza w kręgu kulturowym Olmeków. Świadczą o tym liczne znaleziska, wśród których były między innymi wrzeciona, bączki, krążki brzęczące czy nawet zabawki na kółkach! Znaleziska z miejsc pochówków, gdzie natrafiono na figurki ceramiczne pum oraz psów z kółkami na drewnianych ośkach, wykazują bardzo duże podobieństwo do tych odkrytych na sumeryjskich, hetyckich i fenickich nekropolach.

W okolicach Tiahuanaco, w pobliżu jeziora Titicaca, natrafiono na wielkie kamienne koła o średnicy ponad 2 metrów i grubości prawie 40 centymetrów z wywierconym pośrodku otworem. Przypuszcza się, że wykorzystywano je do transportu bloków kamiennych o wielkiej wadze. Podobnie rzecz ma się w przypadku okrągłych pni odnalezionych w Peru. Znikoma popularność koła mogła wynikać nie tylko z braku udomowionych zwierząt pociągowych, lecz także z powodu niezbyt sprzyjających warunków terenowych: pustyń, gór, mokradeł i dżungli. Po prostu ludy te obywateli się bez koła, podobnie jak świat islamu, który preferował głównie zwierzęta juczne.

Dzieje żeglugi odnotowały wiele przypadków bardzo dalekich, choć nie zawsze zamierzonych podróży. Wymienia je Kazimierz Ślaski w *Dawnych żeglarzach Oceanii* ³⁹. Najwcześniej zanotowane zdarzenie tego rodzaju miało miejsce w 1696 roku. Grupa czterdziestu mieszkańców Karolinów, podróżując dużą łodzią jednokadłubową do jednej z sąsiednich wysp, została porwana przez burzę. W ciągu siedemdziesięciodniowej oceanicznej odysei zmarło pięć osób, lecz trzydzieści pięć dotarło do filipińskiej wyspy Samar po pokonaniu niemal dwóch tysięcy kilometrów.

W 1721 roku sześciu mieszkańców wyspy Faraulep, także leżącej w archipelagu Karolinów, po prawie trzytygodniowym rejsie dobiło w szczęśliwych okolicznościach do brzegów wyspy Guam, wchodzącej w skład odległego od ich ojczyzny o ponad 500 kilometrów archipelagu Marianów. Jeszcze więcej szczęścia miało w drugiej połowie XIX wieku dwóch krajowców z Wysp Gilberta. Zasnęli tak twardym snem w łodzi wyciągniętej na brzeg, że nie poczuli, kiedy na pełne morze porwały ich fale odpływu.

Po przebudzeniu stwierdzili, że ich położenie jest niewesołe – dysponowali jedynie niewielką liczbą orzechów kokosowych. Po kilku dniach cudem udało im się złowić ptaka, później jeszcze jednego. Zdołali również złowić rekina, lecz sił starczyło im zaledwie na zjedzenie niewielkiej ilości jego mięsa. Wybawieniem okazała się jedna z karolińskich wysp w grupie Truk. Okazało się, że trasa niezamierzonej eskapady liczyła ponad 2500 kilometrów!

Dzięki relacji Johna Williama, misjonarza, który od 1817 roku spędził na Wyspach Towarzystwa ponad dwadzieścia lat, znamy inny podobny przypadek. Statek z Raivavae błąkał się przez ponad dziewięćdziesiąt dni, zanim w końcu dotarł do jednej z wysp archipelagu Samoa. Trasa tego

niezaplanowanego rejsu liczyła niemal 2800 kilometrów. Świadkiem jeszcze innej przygody tego rodzaju był również misjonarz William Wyatt Gill. Miał on okazję zetknąć się na tym archipelagu z wyspiarzami z Moorea nieopodal Tahiti, których zapędził w tamte strony huragan. Tym razem pokonany dystans przekroczył 2300 kilometrów.

Ten sam duszpasterz donosił o przypadkowej podróży z wyspy Manihiki, należącej do północnej grupy Wysp Cooka, do archipelagu Ellice, który leży w odległości około 1850 kilometrów. W przymusowy rejs wyruszyła też pewna rodzina z wyspy Fakaofu (Wyspy Tokelau). Gnani przez sztorm w kierunku południowym dotarli najpierw na bezludne atole Nassau i Palmerston. Stamtąd wyruszyli dalej, aż osiągnęli – po pokonaniu łącznie około 2300 kilometrów – wyspę Mangai, wchodzącą w skład Wysp Cooka.

Nawet w XX wieku odnotowano przypadki podobnych mimowolnych wojaży. W okresie II wojny światowej pewien uciekinier z Wysp Gilberta spędził na swojej niewielkiej łódce 7 miesięcy. Przez ten czas był na diecie rybnej, lecz udało mu się dopłynąć do Wysp Admiralicji, leżących na północ od Nowej Gwinei, i tym samym wymknąć się Japończykom.

Rok 1954 to data rozpoczęcia szalonej wyprawy trzech młodych ludzi z Wyspy Wielkanocnej na Tahiti, o której każdy chyba słyszał cuda. Lekkomyślni amatorzy morskich przygód oraz tahitańskich rozkoszy wybrali się w podróż w łódce o długości 8 metrów i szerokości niespełna 1,5 metra. Wystarczającym – ich zdaniem – prowiantem miały być dwa worki kukurydzy, worek trzciny cukrowej, pół worka pomarańcz, dwie kiście bananów, cztery butle wody, siedem litrów nafty oraz maszynka do gotowania, która okazała się niezdatna do użytku.

Spośród trzech członków załogi tylko jeden miał mgliste pojęcie o sztuce żeglowania, a miał tylko starą kieszonkową busolę. Nie pomyśleli też o zaopatrzeniu się w zestawy do połowu ryb. Co prawda, nie dopłynęli do wymarzonego Tahiti, lecz mimo to w niecały miesiąc przepłynęli prawie 4000 kilometrów, lądując na atolu Kauehi w archipelagu Tuamotu, który sąsiaduje z Tahiti.

Anatolij R. Warszawski sporządził zestawienie trzydziestu ośmiu znanych przypadków zabłądzenia na Oceanie Spokojnym pod kątem szans przeżycia załóg. Okazało się, że śmiertelność członków załogi podczas pięciomiesięcznego rejsu wynosiła średnio około 20%, przy czym śmiertelność wśród Japończyków była wyższa. Pod względem umiejętności

dostosowania się do skrajnie trudnych warunków wszyscy Polinezyjczycy przewyższali innych żeglarzy z Oceanu Spokojnego, potrafili utrzymać się przy życiu nawet siedem miesięcy.

Nie lekceważmy osiągnięć starych ludów zżytych z morzem od pokoleń. My obliczyliśmy zawartość soli w wodzie oraz daliśmy florze i faunie łacińskie nazwy, oni tego nie zrobili, lecz mieli prawdziwszy obraz morza niż my. Oni byli częścią tego systemu. Nie poprzestali na tym, ich znajomość ciał niebieskich była równie zadziwiająca. Zdawali sobie sprawę z faktu, że Ziemia jest kulista, i mieli nazwy dla tak abstrakcyjnych pojęć, jak równik, zwrotnik czy ekliptyka.

Sprzyjające wiatry i prądy morskie mogły ponieść statki do Ameryki, często nawet wbrew woli ich kapitanów. Załóżmy, że w ciągu ostatnich pięciu tysięcy lat jakieś okręty ze Starego Świata docierały do Ameryki, jednak czy miały miejsce częste, regularne podróże tego rodzaju? Statki, które przybyły do Nowego Świata, nie pozostawiły po sobie prawie żadnych możliwych do odczytania śladów. Właśnie: „prawie” robi różnicę.

1. Ch. Pellegrino, *Unearthing Atlantis*, New York 2001, s. 119. [\[wróć\]](#)
2. M. Stingl, *Czczyciele gwiazd. Śladami zaginionych kultur peruwiańskich*, przeł. P. Godlewski, Warszawa 1985, s. 49. [\[wróć\]](#)
3. J. Machowski, *Wyspa Tajemnic. Historia odkryć i badań Wyspy Wielkanocnej*, Warszawa 1966, s. 47. [\[wróć\]](#)
4. J. López Portillo y Pacheco, *Quetzalcóatl*, przeł. D. Rycerz, Kraków 1978, s. 128–130. [\[wróć\]](#)
5. T. Heyerdahl, *Spotkanie u brzegów Ameryki. Historia pokonanych*, przeł. A. Marcinkówna, Gdańsk 1999, s. 156. [\[wróć\]](#)
6. R. Tomicki, *Ludzie i bogowie. Indianie meksykańscy wobec Hiszpanów we wczesnej fazie konkwisty*, Wrocław–Warszawa–Kraków 1990, s. 48–49. [\[wróć\]](#)
7. A. von Humboldt, *Podróże po Ameryce Podzwrotnikowej*, przeł. J. Babicz, J. Petryszyn, Warszawa 1959, s. 354–356. [\[wróć\]](#)
8. *Popol Vuh. Księga Rady Narodu Quiché*, przeł. H. Czarnocka, C. Marrodán Casas, Warszawa 1980, s. 133–134. [\[wróć\]](#)
9. B. de Sahagún, *Rzecz z dziejów Nowej Hiszpanii. Księgi I, II, III*, przeł. K. Baraniecka, M. Leszczyńska, Kęty 2007, s. 36–37. [\[wróć\]](#)
10. D. de Landa, *op. cit.*, s. 234–235. [\[wróć\]](#)
11. M. León Portilla, *León-Portilla Miguel, Dawni Meksykanie*, przeł. M. Sten, Kraków 1976, s. 37. [\[wróć\]](#)
12. *Ibidem*. [\[wróć\]](#)
13. R. Tomicki, *Ludzie...*, s. 158. [\[wróć\]](#)
14. T. Heyerdahl, *Spotkanie...*, s. 169. [\[wróć\]](#)
15. *Popol Vuh*, s. 106–107. [\[wróć\]](#)
16. *Ibidem*, s. 114. [\[wróć\]](#)
17. A. Elbanowski, *Kraina Mwiszków. Przewodnik po Eldorado*, Warszawa 1999, s. 256–257. [\[wróć\]](#)
18. *Ibidem*, s. 257. [\[wróć\]](#)
19. P. Pizarro, *Relacja o odkryciu i podboju Królestwa Peru*, przeł. M. Mróz, Gdańsk 1995, s. 126. [\[wróć\]](#)
20. T. Heyerdahl, *Z kontynentu...*, s. 102. [\[wróć\]](#)
21. *Ibidem*, s. 102–103. [\[wróć\]](#)
22. M.M. Cotterell, *Zaginiony grobowiec Wirakoczy*, przeł. G. Gasparska, Warszawa 2002, s. 74–75. [\[wróć\]](#)
23. T. Heyerdahl, *Spotkanie...*, s. 126–127. [\[wróć\]](#)
24. *Ibidem*, s. 127. [\[wróć\]](#)
25. T. Heyerdahl, *Z kontynentu...*, s. 101. [\[wróć\]](#)
26. G. de la Vega Inka, *O Inkach uwagi prawdziwe*, przeł. J. Szemiński, Warszawa 2000, s. 300–301. [\[wróć\]](#)
27. *Ibidem*, s. 305. [\[wróć\]](#)
28. T. Heyerdahl, *Spotkanie...*, s. 160. [\[wróć\]](#)
29. *Ibidem*, s. 202. [\[wróć\]](#)
30. *Ibidem*, s. 243–244. [\[wróć\]](#)

31. F. Joseph, Zaginiony skarb króla Juby, przeł. G. Gasparska, Warszawa 2003, s. 130. [\[wróć\]](#)
32. M. Stingl, op. cit., s. 113–114. [\[wróć\]](#)
33. D. Brothwell, The Bog Man and the Archaeology of People, London 1992, s. 118–120. [\[wróć\]](#)
34. Ch.J. Hagner, W poszukiwaniu Eldorado, przeł. U. Dziewiątkowska, Warszawa 1998, s. 16–17. [\[wróć\]](#)
35. L. Deuel, Odkrywczy dawnej Ameryki, przeł. S. Błaut, Warszawa 1990, s. 178. [\[wróć\]](#)
36. J.M. Allen, Atlantyda w Andach, przeł. E. Witecka, Warszawa 1999, s. 110. [\[wróć\]](#)
37. T. Heyerdahl, Z kontynentu..., s. 175. [\[wróć\]](#)
38. A. Bińkowski, Królestwo za Bramą Łez, Warszawa 1971, s. 71. [\[wróć\]](#)
39. K. Ślaski, Dawni żeglarze Oceanii, Gdańsk 1979, s. 83–85. [\[wróć\]](#)

Faraonowie na kokainowym haju

Ramzes II zmarł w 1212 roku p.n.e. Jego ciało balsamowali najlepsi specjaliści, korzystający ze wszystkich magicznych substancji, aby tylko mumia przetrwała do końca świata. Jego wizerunki zdobią wszystkie znaczniejsze zabytki Egiptu. Był wielkim faraonem, lecz ważniejsze dla nas jest jednak to, co działo się z tym władcą wiele lat później, a dokładnie 26 września 1976 roku, kiedy sprowadzono jego mumię do Paryża na wystawę w Muzeum Człowieka.

Okazało się, że mumia jest w fatalnym stanie. Dogłębne studia nad szkieletem Ramzesa, ścianami jego tętnic udowych, jego zębami i całym zmumifikowanym ciałem przyniosły wiele niezwykłych odkryć. Okazało się, że Ramzes lekko utykał i cierpiał na zeszywnienie kręgosłupa, jego głowa była znacznie wysunięta do przodu w stosunku do kręgosłupa. Kiedy był chowany, balsamiści rozprostowali głowę, powodując widoczne rozerwanie przodu i tyłu szyi.

Faraon miał liczne ropnie przyzębne, a wszelkie dowody świadczą o tym, że zmarł w wyniku ogólnej infekcji. Odkrycie przyczyny choroby Ramzesa było jedną rzeczą; uratowanie go – całkiem inną. Spośród szczątków płóciennych zwojów pobrano niewielkie próbki z klatki piersiowej oraz z wypadniętych włosów i niezwłocznie zanalizowano je w laboratoriach Musée d'Histoire Naturelle, Identité Judiciaire, Institut Textile de France, L'Oreal, CNRS i Commissariat à l'Energie Atomique. Okazało się, że jeśli nie uda się usunąć odkrytego fungusu, pod koniec stulecia mumia Ramzesa II zostanie przez niego całkowicie zjedzona ¹.

Przy okazji trzeba było wymienić bandaże, więc dano je do analizy botanikom, aby określić, z jakiego włókna zostały utkane. W jednej z części bandaży znaleziono fragmenty jakiejś rośliny i postanowiono sprawdzić, do

jakiego gatunku należy. Pod mikroskopem ukazał się układ kryształków i włókien charakterystycznych dla rośliny, która nie mogła rosnąć wtedy w Egipcie – tytoniu. Tytoń zawierały także próbki pobrane z wnętrza mumii. Testy chemiczne wykazały obecność cząsteczek nikotyny.

Co dziwniejsze, między zwojami znaleziono także fragmenty pancerzy żuków z gatunku *Lasioderma serricorne*, trafnie zwanego cygarowym żukiem, gdyż żywi się przechowywanymi liśćmi tytoniu i innymi wysuszonymi roślinami. Egipcjolodzy zakwestionowali znaczenie i wartość tego odkrycia, argumentując, że pierwsi badacze i pracownicy muzealni zwykle wytrzepywali tytoń ze swoich kieszeni ².

Do zanieczyszczeń mogło dochodzić nieraz w dość kuriozalnych okolicznościach. Elliot Smith tak był zafascynowany badaniem mumii, że pewnego razu wziął zabalsamowane szczątki króla Totmesa III (1491–1436 r. p.n.e.), posadził obok siebie w taksówce i zawiózł do pewnego sanatorium pod Kairem, ponieważ tylko ono, jako pierwsze w Egipcie, dysponowało aparaturą rentgenowską ³.

W przypadku Ramzesa Wielkiego podawano też inne tłumaczenia. Brano między innymi pod uwagę fakt, że nie dość, iż grobowiec faraona został ograbiony już wkrótce po jego śmierci, to później, po przeniesieniu go w inne miejsce, zwłoki spoczywały w spokoju – z tego, co wiemy – do roku 1871, kiedy to grobowiec złupili bracia Rassul. Może podczas tych zdarzeń w jakiś sposób tytoń dostał się między zwoje mumii? Byłoby to logiczne wytłumaczenie, gdyby nie fakt, że mumię poddano pierwszym zabiegom konserwacyjnym w roku 1914, ale do brzucha faraona zajrzano dopiero w roku 1976!

Sugeruje się, że próbki mogły zostać zanieczyszczone albo podczas niewłaściwie przeprowadzonej procedury ich pobierania, albo nikotyna została wchłonięta przez mumię za sprawą bliskiego kontaktu z palaczami (byłby to z pewnością jeden z najbardziej zadziwiających przypadków tak zwanego biernego palenia). Niekiedy liście tytoniu stosowano w celu odstraszenia insektów i takie praktyki mogły mieć miejsce w muzeum w XIX wieku.

Możliwe też, że pewne specyfiki użyte przy mumifikacji mogły wytrącić się z czasem w taki sposób, że zostały mylnie uznane za osady tytoniu, bo przecież tytoń pojawił się w Starym Świecie dopiero w XVI wieku. Uważa się, że to Jean Nicot de Villemain, francuski ambasador w Portugalii, posłał

nasiona tytoniu królowej matce Katarzynie Medycejskiej, wprowadzając w ten sposób zwyczaj palenia tytoniu we Francji.

W rzeczywistości jednak miał on poprzedników, nie wyłączając eks-franciszkanina André Théveta, który cztery lata wcześniej przywiózł do Francji nasiona tytoniu. Świadom roszczeń swych rywali, Nicot dokładał starań, by bronić własnej kandydatury; udało mu się do tego stopnia, że nie tylko tytoń nosi jego imię, ale za sprawą Linneusza cały rodzaj *Nicotiana* oddaje mu niezасłużoną chwałę ⁴.

W Anglii tytoń pojawił się w 1556 roku, kiedy pewien marynarz z Bristolu wzbudził sensację, paląc go na ulicy. W 1565 roku sir John Hawkins powrócił do portu macierzystego, przywożąc na pokładzie bakun, czyli tytoń machorkę (*Nicotiana rustica*), i był najprawdopodobniej pierwszym żeglarzem, który sprowadził ładunek tytoniu na Wyspy Brytyjskie. Natomiast sir Francis Drake w 1573 roku wziął w niewolę hiszpański statek na Morzu Karaibskim i powrócił do Anglii, wioząc wśród bogatych łupów tytoń szlachetny (*Nicotiana tabacum*).

Natomiast słowo *tabaco* wywodzi się z Antyli, gdzie 4 listopada 1492 roku Krzysztof Kolumb i jego towarzysze poznali tytoń i sposoby jego zażywania. W Meksyku znane były dwa gatunki: jeden rodzimy, nazywany przez Meksykanów *yetl*, drugi importowany najprawdopodobniej z wybrzeży Zatoki, zwany *picietl* – „delikatny, drobny tytoń”. Kronikarze, kodeksy i rysunki potwierdzają, że roślina ta była stosowana w obrzędach, podczas uroczystości oraz jako środek oszałamiający. Wykopaliska archeologiczne przyniosły znaleziska fajek datowanych na II wiek p.n.e. ⁵.



Podczas indiańskich uroczystości używanie tytoniu stanowiło część protokołu dyplomatycznego: władca i dostojnicy palili z wysłannikami pokoju, z wysłannikami wojennymi itp. Należał też do etykiety: palono go przy ważnych okazjach, na przykład przy zaręczynach lub na wydawanych przez magnatów ucztach. Bernal Díaz del Castillo donosi nam o tym, jak to podczas ucztowania z azteckim monarchą:

„Na stole ustawiono trzy trzciny, pięknie malowane i złożone, napełnione *liquidambarem*⁶ zmieszany z zieleń zwaną *tabaco*. Kiedy Montezuma skończył jeść, po śpiewach i tańcach, i zebraniu ze stołów, pociągał z którejś trzciny nieco dymu i zaraz potem zasypiał”⁷.

Szlachta, kapłani czy wojownicy zwykle palili na zakończenie posiłku, posługując się także rurkami z gliny lub złota, wielkością i kształtem przypominającymi one dzisiejsze papierosy. Dobry zwyczaj nakazywał trzymać taki papieros podobnie jak trzyma się i wypuszcza strzałę, a naczynie służące za popielniczkę w lewej ręce, za brzeg, podobnie jak trzyma się tarczę. Według różnych pism w medycynie stosowano tytoń do leczenia ponad pół setki dolegliwości. Jako środek odurzający palili go Aztecy, jedli lub żuli wymieszany z pachnidłami, grzybami halucynogennymi bądź naftą⁸.

Nicotiana tabacum, której największa odmiana może zamienić pola w minipuszcze, osiąga prawie dwa metry wysokości i ma liście o wielkości małego latawca. Najmniejsze odmiany w porównaniu z nią są miniaturowe, z listowiem niewiele dłuższym od wskazującego palca. Przez stulecia roślina ta adaptowała się do różnych warunków klimatycznych: od Indonezji do Kanady, od Polski po Kamerun. Setki lat eksperymentów doprowadziły do wyhodowania gatunków dających różny smak: od ciemnej słodczy hawańskich cygar do delikatnej rzeźkości papierosów „Virginia Slims”.

Rodzina tych roślin ma korzenie w Ameryce Południowej, lecz uczeni z uniwersytetu w Montanie odkryli inny gatunek rosnący w południowej Afryce: *Nicotiana africana*. Niektórzy podważają znaczenie tego odkrycia, argumentując, że gatunek ten to endemit występujący tylko w Namibii, głęboko na pustyni, znany niewielkiej liczbie ludności i w dodatku zawierający niewielkie ilości nikotyny.

Hipoteza, że tytoń rósł kiedyś poza Ameryką, zrodziła się w momencie porównania stężenia nikotyny w organizmach współczesnych palaczy oraz ludzi żyjących niegdyś w Azji i Europie, które okazało się podobne. Ba, w trzydziestu pięciu starożytnych przypadkach poziom nikotyny obecnej w organizmach był potencjalnie zabójczy. Tak duża ilość nikotyny w ciałach mogła być rezultatem użycia tytoniu podczas balsamowania. Przez trzy tysiące lat istnienia starożytnego państwa egipskiego kapłani utrzymywali w ścisłej tajemnicy przepisy na mieszanki ziołowe, które wykorzystywali przy balsamowaniu milionów ludzi i zwierząt.

Nikotyna zawarta w tytoniu mogła mieć działanie bakteriobójcze. Czyżby to był jeden z sekretów kapłanów? Egipcjanie mieli ogromną wiedzę na temat roślin, które mogą leczyć i które mogą... zabić. Jest jednak mało możliwe, by tytoń rósł w Egipcie. Musiałaby się gdzieś pojawić wzmianka o nim bądź jego wizerunek. Zwłaszcza że z ocalałych zwojów papirusu wiemy, iż specjaliści z nad Nilu stworzyli ogromną liczbę tekstów medycznych, lecz dostępne nam źródła nic o tytoniu nie wspominają.

Aby znaleźć wytłumaczenie obecności nikotyny, przeprowadzono badania na szczątkach ludzkich znalezionych na terenie dzisiejszej Austrii, Niemiec i Chin, pochodzących z okresu między rokiem 1700 p.n.e. a 1100 n.e. W pewnym odsetku ciał ze wszystkich tych obszarów znajdowała się nikotyna! W związku z tym wysunięto hipotezę, że tytoń był znany w Europie i Afryce na długo przed Kolumbem. Idea, że był to nieznaną gatunek tytoniu, upadła.

Rozwiązaniem tajemnicy miały być rośliny, które w starożytności występowały w Afryce. *Nicotiana tabacum* nie jest jedynym źródłem nikotyny. Zawiera ją jeszcze ponad pięćdziesiąt znanych gatunków roślin spokrewnionych z tytoniem, to znaczy z rodziny psiankowatych (*Solanaceae*), występujących na obszarze starożytnego Egiptu. Należą do nich lulek czarny (*Hyoscyamus niger*), mandragora (*Mandragora officinarum*) czy pokrzyk wilcza jagoda (*Atropa belladonna*).

W przypadku mumii znaleziono inne – na pierwszy rzut oka – zadziwiająco proste wytłumaczenie obecności nikotyny: podobno Egipcjanie ją jedli! Natrafiono na alternatywne źródło jej pochodzenia, gdyż pewne mikroskopijne ilości nikotyny zawierają również pomidory, ziemniaki, zielony pieprz oraz papryka. Jednak rzadko kiedy po ich spożyciu jej kumulacja we włosach osiąga więcej niż 2 nanogramy na miligram. Najwyższy odczyt dla mumii z egipskiej nekropoli w Dachleh

wynosił 2,1 nanograma, podczas gdy w większości znaleziono znacznie niższy poziom⁹. Twórcy tej ciekawej skądinąd hipotezy nie spostrzegli jednak jej bezsensu, ponieważ wskazane przez nich warzywa dotarły do Starego Świata mniej więcej w tym samym czasie jak choćby tytoń!

Pierwszą osobą, która wykryła narkotyki w mumiach, był Larry Cartmell, patolog w Valley View Hospital. W swoim laboratorium w Ada w Oklahomie w 1991 roku odnalazł ślady kokainy we włosach badanej mumii. Po zdobyciu próbek z Egiptu poddał je badaniom. Jednocześnie poszukiwał także śladów opium, które prawdopodobnie było elementem tamtejszej farmakologii. Nie znalazł kokainy ani opium, lecz 70% mumii dało pozytywny wynik na obecność nikotyny!

W Monachium poddano badaniom zabalsamowane ciała pochodzące z czasów od Trzeciego Okresu Przejściowego (1064–656 r. p.n.e.) aż do okresu rzymskiego (30 p.n.e.–395 n.e.). Znajdowała się wśród nich mumia Henuttaui, подарowana wraz z sarkofagiem Muzeum Egipskiemu w Monachium przez króla Bawarii Ludwika I. Do analizy pobrano próbki miękkich tkanek, przede wszystkim włosów, gdyż należą do najtrwalszych.

Wiele mumii ma ozdobne fryzury, niekiedy nawet szkielety parady z groteskowymi lokami – melancholijnym wspomnieniem, że wybielona kość miała kiedyś osłonę w postaci krwi i ciała. Uczni zastanawiali się, czy chemikalia, na przykład tetrahydrocannabinol (THC), podstawowy alkaloid występujący w marihuanie i haszyszu, mógł przetrwać we włosach wieki, a nawet tysiąclecia.

Pomiary izotopu węgla ^{14}C to metoda datowania wynaleziona w 1947 roku do określania wieku materiałów pochodzenia organicznego. Izotop ^{14}C powstaje w wyniku oddziaływania promieniowania kosmicznego w jonosferze powodującego przenikanie neutronów przez atmosferę. Wchodzą one w reakcję z azotem ^{14}N i powstaje wtedy izotop ^{14}C .

Od chwili powstania ^{14}C zaczyna się rozpadać i początkowo ustalono, że okres jego połowicznego rozpadu wynosi 5568 lat. Żywe organizmy przyswajają ^{14}C w określonej ilości i tracą go w określonym tempie. Znając poziom ^{14}C w obiekcie organicznym przed jego obumarciem, naukowcy po zmierzeniu pozostałej w nim po śmierci zawartości ^{14}C potrafią określić wiek obiektu. Z wyjątkiem normalnych odchyleń, izotop ^{14}C utrzymuje się na stałym poziomie w ziemskiej atmosferze.

Jednak badanie za pomocą tej metody niekiedy daje błędne rezultaty, więc archeolodzy określają wiek mumii na podstawie miejsca znaleziska (znając wiek grobu, wiadomo, z jakiego okresu pochodzi mumia) oraz na podstawie technik balsamowania. Nie wiadomo dokładnie, skąd pochodzi sarkofag i mumia, ale według dyrekcji muzeum jest ona autentyczna. W sarkofagu znajdowały się kanopy z zabalsamowanymi wnętrznościami, przy czym niektóre z pojemników wciąż miały woskowe pieczęcie.

Za zgodą muzeum naukowcy otrzymali próbki włosów ośmiu mumii z Egiptu i Peru, które liczyły od 500 do 3000 lat. Poddano je testom na obecność trzech narkotyków: THC, kokainy i nikotyny. Badania przeprowadziła toksykolog z Instytutu Medycyny Sądowej w Ulm, Svetlana Balabanova. Przemyśla próbki wodą destylowaną i etanolem. Sproszkowała włosy i chemicznie wyzwoliła cząsteczki pozostające w komórkach włosów.

Następnie dodała antyciała, połączone z kontrolnym izotopem w celu rozłączenia. Technika ta znana jest jako analiza radioimmunologiczna. Antyciała są cząsteczkami, które wytwarza ludzki system immunologiczny, by zneutralizować oraz „rozbroić” potencjalnie szkodliwe obce substancje w ciele. Jest to specyficzny system obronny. I tak na przykład antyciała kokainy będą trafiać i reagować tylko z cząsteczkami kokainy, odszukując je z niesamowitą skutecznością.

Aby rozstrzygnąć, czy antyciała zlokalizują swoje cele w próbkach pobranych włosów, Balabanova zmierzyła izotopy instrumentem podobnym do licznika Geigera. Wyniki wypadły pozytywnie, lecz żeby uzyskać pewność rezultatów, poddała każdą próbkę innym testom. Znowu sproszkowała włosy i rozprowadziła w roztworze. Następnie wstrzyknęła ciecz do długiej wąskiej tuby w instrumencie działającym jak przełącznik.

Kiedy temperatura wzrosła, składniki cieczy wyparowały zgodnie ze swoim poziomem lotności, a to pozostawiło charakterystyczne ślady rozpadu, które porównała z tymi znanymi dla kokainy, nikotyny i THC. Doświadczenie ponownie dało pozytywne wyniki. W celu uzyskania stuprocentowej pewności skorzystano ze znanej w kryminalistyce już od ponad ćwierćwiecza „metody kanalika włosowego”. Pozwala ona wyeliminować wpływ wszelkich zewnętrznych zanieczyszczeń.

Narkotyki i inne substancje przyjmowane przez człowieka odkładają się w białkach włosów, gdzie pozostają przez wiele miesięcy, a po śmierci na zawsze. Próbkę włosów przed badaniem trzeba zanurzyć w alkoholu

i w specjalnym roztworze czyszczącym. Jeśli w roztworze tym nie stwierdzi się później obecności narkotyków, a znajdzie się je we włosach, oznacza to, że były odłożone w kanaliku włosa. W ten sposób wiadomo, że człowiek za życia musiał zażyć narkotyk.

Dowód zdobyty za pomocą tej metody jest akceptowany i uznawany przez współczesne sądy. Łatwo domyślić się, jaki był rezultat. Wyniki podobne do tych z Monachium przyniosły badania mumii z muzeum w Manchesterze. W dwóch mumiach, z których pobrano próbki, oraz w jednej próbce włosa stwierdzono obecność nikotyny. Nie były to odosobnione przypadki. Badając próbki tkanek ze stu trzydziestu czterech naturalnie z mumifikowanych ciał ze starożytnego cmentarza w Sudanie, który w przeszłości należał do imperium egipskiego, w jednej trzeciej próbek stwierdzono obecność nikotyny i kokainy.

Chociaż ciała pochodziły z późniejszego okresu, i tak zostały pogrzebane wiele stuleci przed odkryciem Ameryki. Jeżeli rośliny, z których uzyskuje się substancje odurzające, nie rosły w Afryce, to jak wytłumaczyć ich obecność w próbkach badanych mumii? Obecność haszyszku nie byłaby niespodzianką, ponieważ konopie indyjskie (*Cannabis sativa* lub *Cannabis indica*) – podstawa przy jego wytwarzaniu – rosły w Egipcie i na Bliskim Wschodzie. Mamy informacje o jego wykorzystaniu zarówno w celach medycznych, jak i wyłącznie dla przyjemności.

Pod rządami faraonów egipscy handlarze bardzo chętnie wymieniali nasiona konopi indyjskich. Ich owocki znaleziono na wielu stanowiskach neolitycznych w Niemczech, Szwajcarii, Austrii i Rumunii. Podobnie jak mak, konopie rosną dziko jako chwast i ich bliskość stała się czynnikiem sprzyjającym udomowieniu przez społeczności prehistoryczne. Śmietniska wokół osad neolitycznych, bogate w azot pochodzenia organicznego, stanowiły idealne miejsce dla roślin azotolubnych, do których należą konopie indyjskie. Prawdopodobnie właśnie w takich miejscach dawne społeczności zetknęły się z tą rośliną po raz pierwszy.

Choć konopie uprawiać można w różnych celach – na przykład dla tłustego oleju dość niskiej jakości, tłoczonego z nasion – ich podstawowym zastosowaniem praktycznym było i jest do dzisiaj włókno. W neolicie używano go do wyrobu grubych tkanin, powrozów i worków; wydaje się też prawdopodobne, że roślina ta pełniła w pradziejach jeszcze jedną ważną funkcję – substancji narkotycznej.

W wielu regionach wschodniej Europy znaleziono dekorowane przedmioty ceramiczne, zwane misami na nóżkach, datowane na początek III tysiąclecia p.n.e., które przeznaczone były do obrzędowego palenia substancji narkotycznych. Najstarsze misy tego rodzaju, uważane często za kadzielnice, pochodzą ze stepów pontyjskich. Znajdźiska archeologiczne sugerują, że mające narkotyczne właściwości kwiaty i liście uległy spaleni, choć same owocki nie są psychoaktywne, stanowią część rośliny najbardziej odporną na żar.

Haszysz, którego ślady również odkryto w mumiach, jest częścią tradycji egipskiej, która przetrwała przez tysiące lat do dziś. Azjatyccy hodowcy konopi cenili je dla włókien, zmiękczając łodygi i skręcając włókna, uzyskiwali mocne liny. Egipcjanie sadzili rośliny, aby pozyskać z nich kojący płyn do przemywania oczu, w sposób odnotowany w medycznych papyrusach. Teksty jednak niewiele mówią o wykorzystaniu innych części rośliny: kwiatostanu i liści, które służą do produkcji marihuany, lub ciemnych żywic, z których wyrabiano haszysz.

Historia używania narkotyków w starożytności wciąż stanowi tabu i nawet w wielkich szczegółowych opracowaniach nie ma ani słowa o narkotykach albo są tylko wymijające wzmianki. Taka cenzura w podręcznikach do historii starożytnej w ogromnym stopniu po prostu wypacza obraz antycznej codzienności. Dowody na istnienie starożytnego gatunku tytoniu są nikłe, ale jak w takim razie wytłumaczyć obecność kokainy w mumiach? Bo do tego, że krasnodrzew rósł w kraju faraonów, nie przekona się żadnego botanika.

Według historyków, kokaina pokonała Atlantyk dopiero w epoce wiktoriańskiej. Gatunki z tej samej rodziny co koka rosną w Afryce, ponieważ zbieracze roślin odkryli także w tropikalnych lasach na Madagaskarze inne gatunki *Erythroxylum*, ale tylko uprawiane w Ameryce odmiany zawierają narkotyk. Są to: *Erythroxylon coca* oraz *Erythroxylon novogranatense*. Aby zrozumieć, jak mało prawdopodobne było, żeby w egipskim klimacie mogła wyrosnąć koka, należy zapoznać się choćby pobieżnie z warunkami, jakich ta roślina wymaga przy uprawie, a także ze sposobami jej zbioru, preparowania i zastosowania.

Wiele jej gatunków znajduje różnorodne zastosowania, lecz żaden nie ma liści z większą zawartością kokainy. *E. anguifugum* jest w Brazylii remedium na ukąszenia węży, natomiast *E. campestre* jest stosowana jako środek przeczyszczający. Kora *E. suberosum*, a także *E. tortuosum*

dostarcza brązowawo-czerwonego barwnika. Podobnie *E. areolatum*, która rośnie na północy Ameryki Południowej i na Jamajce, znana jest jako „czerwone” lub „żelazne drzewo”, gdyż z tego gatunku pozyskuje się wspaniałe drewno.

Jest to niewysokie drzewo (do 5 metrów wysokości), z pniem o średnicy ponad 10 centymetrów, które porasta obszary nizinne. Gałązki i liście wykorzystuje się jako środek obniżający temperaturę, a zmiksowane z olejem sezamowym tworzą maść odświeżającą. Kora jest także lekiem tonizującym, a lekko kwaśne owoce to środek przeczyszczający oraz moczopędny. We wschodnich Indiach *Erythro-xylon monogynum* znana jest pod lokalnym określeniem *gadara*. Jej drewno jest pachnące i charakteryzuje się pięknym połyskiem, choć niektórzy uważają ją za rodzaj krzyżówki drzewa sandałowego.

Ojciec Tomasz Ortiz, który towarzyszył Alonzo Xiño i Luisowi Guerra w ich ekspedycji w 1499 roku, opisywał stosowanie koki (pod nazwą *hayo*) wśród krajowców mieszkających wzdłuż wybrzeża Wenezueli. Antonio de Herrera – królewski historyk Filipa II, który naszkicował jego dzieje na podstawie korespondencji z konkwistadorami – był autorem podzielonej na osiem dekad historii zawierającej opis hiszpańskich odkryć.

Pisząc o zwyczajach w północnych prowincjach, wymienia „ziele, które na wybrzeżu nazywa się *hayo*”. Określenie *hayo* wskazuje na pochodzenie ze słownictwa Indian Chibcha, a często pojawia się wśród języków niektórych plemion z północnych regionów nadbrzeżnych Ameryki Południowej [10](#).

Wśród wcześniejszych prac pisarzy hiszpańskich z tego okresu koka jest łączona ze słowem *hay*, lecz istnieje sporo wątpliwości, czy jest ono tożsame z *hayo*. Najprawdopodobniej wywodzi się jednak ze słowa *agu* – „żuć”, zwłaszcza że wszystkie odmiany *Erythroxyllum*, które są używane nawet dzisiaj na terenie Wenezueli i wzdłuż wybrzeża Morza Karaibskiego, są nazywane *hayo*. Nawet *Erythroxyllum cumanense* jest częściej określana tą nazwą, przy stosunkowo rzadko pojawiającym się określeniu *ceveso* [11](#).

Jednak nie wszystko, co ojciec Tomasz Ortiz pisał o roślinie stosowanej przez Indian Chiribiche, odpowiada opisowi koki, choć zgadza się to, co pisze o liściach i ich wykorzystaniu przez Indian. Francisco López de Gómara, pisząc o zwyczajach Indian Cumana, potwierdza tę informację. Obecnie koka nie rośnie zbyt powszechnie na obszarze Wenezueli. Starsze uprawy koki na półwyspie Guajira nie utrzymały się ze względu na zbyt

suchy klimat, w przeciwieństwie choćby do tytoniu, który w tamtejszych warunkach lepiej się przyjął.

Lucas Fernandez Piedrahita w *Historia de las conquistas del Nuevo Reyno de Grenada* także wspomina o koce na północnym wybrzeżu kontynentu oraz o tym, że jej liście żuto bez mieszania z wapnem. W dodatku sugeruje, że była ona sprowadzana z terytoriów inkaskich przez Hiszpanów już po konkwiście. Pierwszym hiszpańskim kronikarzem, który wspominał o koce, był Pedro de Cieza de León, chociaż nie daje żadnego, nawet krótkiego opisu botanicznego rośliny, koncentrując się na powszechności jej używania.

Najstarsze mity związane z liśćmi koki pochodzą z Altiplano leżącego na wysokości 3500–4500 m n.p.m. Peruwiański mit mówi, że liście ofiarowane zostały przez bogów pierwszym mieszkańcom Andów na Wyspie Słońca na jeziorze Titicaca. Na podstawie śladów archeologicznych przyjmuje się, że koka była znana i używana od około czterech tysięcy lat. Na Wyspie Księżycy na jeziorze Titicaca znaleziono naczynie ceramiczne z wizerunkiem *chusta* – woreczka służącego do noszenia koki.

Źródła archeologiczne, głównie w postaci zachowanej ceramiki kultur Moche i Nazca, wskazują na istnienie i używanie tej rośliny w południowym Peru na około 1500 lat przed Chrystusem. O tym, jak ważną rolę w życiu codziennym odgrywała koka, niech świadczy fakt, że Indianie stosują od stuleci specyficzną jednostkę czasu i odległości – *cocada*, która liczy 30–40 minut, podczas których, żując jedną porcję liści koki, można pokonać dystans ponad czterech kilometrów po równym lub dwóch kilometrów w górzystym terenie.

Kapłan szpitala założonego w Cuzco wyłącznie dla Indian, ojciec Cristóbal de Molina, w swojej pracy z 1559 roku, opisując obyczaje i uroczystości Inków, podawał sposoby wykorzystania koki przez najwyższych kapłanów podczas świątych procesji. Ojciec Blas Valera przytacza ponadto dokładny obraz starannej opieki, jaka jest niezbędna na kilku etapach jej uprawy: „sadzą ją z wielką dbałością i baczeniem, a zbierają z jeszcze większym. Zbierają bowiem liście rękoma po jednym, suszą na słońcu i takie wysuszone jadają je Indianie, ale ich nie przełykają, smakują tylko woń i połykają sok” ¹².

Omawiając ogólne zastosowanie do różnych celów i pożytek z koki, dodaje: „*Cuca* chroni ciało od wielu chorób i nasi lekarze stosują ją w proszku, by powstrzymać i złagodzić obrzęki wrzodowe, wzmocnić

złamane kości, zaziębienie z ciała wypędzić lub nie dać mu dostępu i uzdrowić gnijące rany pełne robactwa. Skoro zatem tak osobliwymi zaletami sprawia tyle dobrodziejstw w chorobach zewnętrznych, czyż nie powinna mieć więcej mocy i zalet we wnętrznościach tych, co ją jedzą?” ¹³.

W wielu laboratoriach starano się ustalić rzeczywiste działanie fizjologiczne koki na ludzki organizm. Najbardziej zaskakujące było to, że badania doświadczalne nie potwierdziły wzrostu siły mięśniowej u osób używających tych liści. Stwierdzono jedynie pobudzenie akcji serca, wzrost ciśnienia krwi, pogłębienie oddechu oraz podwyższenie poziomu glukozy we krwi.

Potwierdzono również, że żucie koki zabezpiecza organizm przed nadmierną utratą ciepła poprzez skurcz obwodowych naczyń krwionośnych. Ma to niezwykle istotne znaczenie w środowisku wysokogórskim, w którym podstawowym czynnikiem urazowym dla organizmu jest obniżona temperatura. Połowa badanych Indian poświadczyla, że po żuciu koki jest im cieplej, a 75% badanych żuje ją częściej w porze zimowej ¹⁴.

Kokaina jest jednym z czternastu alkaloidów występujących w liściach koki, a jej zawartość nie przekracza jednego procenta masy. Po raz pierwszy kokainę z liści koki uzyskano w 1860 roku, po czym szybko stała się modnym i cudownym lekarstwem w Europie. Zachwalano ją jako antidotum na uzależnienie od opium oraz środek znieczulający i wzmacniający. Na wyprodukowanie kilograma kokainy potrzeba około 200 kilogramów liści koki. Agencja Antynarkotykowa ocenia, że w rejonie środkowych Andów produkuje się około 800 ton kokainy rocznie!

Krzaki koki występowały wzdłuż całego wschodniego łuku andyjskiego, od wybrzeża Morza Karaibskiego niemal po Cieśninę Magellana, na wilgotnych i ciepłych zboczach gór na wysokości od 500 do 1500, a nawet 2000 metrów n.p.m. Obecnie 70% zbiorów koki pochodzi z Kolumbii, ale w czasach Inków centrum upraw rozciągało się wokół królewskiego miasta Cuzco. Także dzisiaj okolice tego miasta pozostają ważnym regionem upraw tej rośliny, podobnie jak tereny nad rzeką Paucartambo oraz wzdłuż doliny Huanuco.

Liście od wieków wzbogacają bądź wręcz zastępują ubogą dietę mieszkańców Andów. Indianie z tego regionu twierdzą – i mają rację – że liście koki w takim samym stopniu nie są narkotykiem, jak winogrona alkoholem. Żucie samych liści koki działa lekko stymulująco, przeżuwane

lub pite uwalniają wiele cennych substancji: witamin, białek, składników mineralnych. Alkaloidy te działają bezpośrednio na ośrodkowy układ nerwowy, łagodząc głód, zmęczenie i pragnienie.

Szacuje się, że przeciętna dzienna dawka koki wśród Indian wynosi około 5,5 g suszonych liści i zawiera mniej więcej 0,7 grama kokainy (mniej niż 0,5 g). Tak niewielka dawka nie uzależnia. Dawniej kokę żuto z substancją łączącą, otrzymywaną ze spalania łądyg prosa *quinoa*, kości, wapienia lub muszli morskich. Wapno miało uwolnić pewne psychoaktywne alkaloidy zawarte w liściach.

W dzisiejszych czasach liście umieszcza się na czymś w rodzaju ogromnej glinianej patelni-woka, znajdującej się nad ogniskiem, i tam poddaje się je procesowi wysuszenia. Gdy dojdą do odpowiedniego stanu, czyli staną się lekko szkliste i chrupkie, tłucze się je w wydrążonym pniu drzewa tak długo, aż zamienią się w proszek. To najbardziej pracochłonna czynność. Po zmieleniu liści na pył dodaje się popiołu z liści palmy *yarumo*. W zależności od pożądanej mocy, proporcje to 3:1, 2:1 lub 1:1. Wymieszaną całość przesypuje się do płóciennego woreczka.

Teraz następuje ostatni etap „produkcji”. Proszek należy doprowadzić do konsystencji lekkiego pyłu poprzez czterokrotne wytrzepywanie go z woreczka uderzeniami o ściany drewnianego „moździerza”. Przygotowany w ten sposób drobny i ulotny pył Indianie przechowują w skórzanym woreczku, by z niego od czasu do czasu korzystać. Ważna sprawa – koki się nie połyka, lecz trzyma w ustach przez około 30–40 minut. Najlepiej wówczas nie wdawać się w żadne rozmowy. Jednak niekiedy nie jest to możliwe i wtedy wypowiedanym przez Indian słowom towarzyszą wydobywające się z ust zielone obłoczki koki.

Dla Indian koka to symbol boskości i początkowo jej użycie było zastrzeżone wyłącznie dla rodziny królewskiej. Władca nie mógł okazać większej łaskawości, niż obdarzając podarunkiem złożonym z owych cennych liści tych, którzy zasłużyli na ten symbol królewskiego szacunku. Kiedy sąsiednie plemiona, które podbili Inkowie, uznały zwierzchność nowych władców, ich wodzowie byli witani w nowym sojuszu jak szlachcice i z należnymi im honorami oraz gościnnością, otrzymywali cenne podarunki, wśród których imponujące wrażenie sprawiały kobiety i bele koki.

Nie tylko uprawa koki, lecz także jej zbiór wymagał dużego wysiłku i umiejętności. Roślina ta najlepiej rozwija się w stosunkowo ciepłych

dolinach, gdzie w dodatku zalega gliniane podłoże. Koka do wzrostu potrzebuje stałej temperatury około 18°C. Jeżeli temperatura jest wyższa niż 20°C, roślina traci swoją naturalną moc, a liście usychają, dlatego uprawia się ją na pewnej wysokości ponad dolinami, w których panują upały.

Koka wymaga ziemi bogatej w składniki mineralne, lecz jednocześnie pozbawionej wapnia, który jest dla niej do tego stopnia szkodliwy, że kiedy znajduje się w glebie, krzew – nawet jeśli wyrośnie – będzie skarłowaciały i z ubogim listowiem. Czerwona glina, tak powszechnie występująca w tropikalnych Andach, została uformowana przez połączenie się kwasów organicznych z nieorganicznym podłożem ziemi alkalinowych oraz tlenków (głównie żelaza), które dostają się do gleby w rozpuszczonej formie.

Elementy te są przyswajane przez krzew koki dzięki licznym włóknistym korzeniom, które wyglądem przypominają kłęb siana. Delikatne włókna rozchodzą się we wszystkich kierunkach, spijają wilgoć, która osiada na nich, tworząc delikatną błonkę wody, dzięki czemu ma miejsce szybka absorpcja. Gliniana gleba *montaños* oraz uprawa na zboczach zapewniają odpowiedni drenaż gruntu, bez którego delikatne korzenie mogłyby zacząć gnić.

Wpływ na zawartość alkaloidów w koczce ma prawdopodobnie właśnie metaliczna ziemia. Większość gruntów andyjskiego masywu, które porasta koka, pochodzi z rozkładu łupków pirytożelazawych, tworzących główną strukturę geologiczną. Taki podkład, wymieszany z materią organiczną i solami z gnijących roślin lub ze spalonych drzew, wytwarza coś, co można nazwać dziewiczą ziemią – *terre franche ou normale* – która w dodatku nie wymaga użyźniania.

Wszystkie powyższe uwarunkowania i trudności sprawiały, że żucie liści koki było w imperium Inków przywilejem arystokracji, a poddani płacili daniny właśnie koką. To także dowodzi, że jej uprawa w Egipcie była po prostu niemożliwa. Jak jednak wytłumaczyć fakt, że w mumiach Indian peruwiańskich odkryto także ślady haszyszu? Jedynym wytłumaczeniem obecności koki w Egipcie i haszyszu w Peru wydaje się istnienie kontaktów handlowych między Ameryką i Afryką. Atlantycki „szlak kokainowy” w czasach starożytnego Egiptu?

W istnieniu takich kontaktów nauka nie wierzy. Co jednak dzisiaj jest absurdem, jutro może się okazać niepodważalnym faktem. Przypomnijmy, że do roku 1965 – momentu odkrycia pozostałości osady wikingów

w Nowej Fundlandii – z góry odrzucano wszelkie teorie o ich rejsach przez Atlantyk. Louis Lewin w *Phantastica: Narcotic and Stimulating Drugs, Their Use and Abuse* stwierdza:

„Owe [narkotyczne] substancje stworzyły więź pomiędzy ludźmi na przeciwnych półkulach, między cywilizowanymi i dzikusami; wyważyły drzwi, które, raz otwarte, okazały się użyteczne także do innych celów; dzięki nim u dawnych plemion wykształciły się cechy, które przetrwały do dziś, stanowiąc precyzyjny i pewny dowód zdumiewającej bliskości różnych ludów, podobnie jak w chemii, która ustala związki łączące dwie substancje na podstawie zachodzących między nimi reakcji. Setek, a może tysięcy lat potrzeba było, by w ten sposób doszło do kontaktu pomiędzy całymi narodami. Etnologia, której zadaniem powinno być dotarcie do ich korzeni, nigdy nie podjęła takich poszukiwań czy badań, choć kwestie te mają wielkie znaczenie zarówno dla nauki, jak i dla historii ludzkości” ¹⁵.

Aby kokaina dotarła do Egiptu, kupcy musieliby pokonać któryś z oceanów. Skąd pochodzili handlarze? Czy przebyli Atlantyk z zachodu na wschód, czy na odwrót? A może przepływali Pacyfik, docierając do Chin, skąd liście koki wędrowały łodem bądź drogą wodną przez Ocean Indyjski i Morze Czerwone? Nil i żegluga po nim znajdowały swe odbicie zarówno w religii i światopoglądzie, jak i w życiu gospodarczym oraz codziennym starożytnych Egipcjan.

Ich zależność od wodnej komunikacji odzwierciedla fakt, że cała terminologia dotycząca przejazdów była zaczerpnięta z określeń żeglarskich. Zamiast powiedzieć „podróżować na południe” – mówiono: „żeglować pod prąd”, a podróż na północ określano jako „żeglugę w dół rzeki”, nawet wtedy, gdy dotyczyło to wypraw poza granicami Egiptu, na przykład w Azji.

Wyrażenia te, zapisane hieroglifami, opatrzone były znakami wyobrazającymi łódź z żaglem – określającą podróż w górę rzeki, oraz łódź bez żagla, co oznaczało spływ. Nil i jego ogólny kierunek tak określały światopogląd Egipcjan w zakresie geografii i topografii, że mieli oni poważne trudności z podawaniem kierunków i orientacją w terenach leżących poza obrębem kraju. W inskrypcji na steli w Tombos (Nubia), pochodzącej z okresu panowania faraona Tuthmozisa I (przez Greków określanego mianem Totmesa, który rządził w latach 1503–1491 p.n.e.), znajduje się słynne zdanie określające Eufrat płynący z północy na południe

jako „rzekę o odwróconej wodzie, która płynie w dół rzeki, kierując się pod prąd” [16](#).

Egipcjanie uważali morze za chciwego boga i żeglowali tylko na dwóch trasach: do Byblos i do legendarnego kraju Punt. Z Byblos przywozili żywicę, belki, deski, a nawet niekiedy całe statki. Z tego powodu wyraz *kebenit*, wywodzący się od egipskiego określenia Byblos – *keben*, oznaczał statki pływające po morzu. „Wypracowany kształt statków faraonów, zarówno tych pierwotnych, jak i drewnianych naśladownictw – pisze Thor Heyerdahl – przystosowany był do żeglugi na przyboju i wysokich falach. Zachowanie tego skomplikowanego i trudnego do wykonania w twardym drewnie kształtu było zupełnie zbyteczne, ponieważ jednostki te były używane przede wszystkim na Nilu, gdzie nie ma fal i gdzie płaskie tratwy byłyby odpowiedniejsze. Sam ten kształt jest wystarczającym dowodem, że prototypowe statki trzcinowe starożytnych Egipcjan budowano z myślą o ich eksploatacji poza ujściem Nilu” [17](#).

Badacze odmawiali jednostkom z trzciny i papirusu zdolności utrzymania się przez dłuższy czas na wodzie, sugerując się eksperymentem przeprowadzonym w warunkach laboratoryjnych. Dopiero wyprawa Norwega wykazała, że nie można żeglować po oceanie wyłącznie na mapie i z za biurka. Papirus a statek z papirusu to dwie różne rzeczy. Konstruktorzy łodzi trzcinowych od Egiptu aż po Peru zdawali sobie sprawę, że trzcina wchłania wodę przez porowate końce łodyg, a nie przez gęstą, włóknistą łupinę, która okrywa łodygę.

Dlatego też budując swoje statki trzcinowe, używali specjalnej techniki: końce łodyg ściskali tak mocno, że woda prawie nie mogła dostać się do ich wnętrza [18](#). To łódź papirusowa nadała drewnianemu statkowi jego kształt, a nie na odwrót. Konopne powrozy poprzez tysiące małych otworków spajały poszycie statku egipskiego o tak nienagannie wygiętych liniach opływowych, że nawet wikingowie nigdy nie zbudowali czegoś zgrabniejszego i wykwintniejszego.

Wszystkie elementy wskazują, że tego typu jednostki konstruowano według modelu stworzonego przez szkutników z rejonu, gdzie żegluga pełnomorska miała wiekowe i trwałe tradycje. Pierre Montet podaje, że na przestrzeni wieków konstrukcja statku egipskiego prawie nie uległa zmianie. Długi kadłub, zakończony na przodzie dziobem, w tyle podnosi się i wygina, kończąc się sporym daszkiem.

Na statku były dwa punkty obserwacyjne, na przodzie i na tyle. Statek wyposażano w dwa stery, po jednym na każdym boku, bliżej rufy. Ogromna lina podtrzymywana przez cztery rozwidlone pale łączyła dwa krańce kadłuba. Jedyne maszty umocowane za pomocą czterech lin, umieszczone mniej więcej pośrodku, utrzymywał pojedynczy żagiel o kształcie niskiego prostokąta. Załoga była stosunkowo liczna, ponieważ w momentach flauty majtkowie chwyтали za wiosła [19](#).

Dodatkowym świadectwem, że jednostki tego rodzaju były pierwotnie przeznaczone do żeglugi dalekomorskiej, jest specjalny takielunek, który giętkiemu statkowi z papiirusu umożliwiał żeglugę na wzburzonych falach bez groźby jego poprzecznego przełamania. Dochodziłoby do tego w momencie, gdy kadłub zawisał dziobem i rufą na wierzchołkach fal, a śródokręcie nie było podparte, albo odwrotnie, gdy śródokręcie unosiło się na grzbiecie fali, a dziób i rufa zwisały.

Genialność tego wynalazku polegała na tym, że prawie 3/4 kadłuba przytrzymywały równoległe sztagi, biegnące w górę po obu stronach dwunożnego masztu. Pozostała część rufowa miała niewielką możliwość ruchu, lecz zawsze powracała do właściwego położenia dzięki mocnej linie łączącej wygiętą stewę rufową z pokładem na wysokości, gdzie znajdowały się ostatnie z biegnących od masztu ku rufie sztagów.

To niejedyne wskazówki. Kolejną przynosi trapezoidalny kształt żagla, który nie mógł być szerszy od pokładu, gdyż byłby wystawiony na uderzenia wierzchołków fal powstających wzdłuż burt, czego nie spotyka się na Nilu. Następną jest specyficzne urządzenie sterowe w postaci owych dwóch długich wiosel z wielkimi piórami, które znajdowały się po obu stronach rufy.

Na starożytnych malowidłach i reliefach trzony wiosel sterowych miały zwykle cieńszą linkę albo też mniej pętli przy dolnym punkcie zamocowania niż przy górnym. Doświadczenia – zdobyte podczas podróży łodzią „Ra” oraz „Ra II” – wykazały, że ten szczegół ma znaczenie praktyczne. Gdyby nie to proste rozwiązanie, wiosła przy byle większej fali złamałyby się, a tak uszkodzeniu ulegała tylko linka, natomiast wiosło wychylało się na bok i bez trudu dawało się ponownie przymocować.

Łodzie trzcinowe zapewniały znacznie większe bezpieczeństwo na morzu i większą nośność, gdyż unosiły się na wodzie niczym korek. Nie miały kadłuba, do którego mogłaby się dostać woda, co pozwalało im pływać na płyciznach i przybojach bez obawy przecieku. Małe zanurzenie

i zwarta konstrukcja pozwalały takim statkom na swobodne manewrowanie wśród raf i mielizn. Umożliwiały im ponadto osiadanie na brzegu, do którego drewniany, głęboko zanurzony statek nie byłby w stanie się zbliżyć.

Zaletą był także fakt, że ich wymiary nie podlegały praktycznie żadnym ograniczeniom spowodowanym groźbą przełamania kadłuba. Eratostenes podawał, że „papiirusowe statki, z takimi samymi żaglami i takielunkiem jak te na Nilu” docierały na Cejlon, a nawet do ujścia Gangesu. Zostały jednak wyparte przez drewniane konstrukcje, które zapewniały dłuższą żywotność oraz większą prędkość. Pliniusz Starszy donosił, że na pokonanie tego samego dystansu, który okręty rzymskie przepływały w tydzień, łodzie papiirusowe potrzebowały trzech tygodni.

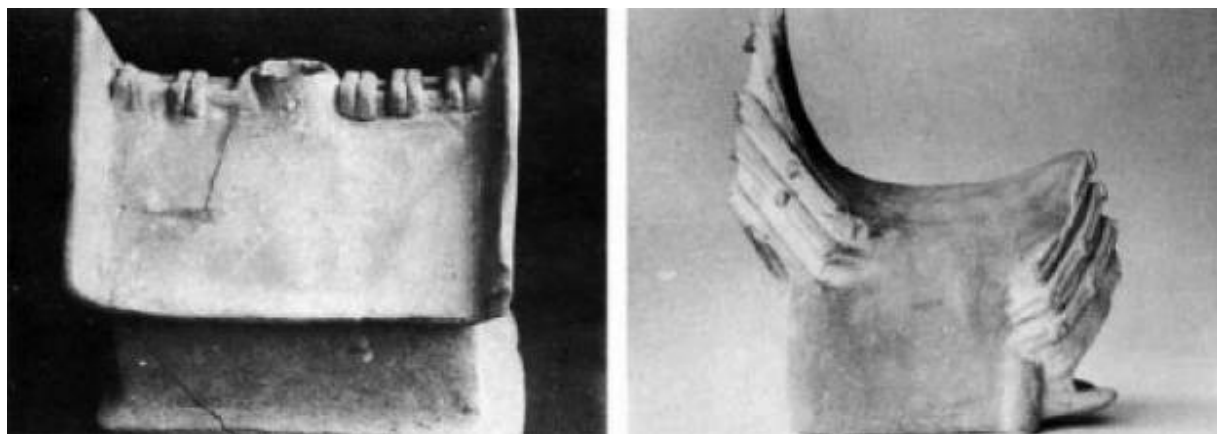
Pierwotne statki nie przetrwały do naszych czasów, z wyjątkiem egipskich łodzi grobowych. Jednak mało prawdopodobne wydaje się, by to starożytni Egipcjanie mogli pokonać Atlantyk. Powodem nie były kwestie natury technicznej. Egipcjanie byli dobrymi żeglarzami, lecz nie odczuwali ani potrzeby, ani tym bardziej chęci podejmowania dalekich wypraw morskich. Zapotrzebowanie na towary zagraniczne nie było wielkie i – jeżeli tylko było to możliwe – ich zaspokajaniem zajmowali się kupcy innych nacji. Nawet wówczas, gdy faraonowie podejmowali ekspedycje badawcze, ich przeprowadzenie z reguły powierzali cudzoziemskim żeglarzom.

Wspaniałe porty faraonów z pewnością kusily wielu kupców różnych nacji. Egipcjanie wcale nie musieli podróżować do Ameryki. Nie musieli nawet wiedzieć, skąd te rośliny pochodzą. Mogli je kupować choćby od handlarzy azjatyckich. Już odkrycie mumii z Takla Makan zdołało zburzyć wcześniejsze ustalenia historyków na temat pierwszych kontaktów między Wschodem a Zachodem. Do chwili ich odnalezienia zakładano, że do momentu powstania Jedwabnego Szlaku (I wiek p.n.e.) kontakty takie nie istniały. Fragmenty jedwabiu, znalezione w grobowcach egipskich z XI wieku p.n.e. oraz z VI wieku p.n.e. na terenach dzisiejszej Grecji i Austrii, zdają się temu przeczyć.

Potwierdzeniem kontaktów z azjatyckim lądem byłyby chińskie znaleziska z południowoamerykańskiego wybrzeża – mowa o szczątkach glinianych naczyń z okolic rybackiej wioski Valdivia, położonej w ekwadorskiej prowincji Guayas, które datuje się w przybliżeniu na lata 3000–2500 p.n.e. Również w ekwadorskiej prowincji Manabi wśród artefaktów tamtejszej kultury La Tolita odnaleziono liczne gliniane modele

domków w kształcie pagód o wygiętych dachach oraz figurki noszące spiczaste nakrycia głowy i siedzące z podwiniętymi nogami, których wiek ocenia się na I stulecie p.n.e. [20](#).

Najstarsza znana ceramika znaleziona na wybrzeżu dzisiejszego Peru pochodzi z około połowy II tysiąclecia p.n.e., a z Ameryki Środkowej – z przełomu III i II tysiąclecia p.n.e., zatem to znalezisko jest wyjątkowym zjawiskiem. Nie tylko jego wiek, lecz także podobieństwo do ceramiki typu Dziomon (Jomon), rozpowszechnionej w Japonii w III tysiącleciu p.n.e. w miastach Ataka i Sobata, leżących nieopodal Kumamoto, w centralnej części Kiusiu, a także w Izumi na zachodzie tej wyspy.



Artefakt funeralny ekwadorskiej kultury La Tolita w kształcie chińskiej pagody

Meksykańską grę *patolli* można w dużej mierze uznać za odpowiednik *parchesi* w Indiach. Fletnie Pana używane na całym obszarze Andów aż po Brazylię są praktycznie nie do odróżnienia od znanych w Birmie i na Wyspach Salomona [21](#). Prekolumbijskie chińskie figury z brązu znajdowano w Peru, a figurki Nazca przedstawiające boga Słońca mają u podstawy chiński znak oznaczający niebo.

W zbiorach muzeum w Teotihuacán znajdują się chińskie medaliony, nefrytowe naszyjniki tego samego pochodzenia odkryto w Chiapa de Corzo (obecny stan Chiapas w Meksyku). Na ścianach jaskiń Cueva Pintada w meksykańskiej części półwyspu Bahia California widnieją malowidła przedstawiające ludzi przeszytych strzałami i rysunek supernowej w Mgławicy Kraba z 1054 roku, odnotowanej przez Chińczyków [22](#).

Kolumb chciał dotrzeć do wspomnianego przez Marco Polo Zipangu, ale czy rzeczywiście należy utożsamiać ten kraj z Japonią? Przytoczony poniżej fragment *Opisania świata* być może nie dotyczy w całości tego, co wiemy o obyczajach mieszkańców obu Ameryk, lecz najbardziej widoczne elementy, na przykład nadzwyczajna ilość znajdującego się tam złota, kojarzone są z mitem o Eldorado. Eldorado indiańsko-amerykańskim.

Ludożerstwo z pewnością nie było tradycją praktykowaną przez dumnych samurajów. Wiele ze zwyczajów przypisywanych bałwochwalcom należy do kultury „dzikich”, która nie ma nic wspólnego z obyczajami japońskimi. W Japonii nie czczono idoli, lecz Buddę, a ponadto: „Zipangu jest wyspą leżącą na wschodzie, na pełnym oceanie, o tysiąc pięćset mil od stałego lądu [...]. Ludność jest biała, piękna i dobrze zbudowana [jakbyśmy czytali Kolumba opisującego spotkanie z Indianami – J.M.]. Oddaje cześć bożkom. Jest niezależna, nie mając nad sobą żadnej władzy prócz swej własnej.

Musicie wiedzieć, że złota mają w wielkiej obfitości, gdyż znajduje się na miejscu bez liku [...]. Jeszcze tylko powiem wam, gdyż chcę, abyście o tym wiedzieli [...] że poganie owej wyspy, gdy pochwyć kogoś, kto nie jest z nimi zaprzyjaźniony i nie może się wykupić, zapraszają wszystkich swych krewnych i przyjaciół, mówiąc: »Chcę, abyście przyszli do domu mego, aby jeść pospołu«. I zabijają owego człowieka pojmanego i zjadają go pospołu z krewnymi. I wystawcie sobie, że gotują go i owo mięso ludzkie uważają za najlepsze, jakie mieć można.

Wiedźcie, że morze, na którym się owa wyspa znajduje [...] rozciąga się na wschodzie i południu i ma, wedle doświadczonych i mądrych żeglarzy, którzy po nim pływają i dobrze prawdę znają, siedem tysięcy czterysta czterdzieści osiem [o siedmiu tysiącach wysp, mając na myśli Karaiby, będzie pisał w liście Kolumb – dop. J.M.] wysp, z których większa część jest niezamieszкана [...]. są one tak odległe, że z wielkim trudem jedynie tam się dostać można [...]. trują się w tej podróży przez cały rok [...]. I jeszcze dodam, co już powiedziałem, że morze to zwie się Morzem Czin i chcę, żebyście wiedzieli, że jest to Morze Oceanne” [23](#).

Rok żeglugi! Z Chin do Japonii? W innym świetle widzimy tę informację, gdy wiemy, że na północnym Pacyfiku istnieje potężny system cyrkulacji atmosferycznej, silne wiatry wieją nieustannie po linii owalnej, zgodnie z ruchem wskazówek zegara. W czerwcu od Filipin dmą wiatry w kierunku północnym, na północ płyną też wody Prądu Kuro-siwo.

Następnie każda jednostka pływająca dostałaby się w zasięg wiatrów pchających ją w stronę pacyficznych wybrzeży Kanady, gdzie z kolei zostałyby przejęta przez Prąd Kalifornijski, toczący swe wody w kierunku południowym, wzdłuż kontynentu aż do dzisiejszej Panamy.

Z tego miejsca Prąd Północnorównikowy poniósłby okręt jak rzeka z powrotem ku Filipinom. Paralela z rzeką nie jest przypadkowa. Już Polinezyjczycy doceniali wpływ i korzyści wynikające z prądu oceanicznego, gdyż kierunek na wschód określali jako „w górę” i odpowiednio „w dół” – oznaczało na zachód.

Możliwość takiego okrężnego rejsu potwierdza podobieństwo motywów dekoracyjnych odnajdywanych w sztuce złotniczej peruwiańskiej kultury Chavín de Huántar (kwitnącej mniej więcej od XIV do III wieku p.n.e.) oraz wśród wyrobów chińskich artystów tworzących w tak zwanym stylu Czou (1125–250 p.n.e.), a także artystów hinduskich, jak choćby motyw tygrysa na tronie. Niekiedy wyobrażenie tego zwierzęcia przekształca się w postać fantastycznego stwora, przypominającego maski zwierzęce starożytnych Chin i tak zwany motyw *t’ao-t’ie* ²⁴.

Gordon Eckholm dokonał porównania trójnożnych waz chińskiej dynastii Han z tymi znalezionymi w Teotihuacán, sugerując ich import do Mezoameryki drogą morską, prawdopodobnie za pośrednictwem zakonników buddyjskich. Natomiast austriacki archeolog Robert Freiherr von Heine-Geldern zwrócił uwagę na podobieństwo ornamentacyjne, jakie w postaci węzów można zauważyć na fryzach świątyni Amaraviti w Indiach oraz na balustradach niektórych zabytków w Chichén Itzá w Meksyku. Podobnie wskazał na pokrewieństwo zdobniczo-botaniczne między zabytkami w Kambodży a ruinami w Palenque, sugerujące transpacyficzne kontakty krajów buddyjskich z Mezoameryką, jakie prawdopodobnie zostały nawiązane w okresie 800–1000 n.e. ²⁵.

Fakt, że przedmioty gliniane pojawiły się w rejonie Valdivii jakby znikąd, bez wcześniejszych śladów rozwojowych, jasno wskazuje na import kulturowy, który jednak nie rozprzestrzenił się na większym obszarze, mimo że technologicznie dorównał poziomowi wytwarzania pierwotnych twórców. Trąby wykonane z konch, bardzo powszechne w kulturach Indii, Chin oraz Polinezji, spotyka się również wśród ludów indiańskich Meksyku, Kolumbii, Ekwadoru i Peru, ale nie znajduje się ich na północ od Ameryki Środkowej ani na terenie Chile.

To nie koniec intrygujących analogii. Drzewa lakowe w naturalnym środowisku występują w Chinach, a także są uprawiane na plantacjach w całej Azji Południowo-Wschodniej. Sztuka powlekania przedmiotów laką – w Państwie Środka określaną mianem *qiqi* – jest skomplikowaną i tak specyficzną metodą ozdabiania, że już chińskie i japońskie metody pokrywania zasadniczo się od siebie różnią.

Umiejętność wykorzystywania w ten sposób żywicy z drzew lakowych rozwinęła się także na pacyficznym wybrzeżu Meksyku oraz w Kalifornii. Techniki dekoracyjne oraz kolory także są podobne: efektowne czerwone wzory wyryte na głębokiej czerni podłoża. To żmudny i bardzo czasochłonny proces: cienkie nacięcia wypełnia się kontrastowymi kolorami, jedno po drugim. Po każdym takim zabiegu dekorowany przedmiot wciąż trzeba suszyć i polerować ²⁶.

Kto doradził Indianom wykorzystywanie gorących i wilgotnych wiatrów znad Pacyfiku, dzięki którym laka – nazywana tutaj *maque* – przekształca się w gęstą masę, twardniejąc jak emalia? Można przypuszczać, że kontakty transpacyficzne nie należały do rzadkości, chociaż nie stały się jakimś znaczącym bodźcem do rozwoju dla społeczności indiańskich. Wiele wskazuje na to, że do Ameryki od strony pacyficznej całe milenium wcześniej niż Kolumb dotarł buddyjski mnich o imieniu Hoei Szin lub Huixin (Wszechogarniające Współczucie).

Relacja na temat odkrycia przez niego zagadkowego kraju zwanego Fusang znalazła się w dziele z VII wieku n.e. autorstwa chińskiego kronikarza Li-Yan-Czu, który natknął się na opis podróży mnicha w pałacowych archiwach. Mnich, który zjawiał się w 499 roku n.e. w prowincji Hu-Kuang, został przyjęty na audiencji u cesarza, którego zainteresowały jego dzieje. Zgodnie z opowieścią podróżnika pierwszym miejscem, do którego dotarł, był kraj Ta-Han, odległy o 5 tysięcy chińskich mil (około 2400 kilometrów), identyfikowany z zachodnią Alaską bądź Aleutami, ponieważ tamtejsi krajowcy mieli w zwyczaju wykonywanie tatuaży, a relacja mnicha wspominała o „ludziach o malowanych ciałach”.

Dwadzieścia tysięcy mil chińskich od Państwa Środka miał leżeć kraj Fusang, którego nazwa wywodziłaby się od rosnącego tam gatunku drzewa. Listowie drzewa *fusang* miało być podobne do liści powszechnie występującej w Chinach rośliny *tung* (prawdopodobnie chodziło o *Dryada cordifolia*). Młode pędy, podobne do bambusowych, oraz gruszkowate owoce tej amerykańskiej odmiany służyć miały za pożywienie.

Natomiast z kory i łyka wyrabiano tkaniny odrobinę przypominające jedwab. W trakcie posłuchania u cesarza Hwui Shan (bo i taką transkrypcję imienia mnicha się spotyka) podarował władcy 300 funtów owego „jedwabiu”, razem z twardym półprzezroczystym kamieniem o obwodzie około jednej stopy, wypolerowanym na kształt lustra ²⁷.

Mnich odnotował również brak na tym obszarze złóż żelaza, w przeciwieństwie do metali szlachetnych i miedzi. Cennym spostrzeżeniem jest także uwaga o posługiwaniu się przez rdzennych mieszkańców tajemniczego lądu pismem oraz wzmianka o wykorzystaniu papieru z łyka drzewa *fusang*. Relacja wspomina o pokojowo nastawionej ludności oraz jej podziale na ludzi wolnych i trójwarstwową szlachtę. Wielu badaczy zastanawiało się, dokąd mogła dopłynąć jego buddyjska świątobliwość?

Powyższe szczegóły zdają się wskazywać na obszar dzisiejszego Meksyku, który charakteryzuje się niedostatkiem żelaza, a złoto i srebro były wykorzystywane przez Indian wyłącznie jako materiał zdobniczy bez większej wartości, w przeciwieństwie na przykład do jadeitu lub obsydianu, z którego został prawdopodobnie wykonany ów okrągły przedmiot wspomniany w relacji. W czasie wizyty Chińczyka sztuką pisania i umiejętnością wyrabiania papieru mogli się pochwalić z pewnością Majowie. Trochę mylące może być stwierdzenie o pokojowym charakterze społeczeństw Mezoameryki, choć trzeba zaznaczyć, że wokół kompleksu Teotihuacán próżno szukać umocnień obronnych.

Do listy wskazówek potwierdzających bytność gości z Azji w Ameryce dorzuca się zgodność opisu roślinności kraju Fusang z charakterystycznymi dla obszaru meksykańskiego roślinami, takimi jak agawa czy aloes. Wbrew pozorom błędnie podana odległość dzieląca Chinę i Amerykę – 20 tysięcy li, czyli około 6 tysięcy mil morskich, może być paradoksalnie właściwa, jeżeli uwzględnimy dodatkową prędkość, jaką statek uzyskuje, płynąc z „nurtem” Prądu Kuro-Siwo, a później jego odnogi Prądu Północnopacyficznego. Dodatkowym potwierdzeniem byłby fragment raportu mówiący, że Fusang znajdował się cztery razy dalej niż Ta-Han.

Oczywiście w relacji można znaleźć też sporo nieścisłości oraz elementów wręcz fantastycznych albo my nie potrafimy ich właściwie zinterpretować. Z pewnością nazwa Fusang występująca w innych źródłach chińskich odnosiła się do mitycznej krainy wszelkiej obfitości. Ponadto wzmianki o faunie praktycznie w ogóle nie odpowiadają stanowi zwierząt

w Ameryce, a co za tym idzie, poziomowi rozwoju społeczeństwa, gdyż Indianie nie znali zwierząt pociągowych.

Chyba że mowa o lamach, ale to zwierzęta juczne, a nie pociągowe. Podobnie wygląda sytuacja, jeśli chodzi o bardzo płochliwe i pokryte futrem dwunożne istoty z „Kraju Kobiet”, o tysiąc mil chińskich od Fusang. Taka charakterystyka przywodzi na myśl małpy, ale na kontynencie amerykańskim nie występują gatunki tej wielkości, co najwyżej stosunkowo niewielkie małpy ogoniaste.

Ciekawą informacją przekazaną przez Hwei Szina jest fakt bytności w kraju Fusang niecałe pół wieku wcześniej pięciu żebraczych mnichów buddyjskich mających pochodzić z królestwa Kipin. Rodzi się pytanie, czy opowieść ta, a zatem i ten szczegół, są czystym wymysłem i czy istnieją jakieś ślady potwierdzające inne wizyty gości z przeciwnej strony Oceanu Spokojnego? Argumentem przemawiającym za może być fakt, że sprawozdanie buddyjskiego kapłana zostało uznane za prawdziwe, skoro dołączono je do roczników (oficjalnej historii) cesarstwa chińskiego.

Istnieją też inne zaskakujące paralele między niektórymi kulturami południowo-wschodniej Azji i Starej Ameryki, zwłaszcza w rachunku kalendarzowym oraz w technikach obróbki metali i wyrobów włókienniczych. Wiele portretów własnych, które pozostawili potomności Olmekowie, wykazuje niewątpliwie rysy wschodnioazjatyckie, nawet jeśli artyści olmeccy na tych wizerunkach umieszczali zarysy głowy jaguara, odgrywającego wielką rolę w ich wyobrażeniach kultowych i ceremoniach.

Setki razy rozpoznajemy wizerunki jaguara w dziełach sztuki Olmeków, zwłaszcza w wyrobach z nefrytu. Był on szczególnie faworyzowanym materiałem w sztuce chińskiej. Właśnie jaguar, jako zwierzę demoniczne, przypominał bardzo wyraźnie demoniczne zwierzę Chin Taotie, które odgrywało wielką rolę w okresie Zhou w latach 1122–221 p.n.e., a także później.

Czy wysłannicy chińscy, żeglarze i kupcy docierali, płynąc wzdłuż północnych brzegów Pacyfiku, do Meksyku, a później do Peru, czy odwiedzali nawet Brazylię? Wyobrażenia okrutnych i odstrasających demonów-zwierząt – drapieżnych kotów czy węży – były szczególnie charakterystyczne dla kultury Chavín. Pierwszym badaczom, którym udało się wyodrębnić okres istnienia tej kultury aż do IX wieku p.n.e., w obliczu tych odtworzeń wizerunków nasunęło się znowu wspomnienie Taotie.

Intuicyjna świadomość poznania mówiła im, że w początkach I wieku p.n.e. musiała istnieć jakaś wymiana kultur między Azją Wschodnią a Ameryką Południową. Jeśli jednak kupcy z chińskich państw nadbrzeżnych, Wu i Juch, na początku I stulecia p.n.e. przenieśli swoje wierzenia religijne do Peru, to czy wtedy także przekazali sztukę tkacką i złotniczą? Czy tu tkwiło wyjaśnienie faktu, że wszystkie świadectwa o kulturze Chavín, jak również o kulturze Olmeków pojawiły się „nagle”?

[28](#)



Ornament na chińskim naczyniu z brązu z okresu XII–IX wieku p.n.e. (1), nasuwa analogie z ornamentem i układem postaci na naczyniu z wyspy Marajó w Brazylii (2)

Chińczycy dysponowali jednostkami zdolnymi do dalekomorskich rejsów, nie wspominając o tym, że w dziedzinie innowacji żeglarskich wyprzedzali Europę o stulecia. Zasadę działania kompasu znali już tysiąc lat p.n.e., choć dowody na zastosowanie takiego urządzenia w żegludze tego kraju znajdują się w traktacie uczonego Czu Ju z okresu późniejszego o około dwa milenia.

Chińczycy wykorzystali fakt, że właściwości magnetytu mogą być przenoszone przez indukcję na żelazo, ono zaś, pływając swobodnie w oleju, wskazuje biegun magnetyczny Ziemi. Dzięki temu byli w stanie utrzymywać kurs z dokładnością do 2 stopni. Również chińskim osiągnięciem w „branży” morskiej było niewątpliwie wynalezienie steru osiowego, którego przykłady znamy już z II wieku p.n.e., czyli za dynastii Han. Innym wynalazkiem wyprzedzającym o stulecia odkrycia europejskie były koła łopatkowe wykorzystywane przy napędzie chińskich okrętów wojennych.

Europejczyków szokowały stosowane na nich żagle z maty bambusowej lub ryżowej, które Chińczycy bardzo wcześnie zastosowali jako główny pędnik. Usztywniano je wieloma listwami bambusowymi, które biegły niby żebra, równoległe do rejki, w poprzek całego żagla. Żagiel zaś ustawia się w stosunku do wiatru nie pojedynczymi szotami, jak na europejskich statkach, lecz całym systemem szotów, które biegną od każdej listwy, łącząc się w jeden ciąg. Dopiero ostatnie badania aerodynamiczne wykazały olbrzymią przewagę półsztywnego, wypłaszczonego żagla nad żaglem tradycyjnym. Proste jest również reflowanie takich żagli, praktycznie, ze względu na listwy i wielość szotów, sprowadzające się do obniżania żagla na maszcie [29](#).

Za złote lata chińskiej żeglugi handlowej uważa się okres od VII do XIII wieku, to jest do czasów podboju Chin przez Mongołów. O rozwoju żeglugi świadczy chociażby taka kronikarska wzmianka: „Za panowania An Ti, mówią, od jednego huraganu zostało zniszczonych 10 tysięcy państwowych statków”. Jeżeli nawet przyjmiemy, że kronikarz wielokrotnie zwiększył liczbę utraconych statków, to i tak żegluga na chińskich morzach musiała być dużo bardziej rozwinięta niż gdziekolwiek na świecie. Odmian i typów dżonek (*dżong* lub *adżong* – po malajsku znaczy wielki statek) można wyróżnić co najmniej dwie setki.

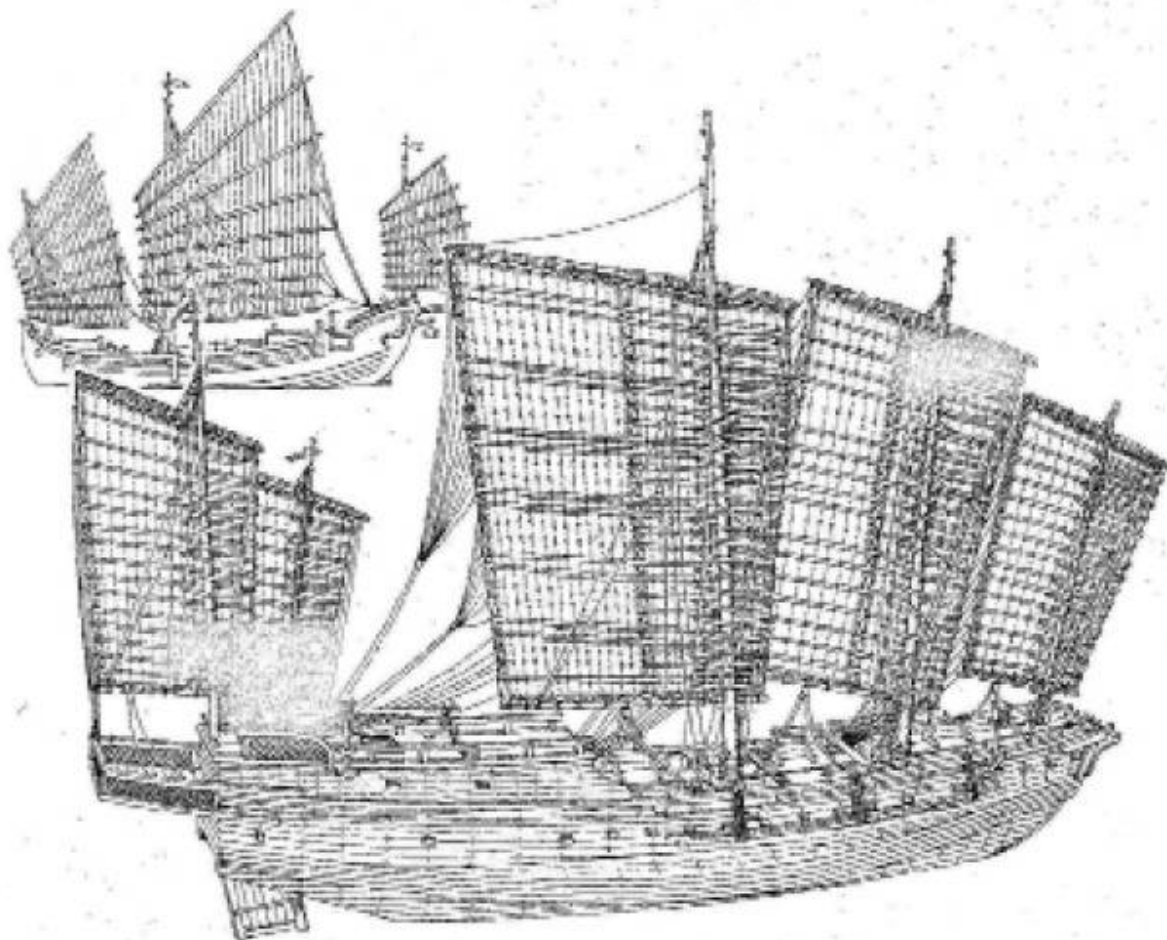
Podwodna część ich kadłuba o pięknych opływowych kształtach jest wzorowana na pływającej kaczce lub łabędziu i przypomina spadającą kroplę wody. Kadłub więc, w płaszczyźnie wody najwęższy przy dziobie, stopniowo rozszerza się, najszerszy jest tuż za śródokręciem, potem zwęża się do rufy. Jeżeli uświadomimy sobie, że Anglicy do drugiej połowy XIX wieku hołdowali zasadzie, że dobry statek „z przodu jest pełny, a z tyłu ostry” jak ryba, to nie zdziwi nas, że te „wraki” były ich na głowę pod względem szybkości [30](#). Nawiasem mówiąc, „teoria kropłowa” została

zweryfikowana dziś metodami naukowymi i zastosowana w budowie kadłubów okrętów podwodnych oraz jachtów regatowych ³¹.

Każda z dzonek miała wodoszczelne grodzie, z których nawet dwie mogły zostać zalane bez utraty pływalności statku. Konstrukcja ta była odwzorowaniem budowy wewnętrznych ścianek bambusa. Sekcje kadłuba łączono mosiężnymi bolcami, których waga wynosiła kilka kilogramów. Ponadto dżonki miały trzy warstwy twardego drewna, które przymocowywano do szkieletu z drewna tekowego lub mahoniowego, następnie deski były uszczelniane włóknem kokosowym i miksturą gotowanego oleju z ziaren drzewa tungowego oraz wapna.

Po obu stronach wzmocnionego dziobu – często z rzeźbami przedstawiającymi węże – znajdowały się kanały odprowadzające wodę do wewnętrznych przedziałów, co ułatwiało zmaganie się z oceanicznymi falami, najlepiej opisywał to chyba Marco Polo:

„Jest jeszcze na niektórych okrętach, zwłaszcza na większych, trzynaście przedziałów, czyli przepierzeń, zrobionych z silnych desek wpuszczonych jedne w drugie; a to w przewidywaniu wypadku, gdyby okręt został przedziurawiony [...], a wtedy woda, wciskając się przez dziurę, spływa do ścieku, który zawsze jest pozostawiony wolny; w ten sposób żeglarze natychmiast dostrzegają, w jakim miejscu okręt został uszkodzony; wówczas opróżniają przedział uszkodzony, przenosząc wszystko do sąsiednich, gdyż woda nie może się do innych przedziałów przedostać, tak silnie spojone są przepierzenia; po czym naprawiają szkody i ładunek usunięty na powrót znoszą. Zbite są te okręty w następujący sposób: całe są podwójne, gdyż deskowanie ich jest drugimi deskami jeszcze obite; wewnątrz i zewnątrz są uszczelnione pakułami i zbite żelaznymi gwoździami.



Chińska dżonka

Nie są smołowane, gdyż smoły w tym kraju nie mają; lecz powiem wam, jak smarują okręty czymś, co im się wydaje lepsze od smoły. Biorą niegaszone wapno i pakuły drobno pokrajane, duszą je razem z olejem otrzymywanym z pewnego drzewa³²; gdy tak wszystko razem dobrze uduszą, powstaje mocny lep. I tą mazią pociągają swoje okręty, i jest to równie dobre jak smoła”³³.

To tylko niektóre z zalet chińskich dżonek, które dowodzą, że Chińczycy bez problemu mogli osiągnąć wybrzeża Ameryki. Od III wieku n.e. znali takielunek pozwalający płynąć ostro do wiatru, przy czym żagle były już usztywnione łąkami żaglowymi. Upływ czasu – potrzebny do obliczania przebytej drogi – mierzono przy pomocy klepsydry wypełnionej piaskiem, którego czas przesypania się wynosił 2,5 godziny, co odpowiadało długości

wachty na chińskim statku. Chińczycy potrafili destylować wodę pitną z wody morskiej, wykorzystując parafinę albo tłuszcz fok jako paliwo w procesie odparowywania soli.

Trzeba zauważyć, że to nie odległości były decydującym czynnikiem w trakcie oceanicznych eksploracji, lecz kierunek wypadkowej prądu oraz wiatru. Europejskie żaglowce od XVI wieku zaczęły odkrywać wyspy pacyficzne, wyruszając z Ameryki Południowej, lecz nie były w stanie powrócić tą samą trasą: właśnie wiatr i prądy znosiły je z powrotem. Dopiero w 1565 roku znaleziono na to receptę. Droga prowadziła wzdłuż wybrzeży Japonii, aby – wykorzystując Prąd Północnopacyficzny oraz zachodnie wiatry – przeciąć ocean między Aleutami a Hawajami. Był to tak zwany szlak karawelowy.

Największe handlowe dżonki morskie (*hung-tu*, *jen-tai*, *szaosi*, dżonki kantońskie) wykorzystywały monsuny, które od grudnia do kwietnia wieją z północnego wschodu, a od czerwca do października z południowego zachodu, to jest w każdym wypadku generalnie wzdłuż wybrzeży Chin. Ich długość równa się mniej więcej odległości Europy od Ameryki Północnej. Stąd żegluga była uzależniona od kierunku wiatru i rejsy odbywały się z reguły z korzystnym monsunem. W takiej sytuacji dżonki zawsze miały tak zwany baksztag lewego halsu, czyli wiatr od tyłu z lewej strony.

Można przypuszczać, że kontakty transpacyficzne nie należały do rzadkości, chociaż nie stały się jakimś znaczącym bodźcem do rozwoju dla społeczności indiańskich. Fakt, że przedmioty gliniane pojawiły się w rejonie Valdivii jakby znikąd, bez wcześniejszych śladów rozwojowych, jasno wskazuje na import kulturowy, który jednak nie rozprzestrzenił się na większym obszarze, mimo że technologicznie dorównał poziomowi wytwarzania pierwotnych twórców. Trąby wykonane z konch, bardzo powszechne w kulturach Indii, Chin oraz Polinezji, spotyka się również wśród ludów indiańskich Meksyku, Kolumbii, Ekwadoru i Peru, ale nie znajduje się ich na północ od Ameryki Środkowej ani na terenie Chile.

Rudowłosi Polinezyjczycy nazywali sami siebie *urukehu* i utrzymywali, że pochodzą w prostej linii od pierwszych wodzów wysp – białych bogów Tangaroa, Kane i Tiki. Wiele legend Oceanii mówiło o białych przodkach, a na niektórych archipelagach jasne włosy, szaroniebieskie oczy lub orle nosy ich mieszkańców wcale nie należały do rzadkości. Pierwotne imię Wirakoczy brzmiało Kon-Tiki lub Illa-Tiki, czyli Słońce-Tiki bądź Ogień-Tiki.

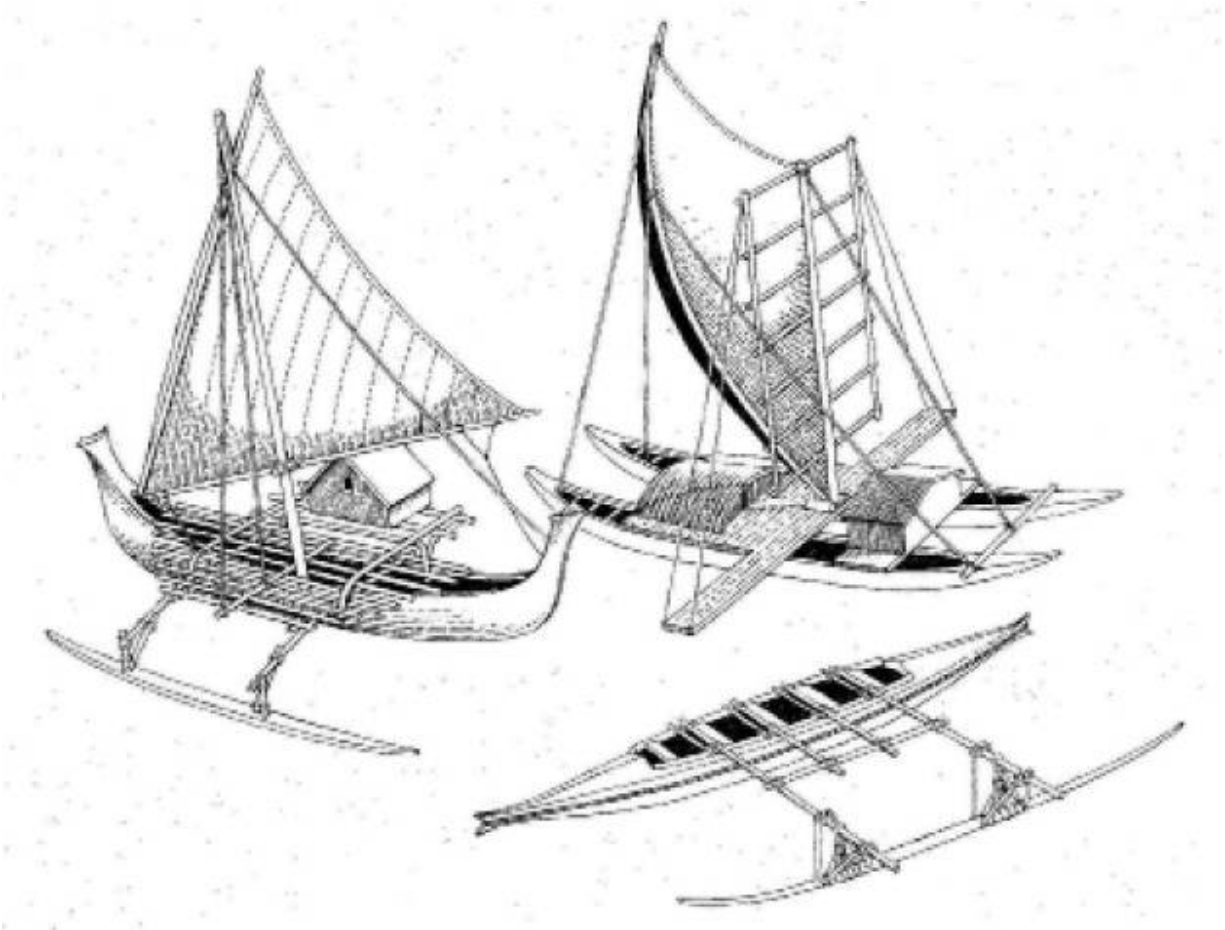
Ów arcykapłan i król w jednej osobie miał zostać napadnięty przez wodza imieniem Cari, który nadciągnął z doliny. Tiki przegrał bitwę, która rozegrała się na jednej z wysp jeziora Titicaca, jednak jemu samemu oraz części jego towarzyszy udało się znaleźć ratunek aż na wybrzeżu Oceanu Spokojnego, skąd oddalili się w kierunku zachodzącego słońca.

Również wśród Polinezyjczyków krążą legendy o wyprawach morskich na wschód. Tradycja istniejąca wśród ludu wyspy Roratonga podaje, że jeden z ich statków dotarł do lądu z potężnymi szczytami górskimi (czyli Andami?). Do tych legend trzeba dołączyć przedmioty kultury materialnej, które zdają się potwierdzać fakt takich wizyt. Należą do nich przede wszystkim toporki i maczugi bojowe pochodzenia polinezyjskiego odnalezione w ruinach osiedli na chilijskim oraz północno-argentyńskim wybrzeżu. Niektóre plemiona indiańskie do dzisiaj używają ich podczas uroczystości religijnych. Na ich wspólny rodowód wskazuje ponadto tak samo brzmiąca nazwa, a mianowicie: *toki*.

Podania polinezyjskie często zawierają wspomnienia o ekspedycjach wyspiarzy poza obręb znanych im archipelagów. Według jednego z przekazów mieszkańców wysp Tokelau o imieniu Uiterangiora miał zapuścić się daleko na południe, gdzie dotarł do nieznanego wybrzeża. Miały się tam wznosić białe skały pozbawione wszelkiej roślinności. Pobliskie wody pokrywała biała piana przypominająca mączkę, pośród której nurkowały wielkie zwierzęta morskie. Wiele zdaje się wskazywać, że dzielny żeglarz dopłynął aż do Antarktydy ³⁴.

O wysokim prawdopodobieństwie pomyślnego odbycia takiego rejsu może świadczyć próba Davida Lewisa, który w 1964 roku wypłynął na katamaranie „Rehu Moana” z Tahiti w kierunku Nowej Zelandii. W czasie tej długiej ryzykownej podróży Lewis nie posługiwał się europejskimi przyrządami, tylko żeglował na sposób staropolinezyjski.

Podał jednak uczciwie do publicznej wiadomości, że nie mając takiej pamięci jak Maorysi do odtwarzania kolejności zmian astronomicznych na niebie w następujących po sobie nocach podróży, wziął mapę gwiazdozbiorów odpowiednio nastawioną na każdy dzień i godzinę oraz tablice astronomiczne do oznaczania pozycji ciał niebieskich. Trzymał więc kurs według wschodów i zachodów słońca oraz gwiazd. Obserwował, jakie gwiazdy przesuwają się przez zenit, a jednocześnie zwracał uwagę na inne oznaki zbliżania się lądu. Pomylił się tylko raz, gdy nie zauważył, w którą stronę lecą ptaki wskazujące na zbliżanie się do lądu ³⁵.



Różne typy łodzi z regionu Oceanii

Thor Heyerdahl usłyszał z kolei podanie mówiące, że żeglarze z Rapa Nui dotarli do akwenu morskiego, którego wody były czerwone. Norweg sugerował, że chodziło o Prąd El Niño niosący w okresie od stycznia do marca masy ciepłej wody z wielką ilością drobnych żyjątek. W chwili zetknięcia się z wodami zimnego prądu plankton umierał, zabarwiając powierzchnię oceanu właśnie na czerwono.

Według podania z Markiz, w odległych czasach plemię Naiki z wyspy Viva Oa zbudowało wielką dwukadłubową łódź, której nadano nazwę „Kahua”. Statek był tak duży, że ludzie wylewający wodę z dna nie byli w stanie sięgnąć do krawędzi burt. Na tej łodzi odwiedzili najpierw sąsiadów z wyspy Nuku Hiva, po czym uzupełniwszy załogę o tamtejszych mieszkańców, wyprawili się w kierunku wschodnim. Ponoć dotarli do lądu,

który nazwali Te Fiti. Jednak nie zdecydowali się tam pozostać na stałe, oprócz niewielkiej grupki śmiałków ³⁶.

To niejedyny przypadek zachowania w pamięci zbiorowej Polinezyjczyków wspomnień o dalekiej podróży na wschód. Tradycja pochodząca z jednej z Wysp Cooka, Rarotonga, wymienia bohatera o imieniu Maui Marumamao oraz jego syna Kiu, którzy mieli wyruszyć z wyspy Raiatea, należącej do Wysp Towarzystwa. Podczas rejsu mieli przepłynąć obok Wyspy Wielkanocnej, by osiągnąć w końcu wybrzeże, na którym wznosił się wysoki łańcuch skalistych gór. Do ojczyzny wrócił z tej wyprawy tylko Kiu na czele pozostałych uczestników ekspedycji. Szczątki jego ojca pozostały na obcym lądzie.

Inna wersja tego mitu podaje, że Maui Marumamao rozpoczął żeglugę z wysp Manua, a towarzyszący mu syn nosił imię Hotu. Według tego podania mieli ominąć wyspy Tutuila, Rurutu, Towarzystwa oraz Tuamotu i dotrzeć do pustynnego wybrzeża, gdzie na horyzoncie wznosił się niezbyt odległy masyw górski. Właśnie tam mieli poznać słodkie ziemniaki i sposób ich uprawy – tę umiejętność (razem z sadzonkami roślin) przywieźli na ojczyste wyspy.

Czy w podobny sposób na długo przed oficjalnym odkryciem Ameryki przez Krzysztofa Kolumba ludy Starego Świata poznały amerykańskie gatunki roślin, jak kukurydza lub ananas?

1. A. Wieczorkiewicz, Muzeum ludzkich ciał. Anatomia spojrzenia, Gdańsk 2000, s. 330–333. [\[wróć\]](#)
2. H. Pringle, The Mummy Congress. Science, Obsession, and The Everlasting Dead, New York 2001, s. 89. [\[wróć\]](#)
3. J. Thorwald, Dawna medycyna, jej tajemnice i potęga. Egipt, Babilonia, Indie, Chiny, Meksyk, Peru, przeł. A. Bandurski i J. Szczaniecka, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk–Łódź 1990, s. 35. [\[wróć\]](#)
4. R. Rudgley, Alchemia kultury. Od opium do kawy, przeł. E. Klekot, Warszawa 2002, s. 166. [\[wróć\]](#)
5. S. Osorio-Mrozek, Meksyk od kuchni. Książka niekucharska, przeł. M. Raczkiewicz, Kraków 1999, s. 100–102. [\[wróć\]](#)
6. Liquidambar – napój wyrabiany z żywicy drzewa Liquidambar styraciflus. [\[wróć\]](#)
7. B. Diaz del Castillo, Pamiętnik żołnierza Korteza, czyli prawdziwa historia podboju Nowej Hiszpanii, przeł. A.L. Czerny, Łódź 1986, s. 148. [\[wróć\]](#)
8. S. Osorio-Mrozek, op. cit., s. 102. [\[wróć\]](#)
9. H. Pringle, op. cit., s. 102. [\[wróć\]](#)
10. W.G. Mortimer, History of Coca: „The Divine Plant” of the Incas, Honolulu 2000, s. 163. [\[wróć\]](#)
11. Ibidem. [\[wróć\]](#)
12. G. de la Vega Inka, op. cit., s. 522. [\[wróć\]](#)
13. Ibidem, s. 523. [\[wróć\]](#)
14. Z.J. Ryn, Medycyna indiańska, Kraków 2007, s. 245. [\[wróć\]](#)
15. Cyt. za: R. Rudgley, op. cit., s. 9. [\[wróć\]](#)
16. Morze..., s. 37. [\[wróć\]](#)
17. T. Heyerdahl, Z kontynentu..., s. 22–23. [\[wróć\]](#)
18. Idem, Ekspedycja Ra, przeł. Z. Łanowski, Warszawa 1974, s. 319. [\[wróć\]](#)
19. P. Montet, Życie codzienne w Egipcie w epoce Ramessydów XIII–XII w. p.n.e., przeł. E. Bąkowska, Warszawa 1964, s. 154. [\[wróć\]](#)
20. K. Ślaski, Poprzednicy Kolumba, Gdańsk 1969, s. 27. [\[wróć\]](#)
21. L. Deuel, op. cit., s. 169–170. [\[wróć\]](#)
22. G. Menzies, 1421: rok, w którym Chińczycy odkryli Amerykę i opłynęli świat, przeł. R. Januszewski, Warszawa 2002, s. 195. [\[wróć\]](#)
23. M. Polo, Opisanie świata, przeł. A.L. Czerny. Warszawa 1975, s. 277 i 281. [\[wróć\]](#)
24. A. Lommel, Twórczość Indian południowoamerykańskich, w: F.J. Dock-stader, Sztuka Ameryki III, przeł. E. Kuryluk, Warszawa 1977, s. 6. [\[wróć\]](#)
25. E.S. Urbański, Od wikingów do Indian, Ostrów Wielkopolski 1994, s. 178–181. [\[wróć\]](#)
26. G. Menzies, op. cit., s. 189–191. [\[wróć\]](#)
27. K. Ślaski, Poprzednicy..., s. 21–22. [\[wróć\]](#)
28. J. Thorwald, Dawna medycyna, jej tajemnice i potęga. Egipt, Babilonia, Indie, Chiny, Meksyk, Peru, przeł. A. Bandurski i J. Szczaniecka, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk–Łódź 1990, s. 283. [\[wróć\]](#)
29. G. Menzies, op. cit., s. 189–191. [\[wróć\]](#)

30. Anglicy przetłumaczyli dżonkę na junk (czyt. džank), co znaczy właśnie „wrak”.
[\[wróć\]](#)
31. M. Mickiewicz, op. cit., s. 34–37. [\[wróć\]](#)
32. Do budowy statków chińskich wykorzystywano między innymi drzewo *Pinus sinensis*, natomiast olej wytwarzano z orzeszków drzewa *Elaeococca vernicosa*.
[\[wróć\]](#)
33. M. Polo, op. cit., s. 275–276. [\[wróć\]](#)
34. K. Ślaski, Dawni..., s. 141. [\[wróć\]](#)
35. A.L. Godlewski, Na morzach południowych, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk 1976, s. 17–18. [\[wróć\]](#)
36. K. Ślaski, Dawni..., s. 142. [\[wróć\]](#)

Ananas – przysmak Cezara?

Jedną z konsekwencji odkrycia Ameryki – oprócz napływu ogromnych ilości srebra i złota – było pojawienie się w Starym Świecie nieznanymi wcześniej owoców i warzyw, które w rewolucyjny sposób zmieniły naszą kuchnię. Ale czy rzeczywiście poznano je dopiero po wyczynie Kolumba? Istnieją dowody, że tytoń, kukurydza i ananas były znane w Starym Świecie wieki wcześniej.

Fala podróżników i poszukiwaczy przygód przywiozła z Nowego Świata ilustracje i relacje, które do tego stopnia rozbudziły nomen omen apetyty Europejczyków, że niezadowoleni z oglądania nieciekawych ilustracji, zdecydowali o sprowadzeniu i uprawie ananasa w swoich krajach. Ale wiele wskazuje, że była to ponowna próba aklimatyzacji tego owocu, ponieważ jego wyobrażenie można ujrzeć w sali amarneńskiej w Muzeum Kairskim, gdzie pojawia się wśród przedmiotów wotywnych pochodzących prawdopodobnie z okresu panowania faraona Achenatona, czyli z lat 1351–1334 p.n.e.

Ba, to nie koniec intrygujących zagadek, gdyż wizerunek tego owocu znajduje się również w Pompejach. Zagadką nie do rozwiązania wydaje się być ponadto ananas na mozaice datowanej na przełom er. Artefakt liczący około dwóch tysięcy lat można podziwiać w Museo Nazionale Romana mieszczącym się w rzymskim Palazzo Massimo alle Terme. Nikt chyba nie może mieć wątpliwości, że owoc leżący na tacy w prawym górnym rogu to ananas.

„Nie znali ananasa starożytni autorzy – twierdzi jednak Edward Hyams w monografii *Rośliny w służbie człowieka – od Chin na Wschodzie aż po Grecję na Zachodzie*. Nie ma on azjatyckiej nazwy w żadnym z języków euroazjatyckich”¹. Kolumb, lądując na jednej z karaibskich wysp w 1493

roku, jako pierwszy Europejczyk spotkał się tam z uprawnymi ananasami, co odnotował jego syn Ferdynand Kolumb:

„Podobnie znaleźli dynie i jakoweś owoce, wyglądające jak nieźrzałe szyszki sosnowe, lubo były większe od szyszek, nadto cały ich środek wypełniał ścisły, jak u melonu, lecz o smaku i zapachu o wiele bardziej przyjemnym niż u melonu, miąższ. Owoce te rodzą się w polu na krzakach przypominających krzak lilii czy aloesu; co prawda później przekonali się, iż hodowane ludzką ręką są lepsze od rosnących dziko” ².

W tamtych czasach nikt zatem nie wątpił, że ananas jest pochodzenia amerykańskiego i został przeniesiony do Starego Świata po 1500 roku. Z powodu ogromnego błędu w krajach strefy hiszpańskojęzycznej nazywany jest *la piña*, czyli szyszka, a w krajach anglosaskich *pineapple* – jabłko sosnowe. Notabene nazwa ta zawiera ukryty paradoks, bo ani sosna, ani żadna inna roślina szpilkowa w ogóle nie wydaje owoców, ponieważ zaliczane są do roślin niższych (nagolalążkowych), którym nie udało się rozwinąć ewolucyjnych zdolności wytwarzania owoców.

O prawdziwej nazwie zapomniano ponad pięć wieków temu, gdy Europę ogarnęło szaleństwo zdobywania Ameryki. Wtedy owoc ten nosił miano *ananás*, co w narzeczu guaraní i w jego miejscu występowania oznaczało „bardzo smaczny owoc”. Dla ludów prekolumbijskich ten pachnący owoc był częścią codziennego życia i krajobrazu: uprawiano go na grządkach w ogrodach i na polach, znano jego właściwości medyczne, wytwarzano z niego alkohol, a nawet towarzyszył zmarłym w ich ostatniej podróży do wieczności.

Głównym ośrodkiem uprawy ananasa w czasach odkrycia Ameryki był Meksyk, ale wydaje się, że jednak to nie Aztekom ani nawet ich poprzednikom zawdzięczamy ten wspaniały owoc. Wiele nazw meksykańskich, na przykład pomidor (*tomato*) i czekolada, przeniknęło do wielu języków, natomiast nikt nie używa azteckiej nazwy dla ananasa, która brzmi *matzatl*. Łacińska nazwa ananas pochodzi od portugalskiego przekręcenia nazwy nadanej tej roślinie przez Indian brazylijskich – *nana*, które oznaczało aromat.

„Ananas jest najpiękniejszym owocem, jaki widziałem, podróżując po całym świecie – zachwycał się XVI-wieczny kronikarz Gonzalo Fernández de Oviedo. – Daje jasność widzenia, delikatność zapachu, wspaniały smak, pachnie najpiękniej ze wszystkich owoców i smakuje najlepiej. Ovoc ten

pobudza apetyt, ale ma jedną wadę, jeśli spożywa się wino po ananasie, wcale ono nie smakuje”³.

Ananasy uprawiane w doniczkach zaczęły być dekoracjami na bankietach XVIII-wiecznej arystokracji. W ten sposób owoc ten w oczach Europejczyków stał się kwintesencją finezji, perfekcji i wytworności. Początkowo mogli się nim rozkoszować tylko władcy i książęta. Od tego zapewne wywodzi się jego pospolita niegdyś nazwa – owoc królewski. Ponieważ transport w dawnych czasach trwał bardzo długo, w krajach europejskich – zwłaszcza zaś w Anglii – już na początku XVIII wieku rozwinęła się na skalę handlową szklarniowa uprawa ananasów.

W Polsce taką hodowlę zapoczątkował w XVIII wieku Kazimierz Poniatowski, brat króla Stanisława Augusta. Założył on w Warszawie słynne ogrody Frascati, skąd na jego stół trafiało kilka tysięcy dojrzałych owoców. Taki stan rzeczy utrzymywał się aż do początku XIX wieku, kiedy to zaczęto sprowadzać ananasy z krajów, gdzie rosną pod gołym niebem i palącym słońcem. Ale w jaki sposób ananasy znalazły się w krajach basenu Morza Śródziemnego kilka tysięcy lat wcześniej?

Zupełnie dojrzały owoc ananasa jest nietrwały i nie może być długo przechowywany. Owoce eksportowane, które muszą znieść długi transport, zrywane są na 2–3 tygodnie przed osiągnięciem pełnej dojrzałości. Jak tysiące lat temu poradzono sobie z tym problemem? Przetransportowanie roślin jest znacznie trudniejsze niż migracja samych ludzi. Rośliny – w przeciwieństwie do *homo sapiens* – należą do kategorii bezradnych pasażerów o różnej odporności na słońce, wiatry i słoną wodę.

My mamy zdecydowanie większą szansę przystosować się do warunków środowiska naturalnego niż rośliny, które nawet w przypadku przetrwania trudów podróży mogły wyrosnąć jedynie wtedy, gdy gleba i klimat spełniały ich określone wymagania. Udało się to dopiero dwa wieki po podróży Kolumba. Ale czy na pewno? Rzymianie słynęli z zamiłowania do wystawnych uczt, podczas których serwowano najwykwintniejsze dania sporządzone ze składników sprowadzanych z całego znanego im świata.

Do legendy przeszedł zwłaszcza – określany niekiedy mianem największego łakomczucha starożytności – Lukullus, który swoimi ucztami z najdroższymi i najbardziej wyszukаныmi daniami wprawiał w osłupienie ówczesny Rzym. Podobno jego zasługą było sprowadzenie do Europy czereśni. Czy ananas na rzymskich stołach to także jego sprawka? Rzymianie przypominali Egipcjan, gdyż ich uwaga była skierowana do

wewnątrz, każda podbita prowincja zwracała się ku stolicy. Rzymianie byli mniej przedsiębiorczy i jeszcze mniej skłonni do handlu niż Grecy.

Była to nacja pogromców innych narodów, ale szybkość przemieszczania się zdobywców terytorialnych jest bez porównania mniejsza od swobodnego ruchu podróżnika. Mimo że Rzymianie nie przejawiali specjalnych skłonności do dalekich wypraw, nie oznacza, że wcale ich nie podejmowali. Wiadomo, że już następnego roku po ostatecznym pokonaniu Kartaginy szlakiem Hannona wyruszyła ekspedycja pod dowództwem Scypiona Aemilianusa, która miała dotrzeć do dzisiejszego Senegalu i Przylądka Zielonego.

Flota rzymska była nie tylko bardzo liczna, lecz także różnorodna. Przeciętny statek transportowy był w stanie pomieścić ponad 300 ton ładunku, ale te długie na 60 metrów *frumentarie*, przeznaczone do przewozu zboża, potrafiły zabrać nawet 1200 ton, czyli około dziesięć razy więcej niż wynosiła pojemność flagowego statku Kolumba – „Santa Marii”.

Pewnego razu sztorm zagnał do Pireusu jeden z takich starożytnych masowców. Całe miasto, nie wyłączając Lukiana, jednego z najślawniejszych i najpłodniejszych pisarzy II wieku, wyległo, aby go zobaczyć. Lukian z grupą przyjaciół przeszedł 9 km dzielących Ateny od Pireusu, chcąc ujrzeć przyczynę tak wielkiego podniecenia. Był zdumiony do tego stopnia, że napisał:

„Cóż za ogromny statek! Cieśla okrętowy powiedział mi, że ma 55 metrów długości, a szerokość większą niż jedna czwarta tego, oraz 13,5 metra od pokładu do najniższego miejsca w ładowni [...]. Załoga jak armia. Jej członkowie powiedzieli mi, iż statek może przewieźć tyle zboża, że starczy na wyżywienie każdej gęby w Atenach przez cały rok” ⁴.

Żydowski historyk Józef Flawiusz podawał, że uczestniczył razem z 600 pasażerami w rejsie z Aleksandrii do Rzymu, a święty Paweł był – podczas niefortunnie zakończonego rejsu na tej samej trasie – na pokładzie statku, który wiozł 276 podróżnych. Około 40 roku n.e. Kaligula sprowadził z Egiptu obelisk, stojący obecnie przed katedrą św. Piotra, który mierzy około 40 m wysokości i waży wraz z podstawą prawie 500 ton. Statek, specjalnie w tym celu zbudowany, otrzymał balast w postaci 800 ton soczewicy, co daje razem 1300 ton.

Gdy Domenico Fontana, architekt papieża Sykstusa V, przeniósł w 1585 roku ten obelisk z jego pierwotnego miejsca w cyrku Nerona na obecne, potrzebował 800 ludzi, 140 koni, 40 okrągłych kłoców, a cały współczesny

mu świat zachwycał się tym wyczynem. Marynarze i inżynierowie Kaliguli przewozili ten monument na barkach z Heliopolis koło Kairu do ujścia Nilu, gdzie załadowali go na statek i szczęśliwie przepłynęli przez Morze Śródziemne ⁵.

To jednak mikrusy w porównaniu ze statkiem „Syrakuzanka”. Jeżeli mamy wierzyć Plutarchowi, to w 260 roku p.n.e. niejaki Archiasz z Koryntu zbudował w Syrakuzach na Sycylii według planów Archimedesza istnego olbrzyma. Statek noszący wspomniane wyżej miano miał 150 metrów długości i 20 rzędów wiosła! Tyran Syrakuz, Hieron II, któremu zbudowano to cacko, czym prędzej ofiarował je władcy Egiptu Ptolemeuszowi Filadelfosowi. „Syrakuzanka”, o dziwo, podobno dopłynęła cała do Aleksandrii, jedyne go ponoć portu, gdzie można było ją zacumować.

Natomiast na cześć Aleksandra Wielkiego z polecenia Ptolemeusza IV Filopatora, panującego w Egipcie w latach 222–205 p.n.e., zbudowano giganta „Aleksandris”. Jednostka liczyła 135 metrów długości przy maszcie o wysokości 18 metrów i zanurzeniu bez ładunku 1,8 metra. Część nadwodna wystawała ponad powierzchnię na wysokość niemal 24 metrów (łącznie z masztem). Nic dziwnego, że do kierowania takim gigantem potrzeba było nie dwóch, lecz aż czterech wiosła sterowych.

Najdłuższe, w środkowej części okrętu – każde obsługiwane przez sześciu wiosłarzy – miały długość ponad 17 metrów. Na załogę składało się 400 oficerów, marynarzy i majtków oraz 4000 (sic!) wiosłarzy, a sam statek mógł jeszcze pomieścić 2850 żołnierzy ⁶. „Thalamagos” z kolei był wielkim pływającym po Nilu pałacem długości około 100 metrów, szerokości 15 metrów i również zanurzeniu niespełna 1,8 metra. Odznaczał się wysokimi nadbudówkami, co zaś najciekawsze, miał dwa sprzężone ze sobą kadłuby, a więc dwa dzioby i dwie rufy ⁷.

Już od co najmniej roku 400 p.n.e. po morzach pływały greckie katamarany. Ich główną zaletą była możliwość żeglowania po wysokich falach – a zatem nie na wzburzonym Morzu Śródziemnym, a raczej na Atlantyku. Wśród takich jednostek wymienia się okręt „Leontophoros” zbudowany przez sławnego wynalazcę Demetriososa. Ten gigant był w stanie zabrać na pokład 1200 żołnierzy, a do wiosła potrzebnych było 1600 ludzi. Historycy odnotowali, że syn Demetriososa, Gonatas, skonstruował jeszcze większy okręt – *triarmenos*, czyli trójmasztowiec, który brał udział w wielu

bitwach i przyczynił się między innymi do zakończenia panowania Ptolemeusza II Filadelfosa w 246 roku p.n.e. ⁸.

Ktoś się zdziwi i zapyta, dlaczego mowa o greckich statkach, skoro mówimy o zasięgu kontaktów handlowych Rzymian. Otóż to marynarze greckiego pochodzenia w pewnym momencie zaczęli stanowić trzon załóg floty handlowej ⁹. Grecy byli narodem marynarzy, który nie tylko stworzył geometrię i trygonometrię sferyczną, astronomię i geografię matematyczną, kartografię i płaskie astrolabium, lecz także umiał je stosować do żeglugi. Dlatego związek greckiej astronomii z technikami żeglugi jest niezaprzeczalny.

Ba, Strabon, tkwiący korzeniami w schyłku Republiki Rzymskiej, podkreślał ponadto niezbędność znajomości gwiazd, przynajmniej w podstawowym zakresie nie tylko wśród żeglarzy. Stwierdzał wręcz: „Bo nie może on, polityk albo wódz, być nieobeznany ze sprawami nieba i położeniami Ziemi”. Co więcej, stawia na równi nieznamość elementarnych zasad geometrii, tego, czym jest linia prosta, z brakiem umiejętności wskazania na niebie siedmiu gwiazd Wielkiej Niedźwiedzicy: „Kto jednak nie wie, co to jest linia prosta, [...], kto nie zna na niebie ani siedmiu gwiazd Wielkiej Niedźwiedzicy, ani innej tego rodzaju” ¹⁰.

Pokutującą od dawna bzdurą jest, że antyczni żeglarze pływali tylko w dzień i wyłącznie blisko linii brzegowej. Ich umiejętności były równie duże jak Polinezyjczyków, nad których sztuką żeglarską większość rozplywa się w zachwytach. Świadectwa śmiałych wyczynów morskich spotykamy u Homera, Herodota, Wergiliusza, Plutarcha czy Pliniusza Starszego. W *Odysei* czytamy bez żadnych wątpliwości:

„Dziewięć dni, dziewięć nocy gdy tak fale prujem,
W dziesiątym już i ziemię ojców odgaduję.
Już i ogień strażniczy widać, miga w dali...
Gdy wtem mnie znużonego mocny sen powali,
Sam bowiem ster trzymałem, niedając nikomu
Wyřęczyć się, by pewniej zapłynąć do domu” ¹¹.

Starożytni, bacznie obserwując otaczającą ich przyrodę, potrafili niemal bezbłędnie określić przemiany, jakie w aurze mogą nastąpić w ciągu najbliższego czasu. Czynili to w różny sposób: poprzez obserwację zachmurzenia nieba, położenia ciał niebieskich i ich wyglądu, śledzenie

zachowania się zwierząt czy znajomość wiatrów. Już w III wieku p.n.e. Rzymianie, wypływając na szerokie wody, musieli posługiwać się systemem dwunastokierunkowej róży wiatrów.

Na korzyść Rzymian zaliczyć można fakt, że nie wprowadzili szczególnie drastycznych zakazów kulturowych przy podejmowaniu wypraw poza znane terytoria. Wielu – podobnie jak Seneka – uważało nawet, że: „Bóg stworzył wiatry i po to, abyśmy mogli poznać zamorskie kraje. Człowiek byłby tępym bydłem, z ciasnym i ograniczonym polem widzenia świata, gdyby wciąż pozostawał zamknięty w tych samych granicach rodzinnej ziemi” [12](#). Co więcej, toposem literackim stało się wychwalanie danych odkrywców i żeglarzy, którzy jako pierwsi, nie znając warunków żeglugi na niedoskonałych statkach, wypuszczali się na morze.

Pliniusz Starszy z pewną emfazą wskazywał, że dzięki pokojowi w czasach Cesarstwa morza były bezpieczne i można je było lepiej poznawać. Wielu żeglujących prowadziło według niego obserwacje, a wiedza ta dała realne zyski. Odosobniona była postawa, jaką reprezentował Ambroży w *Hexaemeronie*: „Któż w końcu wie, jak daleko rozciąga się owo wielkie morze, na które nie odważają się wypływać żeglarze, i dotąd tego jeszcze nie uczynili, a które otacza Brytanię burzliwymi falami i rozciąga się w jeszcze dalsze nawet dla baśni niedostępne miejsca” [13](#).

Gdy studiujemy źródła rzymskie, wyraźnie widać, że to brak motywacji do prowadzenia większych wypraw odkrywczych, a nie możliwości ich dokonywania lub strach przed żeglugą w nieznaną, decydował o podróżach Rzymian po Atlantyku. Starożytna żegluga miała charakter przeważnie kupiecki lub była dziełem przypadku. Wiadomo o niej niewiele, lecz każde nowe odkrycie – czy będą nim odkopane ruiny nadmorskiego miasta, czy resztki okrętu z jego ładunkiem – zawsze przynosi coś na poparcie tezy, że handel morski był w tym czasie gałęzią gospodarki rozwiniętą na dużą skalę.

Rzemiosło to było zorganizowane, a jednostki kursowały regularnie i często na szlakach bardzo odległych, a faktami tymi z reguły są zaskoczeni jedynie przedstawiciele oficjalnej nauki. W owych czasach na handlu morskim można było zbić fortunę, ale też ją... stracić. Marcus Porcius, bogaty handlarz winem pochodzący z Pompei, dorobił się tak bardzo, że mógł ponieść połowę kosztów budowy publicznego teatru na półtora tysiąca widzów. Sykstus Fadius Musa, eksportujący z dzisiejszej

Burgundii, założył bogaty fundusz, przeznaczając roczny dochód na urządzenie po wsze czasy wielkich uroczystości w dniu jego urodzin.

Tysiące takich ludzi biznesu można było spotkać od Hiszpanii aż po Syrię. Potwierdza to piszący w I wieku n.e. Petroniusz w nieco przesadzonych (ale tylko nieznacznie) dla osiągnięcia literackiego efektu wyznaniach Trymalchiona – swego słynnego bohatera uczt i byłego niewolnika, który został multimilionerem:

„[...] zbudowałem 5 statków, załadowałem wino – a wtedy warte było złota – i posłałem do Rzymu [...]. wszystkie okręty rozbiły się. Fakt, a nie bajka. Jednego dnia Neptun połknął trzydzieści milionów. Myślicie, zem upadł na duchu? Nie, jak tu stoję, nie zauważyłem nawet ubytku. Jakby nigdy nic, zbudowałem inne, większe, lepsze i szczęśliwsze, tak że każdy nazywał mnie tęgim człowiekiem. [...] Załadowałem znów wino, słońinę, fasolę, pachnidła, niewolników [...]. Jedną jazdą zbiłem do kupy dziesięć milionów” [14](#).

Czy to jeden z takich kupców sprawił, że ananas zawitał nad Morze Śródziemne? Może kiedyś zagadka wizerunków ananasa pochodzących z okresu na długo przed odkryciem Ameryki zostanie rozwiązana. Równie niewytłumaczalna jest obecność wyrzeźbionych w kamieniu kolb kukurydzy zdobiących obramowanie jednego z witraży w kaplicy Rosslyn w Midlothian, na południe od Firth of Forth w Szkocji.

Szkopuł bowiem w tym, że kaplicę ukończono w latach 1446–1484! Według legendy to Henryk, pierwszy książę Orkadów, pod koniec XIV wieku dotarł do Nowej Fundlandii, a jego droga powrotna wiodła przez Massachusetts, gdzie został zaopatrzony w kukurydzę przez tamtejszych Indian ze szczepu Micmac.

Niestety klimat Szkocji nie sprzyjał uprawie kukurydzy i dowód na kontakty transatlantyckie przed wyprawą Kolumba zachował się jedynie w postaci kamiennego artefaktu. To nie koniec sensacji, ponieważ znajomość tej rośliny w Europie datuje się co najmniej na czasy starożytnego Rzymu. W I wieku po Chrystusie Pliniusz Starszy opisał kilka roślin, wśród nich także kukurydzę, którą nazywał „indyjskim prosem” [15](#).

Już w XVI wieku hiszpański historyk José de Acosta wiedział, że podobna do kukurydzy roślina była znana starożytnym: „Proso, które trafiło z Indii do Włoch 10 lat przedtem, nim opisał je Pliniusz, wykazywało podobieństwo do kukurydzy, jako że jest to, jak on podaje, zboże, które

wyrasta niczym trzcina i okrywa się liściem, a na szczycie ma włoski i jest niezwykle płodne; wszystko to zaś nie pasuje do prosa” ¹⁶.

Hiszpańscy archeolodzy potwierdzili, że kukurydza występowała w Europie w czasach Cesarstwa Rzymskiego. Miguel Oliva znalazł pozostałości tego zboża wewnątrz silosów z III wieku w Ullastret na wybrzeżu Morza Śródziemnego. Ową „indyjską kukurydżę” uprawiano sporadycznie w Hiszpanii i Włoszech aż do czasów Kolumba. Hiszpanie nazywali ją *panizo* (proso).

Kolejnym potwierdzeniem wydaje się dokument krzyżowców z 1257 roku, dotyczący produkcji rolnej kalabryjskiej diecezji w Acri we Włoszech, gdzie wymieniona jest „kukurydza” ¹⁷. Wzmiankowany już Piotr Martyr Anglerius porównywał proso (*Panicum*) rosnące pod Mediolanem i Granadą z pochodzącą z Nowego Świata rośliną *mahiz*, którą Kolumb przywiózł ze sobą z Hispanioli w 1493 roku ¹⁸.

Tenże florentczyk na dworze królów katolickich odnotował, że ten sam rodzaj ziaren rozmiarów grochu mieli w obfitości *Insubres* (mieszkańcy regionu dziś zwanego Lombardią, założyciele Mediolanu) oraz mieszkańcy Granady (w Hiszpanii). Jego relacja znalazła się w liście napisanym do kardynała Sforzy, później zamieszczonym w jego słynnych *Dekadach*. W czasie swej trzeciej wyprawy w 1498 roku Kolumb napisał, że „już teraz sporo kukurydzy rośnie w Kastylji”. Zdaje się, że to zbyt mało czasu, by obca roślina zastąpiła tradycyjne gatunki uprawne.

Ojczyzną kukurydzy bez wątplenia jest Ameryka, ale który jej region – tego wciąż nie wiemy. Większość botaników za jej przodka uważa dziką trawę rosnącą jedynie w dolinie rzeki Balsas, która płynie przez góry zachodniego i środkowego Meksyku. Początki prób stworzenia hodowlanej odmiany sięgają około VI–VII tysiąclecia p.n.e., kiedy to prehistoryczni hodowcy, aby uzyskać dobre ziarno i zwiększyć plony, stopniowo i konsekwentnie przeprowadzali sztuczną selekcję. W końcu osiągnęli efekt niewiele różniący się od dzisiejszej odmiany.

Mogło do tego dojść około roku 2500 p.n.e., gdyż z tego okresu pochodzą kolby kukurydzy odnalezione w meksykańskiej jaskini Ocampo. Badania wykazały, że ich DNA niemal się nie różni. Rozpowszechnienie tej ulepszonej odmiany przyczyniło się w znacznym stopniu do błyskawicznego rozwoju tego regionu świata. Ważniejsze, że istnieją – jeśli nie dowody – to bardzo zastanawiające świadectwa i poszlaki, że

kukurydza została sprowadzona do Azji, zanim Kolumb osiągnął brzegi Ameryki.

W hinduskich świątyniach w Halebid, Mysore, Khadžuraho czy Somanthpur można się natknąć na rzeźby roślinne przedstawiające odmiany kukurydzy. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że wyobrażenia powstały, zanim Hiszpanie sprowadzili tę roślinę z Ameryki, jak w przypadku posągu bogini ze świątyni dynastii Hoysala z XII lub XIII wieku. Według hinduskiego naukowca Jaweeda Ashrafa najstarsze rzeźby kukurydzy, które znaleziono w świątyni w Sanchi, pochodzą z II wieku p.n.e. [19](#).

Antonio Pigafetta, odnotowując w swojej *Relacji z wyprawy Magellana dokoła świata* dotarcie w 1520 roku ekspedycji do Limasawy [20](#) na Filipinach, napisał, że: „Na owej wyspie znajduje się wielka ilość psów, kotów, świń, kur, kóz, ryżu, imbiru, kokosów, fig, pomarańczy, cytryn, prosa, wosku oraz kopalnie złota” [21](#). Trudno uwierzyć, że kronikarz Magellana mógł pomylić kukurydżę z inną rośliną. Dlaczego?

Po pierwsze Włoch razem ze swoim dowódcą spędził kilka miesięcy w Ameryce Południowej, a na okręcie Magellana służyło kilku byłych marynarzy Kolumba. Poza tym w notatkach spisanych po włosku kukurydza określana jest jako *miglio*, a Pigafetta dopisał obok karaibskie słowo *maiz*. Potwierdzeniem powyższego są znaleziska *metates* – narzędzi do mielenia ziaren kukurydzy, które były używane wyłącznie w Ameryce Południowej. Odkryto je w ładowni wraku dżonki, która zatонуła przypuszczalnie w 1423 roku w rejonie południowo-zachodnich Filipin [22](#).

Najbardziej prawdopodobny przodek odmian bananów, które jemy dzisiaj, rośnie dziko w południowo-wschodniej Azji. Chociaż znane Europejczykom w starożytności, były to owoce o silnych egzotycznych konotacjach: botanika grecka i rzymska wysłedziła ich trop aż do Indii. Teofrast uważał, że w cieniu bananowych drzew gromadzili się mędrzy, żeby spożywać ich owoce. Odmiany zdolne do przystosowania się prawie do każdego klimatu strefy tropikalnej i podzwrotnikowej były uprawiane w okresie, który uważamy za rozkwit średniowiecza; rosły w południowych Chinach i w wielu regionach Afryki, od jednego do drugiego wybrzeża. Były nawet ogrodowymi roślinami w muzułmańskiej Hiszpanii, choć chrześcijańscy zdobywcy nie podjęli ich uprawy [23](#).

Co do tego, że banan rósł w Azji od czasów starożytnych, nigdy nie było wątpliwości. Wiemy o tym nie tylko od dawnych pisarzy greckich i rzymskich, lecz także arabskich, którzy wymieniają bananowca jako nadzwyczajne drzewo owocowe rosnące w Indiach. Pliniusz podaje nawet, kiedy Grecy po raz pierwszy zetknęli się z bananami; było to w czasie wyprawy Aleksandra Wielkiego za Pendżab. Dziwne wydaje się, że nie znano ich w Syrii i Egipcie, skoro od tak dawna były uprawiane w Indiach ²⁴.

Według najstarszych tradycji banan w południowo-wschodniej Azji uważany jest za rodzaj owocu pierwotnego, dar bogów. Dlatego też botanicy renesansu, naśladowując Arabów, nadali mu nazwę *Musa paradisiaca*. U zarania dziejów roślina ta nie wytwarzała ani kwiatostanu, ani bananów! Tak też najczęściej kończą się próby aklimatyzowania banana w Europie, choć są wyjątki, na przykład okolice Hersonissos na Krecie.

Tajemnica banana staje się jeszcze trudniejsza do rozwikłania, gdy zdamy sobie sprawę, że z drugiej strony globu, w Ameryce Środkowej i na Karaibach, nie rośnie on dziko, w postaci *Musa acununiata*, lecz wyłącznie jako roślina uprawna, dająca banany. W dodatku od tak dawna, że w każdym narzeczu nosi inną nazwę. Zanim jeszcze José de Acosta opisał ją na swój sposób, wspomina o niej jako o drzewie miejscowym, jednakże nie z Peru, lecz z wybrzeży Atlantyku ²⁵.

Znany historyk zajmujący się badaniem cywilizacji amerykańskich, William Prescott, twierdził, że banany były podstawowym pożywieniem Indian w cieplej i umiarkowanej strefie imperium Inków jeszcze przed przybyciem Hiszpanów. Podobno opierał się na skądinąd godnych zaufania danych kronikarza hiszpańskiego o inkaskich korzeniach Garcilaso de la Vega, który pisał ponadto:

„Są inne banany, mniejsze, aby je odróżnić od większych, nazywane są dominikanami, bo ich łupina, gdy się grono rodzi, jest biała, a gdy owoc jest dojrzały, ma w sobie w łatki części białe i czarne. Są o połowę mniejsze od poprzednich, ale we wszystkim je przewyższają, jednakże nie ma ich w takiej ilości jak tamtych” ²⁶.

Rozprzestrzenianie się pewnych roślin musiało dokonać się przy świadomym udziale człowieka. Nie może być mowy o przypadkowych dryfach, ich przeniesienie odbyło się w wyniku zamierzonych wypraw kolonizacyjnych. Drzewo chlebowe lub bananowe rozmnaża się wyłącznie

z młodych pędów, które puszczaają korzenie tej rośliny. W takiej postaci nie stanowiły zapasów żywnościowych w trakcie długich wypraw morskich.

Z powodu długiego transportu jeszcze w latach 20. zeszłego stulecia eksport bananów był prawie niemożliwy, gdyż powyżej 12°C dojrzewają one bardzo szybko, a poniżej marzną. Dopiero po I wojnie światowej przewidziano specjalne ładownie na statkach pozwalające wyeliminować ten problem. Wcale w nie tak zamierzchłej przeszłości, jeżeli banan wędrował z człowiekiem, to wyłącznie w jednym celu: zasadzenia i rozmnożenia go w nowym miejscu osiedlenia.

Bananowce musiały istnieć w Ameryce na długo przed konkwistą, gdyż w starożytnych grobowcach peruwiańskich niekiedy odnajdywano ich liście. Mimo to niektórzy uparcie starają się udowodnić tezę, że zasługi sprowadzenia banana na ten kontynent należy przypisać europejskim przybyszom w XVI wieku, a przede wszystkim Thomasowi de Berlanga, który w 1516 roku zasadził kłaczę na Haiti.

Trudno uwierzyć, że w niespełna trzydzieści lat banan był w stanie rozpowszechnić się w tak błyskawicznym tempie, że konkwistador Francisco de Orellana, spływając Amazonką, mógł podziwiać ich plantacje wzdłuż całego górnego biegu rzeki. Przypuszczenie było słuszne: banan hodowlany nie ma amerykańskich korzeni, jednak dotarł na te tereny znacznie, znacznie wcześniej.

Potwierdza to tezę o istnieniu kontaktów między różnymi społecznościami poprzez Pacyfik i środkowe morze amerykańskie, ponieważ przeniesienie sadzonek bananowca w sposób naturalny, na przykład przez ptaki, w ogóle nie wchodzi w rachubę. Niektórzy badacze wysuwają tezę, że mogły go przynieść prądy morskie, nie tłumaczy to jednak, jak roślina dostała się na przeciwległy kraniec morza, od strony Atlantyku.

Podobne wątpliwości są związane z palmami kokosowymi, które dają owoce przez cały rok. Bez kokosa nie ma życia na Oceanii, ale czy ten region jest jego ojczyzną? Botanicy nie są zgodni w tej kwestii. Jedni uważają, że była nią Ameryka, inni utrzymują, że znajdowała się w Azji. Nie sposób stwierdzić dziś z całą stanowczością, gdzie palma kokosowa jest rodzima, a dokąd przywędrowała spontanicznie lub została przyniesiona przez czło-wieka.

Grecki filozof Apolloniusz z Tiany widział palmę kokosową w Hindustanie na początku naszej ery, kiedy uważano ją za indyjską

ciekawostkę. W VI wieku jedzono kokos w Egipcie, być może przywieziony zza Oceanu Indyjskiego przez kupców arabskich. Tę bardzo przydatną palmę Europejczycy spotkali po raz pierwszy po przybyciu do Azji Południowo-Wschodniej oraz Indonezji i uznali ją za roślinę azjatycką.

Pisał o nich Alvaro Velho, kronikarz uczestniczący w poprzedzającej wyprawę Magellana ekspedycji Vasco da Gamy: „Miejscowe palmy dają owoc tak duży jak melon i jada się jego miąższ; smakuje jak migdały” ²⁷. Kilkanaście lat później kolejny Europejczyk Antonio Pigafetta w *Relacji z wyprawy Magellana dookoła świata* powtarza tę samą informację:

„Ta sama palma rodzi owoce zwane kokosami, wielkości mniej więcej ludzkiej głowy, których zewnętrzna skorupa jest zielona i gruba na dwa palce. Znajdują się w niej włókna, wykorzystywane przez tubylców do wyrobu lin, które służą im do wiązania łodzi. Pod tą skorupą jest jeszcze jedna, twardsza i grubsza od skorupy orzecha. Miejscowi ludzie palą ją, a pozostały po spaleniu popiół wykorzystują do swoich celów. Pod tą drugą skorupą mieści się gruby na palec biały rdzeń, który jada się tu na surowo z mięsem albo rybą, tak jak my jadamy chleb. Ma on smak migdałów, a po wysuszeniu można z niego zrobić chleb” ²⁸.

Istnieje kilka gatunków owoców, których pochodzenie nie zostało jeszcze wyjaśnione w wiarygodny sposób: m.in. kokos oraz banan. Czy kokos występował w Ameryce pod koniec XV wieku, kiedy na ten kontynent przybyli Europejczycy? Potwierdzają to słowa samego odkrywcy tego kontynentu, który już w trakcie pierwszej wyprawy natknął się na te drzewa na kubańskich plażach, o czym wspomina w swoim dzienniku w połowie listopada 1492 roku: „Była tam prześliczna łąka z wielką ilością palm, bardzo wyniosłych, wyższych od wszystkich, jakie dotąd widywał. Znalazł tam orzechy indyjskie” ²⁹.

Zdaniem Daniela J. Boorstina, autora książki *Odkrywczy. Dzieje ludzkich odkryć i wynalazków*, Kolumb pomylił kokosy z małymi niejadalnymi orzechami *nogal de pais* (owoc wykazuje pewne podobieństwo, ale niech Czytelnik na podstawie zdjęcia sam oceni, czy drzewo, na którym rośnie ten orzech, można pomylić z palmą).

Autor argumentuje dalej, że ten błąd wynikał z nastawienia Kolumba, który na każdym kroku spodziewał się odkrycia korzeni. Ich ceny wszak były bardzo wysokie, dlatego pachnący cynamonem krzak bez wahania uznał za cynamonowiec. Podobnie stwierdził, że gumbo-limbo (*Bursera*

simaruba) to azjatycka odmiana znanego z basenu Morza Śródziemnego drzewa mastyksowego.

Ciekawe jednak, że w swojej relacji pierwszy kronikarz Indii Zachodnich, Gonzalo Fernández de Oviedo, który przebywał w rejonie Darien na terenie dzisiejszej Panamy od końca czerwca 1514 do początku października 1515 roku, poświęca kokosowi cały rozdział, pisząc między innymi: tych palm jest wiele na wybrzeżu Morza Południowego, w prowincji kacyka Chimán ³⁰.

W 1519 roku Gaspar de Espinosa y Luna, jeden z założycieli Panamy, widział „dużo palm z wielkimi kokosami” ³¹. To w tamtych okolicach wszak leży słynna ze swych ukrytych skarbów Wyspa Kokosowa. Palm kokosowych jest na niej obecnie tak niewiele, że nazwa wydaje się mocno przesadzona w porównaniu z innymi wyspami, leżącymi bliżej Przesmyku Panamskiego lub dalej na Pacyfiku. Jednak dawniej zasługiwała na swoją obrazową nazwę, jak to wynika z ustnych relacji przekazanych kapitanowi Williamowi Dampierowi przez współczesnych mu hiszpańskich odkrywców.

Ten angielski żeglarz w wydanej pod koniec XVII wieku *A New Voyage Round the World* podawał: „Wyspa Kokosowa została tak nazwana przez Hiszpanów ze względu na bogactwo rosnących na niej Drzew Kokosowych. Rosną one nie w kilku miejscach, lecz w wielkich Gajach [...]. Wynika to z opowieści Hiszpanów o tej wyspie, ale to samo usłyszałem od kapitana Eatona, który był tam później” ³².

Skąd się tam wzięły i to w takiej liczbie? Wątpliwe, by były to samosiejki. W 1941 roku przeprowadzono na Hawajach doświadczenia z pływającymi orzechami kokosowymi. Wyniki obaliły stare poglądy, że orzech kokosowy mógłby przepłynąć prawie każdą otwartą przestrzeń oceanu i po wyrzuceniu na brzeg puścić kiełki.

Jak utrzymuje Thor Heyerdahl, w czasie tak długiego dryfowania pomiędzy Nowym Światem a Polinezją oczka pływającego orzecha kokosowego zostałyby zaatakowane przez bakterie gnilne i straciłyby zdolność kiełkowania. Wydaje się, że orzech kokosowy znalazł drogę prosto przez Pacyfik aż do Indonezji i położonych za nią obszarów na kilka wieków przed przybyciem Europejczyków.

Przyczyna tego może być bardzo oczywista: palma kokosowa była rośliną dobrze przystosowaną do przetrwania tranzytu przez leżące po drodze suche atole koralowe Mikronezji, a kiedy została już

z powodzeniem wprowadzona, dzięki swej zawartości trwałego mięszu i mlecza stała się z pewnością towarzyszem wybierających się na długie wyprawy podróżników.

Peregrynacje bawełny są tyleż imponujące co zagadkowe. Europa dość wcześnie zapoznała się z tą tkaniną i ceniła ją, tym bardziej że – zwłaszcza od wieku XIII – wskutek spadku hodowli owiec wełna stała się rzadkością. Rozpowszechnił się wówczas materiał zastępczy, barchan, tkany na osnowie lnianej i wątku z bawełny. Cieszył się on wielkim powodzeniem we Włoszech, a jeszcze większym na północ od Alp ³³.

Bawełna południowoamerykańska (*Gossypium barbadense*) rosła kiedyś dziko na wybrzeżach Atlantyku i Pacyfiku. Po raz pierwszy została udomowiona prawdopodobnie w Amazonii, zapewne gdzieś blisko delty rzeki. Dziś zastąpiła ją odmiana meksykańska (*Gossypium hirsutum*), stanowiąca większość zbiorów światowych. Najstarsze znane obecnie włókna bawełny pochodzące z Ameryki Środkowej zostały odkryte w dolinie Tehuacán niedaleko Oaxaca w Meksyku i są datowane na mniej więcej 2300 rok p.n.e. ³⁴.

Gdy mówimy o krzewach bawełnianych, które dostarczały Indianom włókna, okoliczności zmuszają nas do przyjęcia hipotezy, że w bardzo zamierzonych czasach miała miejsce migracja gatunku *Gossypium* ze Starego do Nowego Świata. Obydwa amerykańskie gatunki *Gossypium barbadense* i *Gossypium hirsutum*, znajdujące się w uprawie na długo przed odkryciem Ameryki przez Kolumba, mają genetyczne cechy, których obecność może wynikać tylko ze skrzyżowania gatunków Starego i Nowego Świata. Mogły to być krzyżówki afrykańskiego gatunku *G. herbaceum* i amerykańskiego *G. raimondi* lub *G. herbaceum* i *G. thurberi* ³⁵.

Nietrudno wytłumaczyć obecność gatunków diploidalnych tego samego rodzaju w Starym i Nowym Świecie. Można przytoczyć setki podobnych wypadków, chociażby winorośl, która występuje na obydwu półkulach, a także róża i inne. Wystarczającym wytłumaczeniem tego zjawiska jest fakt, że rodzaje te rozprzestrzeniały się z naturalnego ośrodka swego pochodzenia i wytwarzały nowe gatunki w drodze normalnej ewolucji jeszcze przed oddzieleniem się kontynentu północnoamerykańskiego od północno-wschodniej Azji.

Ponieważ działo się to w trzeciorzędzie, kiedy klimat na tych szerokościach geograficznych był znacznie cieplejszy, wśród

rozprzestrzeniających się roślin znalazły się także rodzaje ciepłolubne, których obecnie nie można znaleźć na wysokości Cieśniny Beringa, gdyż w miarę oziębiania się klimatu wycofywały się na południe (po obydwu stronach Pacyfiku).

Trudność całego wywodu polega na tym, że amerykańskie odmiany bawełny przed XVI wiekiem, to jest zanim rozpoczęto wymianę roślin pomiędzy obydwoma półkulami, miały skład chromosomalny typu allopolyploidalnego, a nie diploidalnego. Można to wytłumaczyć tylko krzyżowaniem z gatunkami ze Starego Świata w sposób opisany wyżej [36](#).

Europejczycy, którzy przybyli na Oceanię, stwierdzili, że bawełna z Wysp Towarzystwa i Markizów daje się prąść, jednak ówczesni wyspiarze nie zainteresowali się próbami zachęcania ich do uprawy tej niejadalnej rośliny i jej późniejszego pracowitego przędzenia oraz tkania. Dlatego też przez całe lata jedyną godną uwagi właściwością długowłosej bawełny polinezyjskiej było jej geograficzne rozmieszczenie.

Żadne odmiany bawełny, dzikiej ani uprawnej, nie występowały na pozostałym obszarze Pacyfiku, włączając w to Australię i Indonezję, jednak rosła ona na niezamieszkanym wyspach Galapagos, stanowiąc most wiodący do dzikiej i uprawnej bawełny Nowego Świata.

W 1947 roku J. Hutchinson, R. Silow i S. Stephens opublikowali analizę genetyczną dzikiej i uprawnej bawełny na całym świecie, pt. *The Evolution of Gossypium and Differentiation of the Cultivated Cottons*. Ku ogólnemu zdumieniu odkryli oni, że bawełny polinezyjskie były gatunkiem amerykańskim o dwudziestu sześciu chromosomach, stanowiącym produkt krzyżowania i uprawianym przez tubylców z Meksyku i Peru. Wszystkie gatunki dzikiej bawełny amerykańskiej mają trzynaście chromosomów, podobnie jak wszystkie gatunki uprawne i dzikie Starego Świata [37](#).

Jak stwierdzono, wczesnym amerykańskim hodowcom bawełny udało się stworzyć krzyżówkę mającą trzynaście chromosomów dużych oraz trzynaście małych i w ten sposób wyhodować sztucznie bawełny włókniste, które były tetraploidami [38](#), to znaczy miały dwadzieścia sześć chromosomów. Łącznie z gatunkami i odmianami polinezyjskimi są to jedyne tetraploidy w całym rodzaju bawełny. Ci trzej naukowcy stwierdzili więc na tej podstawie, że bawełna włóknista dotarła prawdopodobnie na Polinezję „po powstaniu cywilizacji w Ameryce tropikalnej” [39](#).

Jednak przedeuropiejskiego przeniesienia uprawnej bawełny z Ameryki na Polinezję nie można przypisać ptakom morskim, które nie jedzą nasion *Gossypium*, ani też prądom oceanicznym, gdyż bawełna jest zupełnie nieprzystosowana do rozsiewania na tak dużych odległościach przez unoszenie się na wodzie. Wykazano również, że wprawdzie dzika bawełna o trzynastu chromosomach mogła dotrzeć do Ameryki w sposób samoistny w odległych okresach geologicznych, kiedy geografia świata była odmienna niż dziś, jednak wyjaśnienie to nie znajduje zastosowania do czasów znacznie późniejszych, kiedy powstała grupa tetraploidów [40](#).

Hipoteza taka nie pomaga również w wyjaśnieniu występowania odmian bawełny o silnym pokrewieństwie z amerykańską na obszarze pomiędzy Galapagos a Fidżi. Należałoby więc wziąć pod uwagę pośrednictwo człowieka w geograficznej dystrybucji rodzaju *Gossypium*. Problem ten dotyczy wyłącznie odmian z długim włóknem, użytecznych dla człowieka [41](#).

Jeśli mielibyśmy zaakceptować teorię, że to ludzie przenieśli bawełnę z Azji do Ameryki, musiałoby to nastąpić około 4500 roku p.n.e., gdyż odmiany allopolyploidalne były uprawiane w prehistorycznym Peru już około 2500 roku p.n.e. Chociaż w obydwu Amerykach występują gatunki diploidalne pochodzenia czysto amerykańskiego (nie mieszańce), żaden z nich nie uległ mutacji, w wyniku której powstałyby rośliny wytwarzające puch bawełniany, co dopiero czyni roślinę źródłem włókna nadającego się do przędzenia [42](#).

Naukowcy twierdzą, że nasiona *G. herbaceum* odmiany *africanum* zostały przeniesione z prądem morskim poprzez Atlantyk na kontynent amerykański, wyrosły tam i skrzyżowały się z diploidalną bawełną pochodzącą z Nowego Świata, tworząc gatunek *G. barbadense*. Istnieje co najmniej jeszcze jeden gatunek rośliny, który dotarł do Ameryki prawdopodobnie w taki sam sposób: jest to dynia. Tak więc przypadek bawełny nie jest odosobniony [43](#).

Udowodniono również – co podaje Edward Hyams w swoim opracowaniu *Rośliny w służbie człowieka* z angielskim podtytułem *10 000 Years of Domestication* – że nasiona *Gossypium* nie tracą żywotności nawet po trzyletnim moczeniu w wodzie morskiej. Tak więc krzewy bawełny, które udomowili Indianie amerykańscy przed przybyciem Europejczyków, stworzyła sama natura w wyniku cudownego wręcz przypadku. I to ma być

bardziej logiczne wyjaśnienie zamiast tego, że jakaś grupa ludzi z północnej Afryki lub Europy kilka tysięcy lat temu przepłynęła Atlantyk i nauczyła nie tylko uprawy bawełny, lecz także jej tkania?

W latach 1448–1489 powstało kilka map basenu Morza Karaibskiego i między nimi nie istnieją większe różnice, co najwyżej są po prostu dokładniejsze, ale niekiedy pojawia się kilka nazw w średniowiecznym języku kastylijskim, a nawet katalońskim. W przypadku Portoryko te nowe nazwy nie dotyczyły miast, lecz opisywały zjawiska przyrody lub dzieła rąk ludzkich. Najwięcej kontrowersji wzbudziło słowo *asal*, które oznacza „jagodę, szczególnie winogrono, albo ziarna w jagodzie”. Jednak zimy na tej karaibskiej wyspie są zbyt gorące dla winnej latorośli, natomiast sam napis, co szczególnie istotne, umieszczono w miejscu, gdzie dzisiaj leży portorykańska „stolica kawy” – Yauco.

Do niedawna uważano, że w XV wieku kawa rosła tylko we wschodniej Afryce. Badania wykazały, że co najmniej dziewięć szczepów kawy rosło na Karaibach przed pojawieniem się Hiszpanów na tamtejszych archipelagach. Krzewy porastały stoki gór, z reguły na wysokości między 900 a 1350 m n.p.m., w łagodnym klimacie równikowym, gdzie nie ma wiatru, zamiast tego w godzinach porannych słońce mocno grzeje. Takie warunki panują na południowych zboczach portorykańskiego pasma Cordillera Central – właśnie tam, gdzie na mapie widnieje napisane słowo *asal* ⁴⁴.

Duże podobieństwo, a nawet identyczność pewnych wyrażań, świadczy o tym, że w istocie z północnego Peru nawiązano stosunki między Ameryką Południową a Oceanią. Identyczność tych słów nie może być dziełem przypadku. Gdy weźmiemy pod uwagę fakt, że kalebasa (bo i takim mianem określa się tykwę) w obu miejscowych językach nosi nazwę *kimi*, to chyba nie ma wątpliwości co do jej amerykańskiego pochodzenia. Wysuszonymi nad ogniem łupinami posługiwali się mieszkańcy obu tych regionów.

Podkreślaliśmy już fakt, że wiele gatunków nie toleruje słonej wody, nawet przez krótki czas. Wniosek? Na Morza Południowe mogły one dotrzeć tylko na jednostkach pływających, którymi sterowali ludzie. Największym paradoksem jest to, że (według niektórych naukowców) z tych dwóch elementów kulturowych – lądowej tykwy i morskiej tratwy – tykwa mogła przepłynąć oceany i dotrzeć z Europy do Ameryki lub z Ameryki do Oceanii, natomiast tratwa z załogą nie miała takiego prawa!

Z migracją roślin jadalnych wiąże się także wędrówka udomowionych zwierząt. Niewątpliwie pochodzenia azjatyckiego była zdecydowana większość i tak nielicznych zwierząt domowych, na przykład kura domowa (*Gallus domesticus*) czy świnia wschodnioazjatycka (*Sus cristodus*). W tym pożytecznym towarzystwie znalazł się także jeden z nieodłącznych towarzyszy człowieka, a mianowicie szczur (*Rattus concolor*). Zwierzęta te znalazły się na wyspach Polinezji wcześniej niż w Ameryce. Warto odnotowania jest, że w okresie pierwszych wizyt Europejczyków żaden z tych gatunków nie występował na wyspach koralowych Polinezji, ponieważ brakowało na nich paszy dla świń i drobiu.

Inaczej ma się rzecz w przypadku polinezyjskiego psa (*Canis maori*), który mógł się odżywiać rybami. Jest on jednak przedstawicielem innego gatunku niż australijski dziki pies dingo, pies-parias z Azji Południowo-Wschodniej i arktyczny husky. Co więcej, według maoryskich wierzeń, pies przywędrował z ich praojczyzny razem ze słodkim ziemniakiem. Praprzodkowie „zbudowali na tratwie dom i załadowali na nią dużo jedzenia, korzenie paproci, *kumara* oraz psy” ⁴⁵.

Olmeckie modele psów oraz wizerunki tych zwierząt z okresu prekolumbijskiego wzbudziły kolejne kontrowersje. W Ameryce nie ma dzikich przodków psa domowego peruwiańskich i meksykańskich tubylców. Ze wszystkich gatunków zwierząt domowych pies był najbardziej przyzwyczajony do towarzyszenia dawnym wędrowcom przez lądy i morza. Jeżeli weźmiemy pod uwagę drogę lądową, to jedynym psem, jaki mógł tam dotrzeć z pieszymi migrantami, był syberyjski szpic typu husky.

Jednakże psy olmeckie oraz starożytne peruwiańskie psie mumie *Canis ingae* znacznie się od nich różnią. Wykazują natomiast wiele wspólnych cech z rasami zmumifikowanych psów egipskich i realistycznymi wyobrażeniami tych zwierząt ze Środkowego Wschodu. Gatunki śródziemnomorskie rozprzestrzeniały się w kierunku zachodnim wraz z dawnymi wędrowcami, od Mezopotamii do wybrzeży współczesnego Maroka, a nawet na Wyspy Kanaryjskie.

Nazwa archipelagu pochodzi od łacińskiego miana psa – *canis*, ponieważ uczestnicy ekspedycji króla Juby II z początku I wieku n.e. pochwycili okazy o nadzwyczajnej wielkości, przypominające wyglądem charty bądź dogi. Co ciekawe, na wizerunkach babilońskich z około 2200 roku p.n.e. można ujrzeć wielkie psy wyglądające jak mastify i psy wojenne.

Hiszpański kronikarz Gonzalo Fernández de Oviedo odnotował, że spaniele hodowane przez Kartagińczyków i znane w rejonie Morza Śródziemnego jako *techichi* można spotkać wzdłuż atlantyckiego wybrzeża Meksyku. Ponad cztery wieki później jego spostrzeżenie potwierdziły znaleziska kości tych psów, jakie odkryto na wyspie Cozumel u wybrzeży Jukatanu ⁴⁶.

Syn Krzysztofa Kolumba napisał o czarnych ludziach, których jego ojciec zobaczył w Hondurasie: „A już tubylcy zamieszkujący strony położone nieco dalej na wschód, aż do Cabo de Gracias a Dios, mieli skórę prawie czarną” ⁴⁷. Spore emocje wzbudziła w światku naukowym również jedna z czaszek wydobytych w roku 1985 przez ekspedycję włoską pod kierunkiem profesora Giuseppe Orefici na stanowisku Pueblo Viejo w pobliżu Nazca. Pisał o tym dr Karol Piasecki z Zakładu Antropologii Historycznej Instytutu Archeologii UW:

„Kiedy analizowałem ten materiał rok później, nikt nie chciał mi uwierzyć, że czaszka ta ma wyraźne cechy mieszańca odmiany żółtej i czarnej. O pomyłce jednakże nie może być mowy, o cechach negroidalnych świadczy zarówno kształt kości nosowych, jak i oczodoły, czy wreszcie bardzo silny prognatyzm (wystawanie twarzy ku przodowi). Ta część stanowiska, z której pochodziła owa czaszka, datowana była nie później niż na ósmy wiek naszej ery! Oznacza to, iż na długo przed sprowadzeniem przez Europejczyków czarnych niewolników z Afryki, istniały kontakty ze Starym Światem. Zresztą potem okazało się, że kilka dalszych badanych przeze mnie czaszek peruwiańskich ma także pewne cechy odmiany czarnej” ⁴⁸.

Jakiś czas temu w brazylijskiej *selvie* odkryto tajemnicze plemię „czarnych Indian”, o których istnieniu słyszano od 1940 roku. Dało to impuls do wszczęcia dawnych dyskusji nad istnieniem w Ameryce Łacińskiej czarnej ludności przedkolumbijskiej. Wśród licznych wysuwanych uprzednio hipotez była i taka, że owo plemię o czarnej skórze i kędzierzawych włosach to potomkowie niewolników afrykańskich, którym w końcu XVI wieku udało się uciec i schronić w brazylijskiej puszczy.

W kilku pracach naukowych przytacza się już jednak liczne dowody (nie hipotezy) świadczące o istnieniu w Ameryce przedkolumbijskiej ludności o czarnej skórze. Na przykład peruwiańskie *guacos* – niewielkie figurki rytualne wkładane zmarłym do grobu – lub rzeźby z San Agustín na terenie

dzisiejszej Kolumbii mają w większości negroidalne cechy. Za istnieniem czarnoskórej przedkolumbijskiej ludności w Ameryce Łacińskiej przemawiają też wzmianki w kronikach hiszpańskich konkwistadorów.

W kontekście mieszanki rasowej populacji Olmeków z pewnością mamy do czynienia także ze wschodnią, transatlantycką migracją. Elementy: ekwatorialny, buszmenoidalny i armenoidalny, należy wiązać z przybyciem przedstawicieli kultur megalitycznych z rejonu Półwyspu Iberyjskiego i północno-zachodniej Afryki. Warto może w tym miejscu przypomnieć, że jednym z panteonu kartagińskich bóstw był Eshmun – bóg zdrowia. Na wzgórzu Byrsa wznosiła się poświęcona mu świątynia, która była prawdopodobnie największym architektonicznym osiągnięciem Punijczyków.

Do dziś nie pozostał po niej żaden ślad, ale wielu antycznych pisarzy pozostawiło jej opis. Według nich najbardziej rzucały się w oczy potężne, liczące sześćdziesiąt stopni schody, co zdaje się nawiązywać do konstrukcji meksykańskich piramid. Wiele budowli olmeckich, i nie tylko tych, przypomina grobowce korytarzowe i galeriowe w Hiszpanii i Portugalii. Podobieństwo dotyczy także kurhanów i innych budowli.

Najstarszym znanym ośrodkiem Olmeków jest San Lorenzo, pod względem wieku porównywalny tylko z Chavín w Peru, którego początki sięgają XVI wieku p.n.e. Stanowisko to znajduje się w zakolu rzeczki San Lorenzo i uderzająco przypomina miejsce kultu późniejszego narodu Zapoteków – Monte Albán. Podobnie jak ono zostało zbudowane na sztucznym podłożu otoczonym przez gliniane pagórki, które wyznaczyły teren dziedzińca, boiska do rytualnej gry w piłkę oraz zbiorników na deszczówkę.

Biorąc pod uwagę, że kultura olmecka sięga początków II tysiąclecia p.n.e. (niektórzy przesuwają tę datę nawet o tysiąc lat wstecz), fakt ów sugerowałby istnienie kontaktów transoceanicznych w tym okresie, o ile nie wcześniejszych, jeszcze przez setki lat. Elementy negroidalne dostrzegalne w olmeckich rzeźbach nie były złudzeniem – Olmekowie w znacznym procencie byli negroidami. Ślady ich pobytu odnajduje się nawet w Polsce na Kujawach.

Okazuje się, że rozprzestrzenianie się właściwości kulturowych, dawanie i branie, tworzy nadzwyczaj pogmatwaną strukturę, której nie sposób ogarnąć schematem interpretacyjnym jednej efektownej hipotezy. W taki sam sposób, w jaki Indianie z wybrzeża ekwadorsko-peruwiańskiego

lądowni na wyspach Pacyfiku, Polinezyjczycy, a nawet mieszkańcy Azji mogli niejednokrotnie dotrzeć na amerykański ląd.

Dalekowschodnie elementy kulturowe: droga, którą przenikały, ich chronologia, zasięg wpływu i dokładnie określone ośrodki na półkuli zachodniej – w dalszym ciągu należą do najbardziej zdumiewających zagadek, przed jakimi staje archeologia na ziemi amerykańskiej, chociaż wybitni uczeni prześledzili różnorodne ślady i przekonali wielu swoich kolegów o tym, że owe elementy są nazbyt podobne do swoich odpowiedników, a w swych przejawach i skojarzeniach zbyt złożone, aby mogły rozwinąć się w Nowym Świecie zupełnie samodzielnie.

Prehistoryczna żegluga morska istniała na długo przed Kreteńczykami, Fenicjanami, Kartagińczykami czy Etruskami. Pozostały po nich pewne ślady – potężne grobowce, kamienne budowle pamiątkowe oraz mury forteczne, które w starożytności określano mianem „murów cyklopich”. Ponieważ konstrukcje takie znajdują się prawie wyłącznie w rejonach nadbrzeżnych, ich twórcy musieli być żeglarzami.

Nie da się wykluczyć przynajmniej okolicznościowych, ale nie przypadkowych kontaktów przez ocean. Nie do podważenia są wyniki badań antropologicznych, z których wynika, że doszło do silnego wymieszania ras, a przede wszystkim białych „armenoidów” iberoafrykańskiego pochodzenia oraz czarnych „ekwatoriałów”. Jak inaczej wytłumaczyć ten fakt, jeśli nie założeniem, że już w IV tysiącleciu p.n.e. ludzie wędrowali częściej i dalej, niż się przypuszcza, a towary oraz idee podróżowały jeszcze dalej?

Kiedy statki Magellana czy Cooka pokonywały oceany, ludziom nie przeszkadzało, że mają do dyspozycji jedynie wiatr i żagle. Kiedy pojawiła się śruba okrętowa, napęd odrzutowy lub atomowy, świat stawał się coraz mniejszy, a im bardziej wstecz – ziemia rosła jak na drożdżach, morza były coraz rozleglejsze i głębsze. Dziś zapominamy o możliwościach dawnych marynarzy i uznajemy prawdopodobieństwo rejsów transoceanicznych przed zbudowaniem „łupinek”, na których Kolumb przepłynął Atlantyk, za niewielkie ze względów... technicznych!

1. E. Hyams, *Rośliny w służbie człowieka*, przeł. J. Suska, Warszawa 1974, s. 230. [\[wróć\]](#)
2. H. Colon, *Dzieje żywota i znamienitych spraw Admirała don Krzysztofa Kolumba*, przeł. A. Dukanović, Warszawa 1965, s. 202. [\[wróć\]](#)
3. Cyt. za: C.I. Olaya, *Frutas de América. Tropical y subtropical. Historia y usos*, przeł. M. Gotowała, Santa Fe de Bogotá 1991, s. 64–65. [\[wróć\]](#)
4. L. Casson, *Starożytni żeglarze basenu Morza Śródziemnego*, przeł. L. Teliga, Warszawa 1965, s. 256. [\[wróć\]](#)
5. *Ibidem*, s. 236. [\[wróć\]](#)
6. F. Joseph, *op. cit.*, s. 120. [\[wróć\]](#)
7. B. Kozłowski, *Dzieje okrętu*, Warszawa 1956, s. 79. [\[wróć\]](#)
8. F. Joseph, *op. cit.*, s. 120. [\[wróć\]](#)
9. S. Ducin, *Sztuka nawigacji w starożytnej Grecji i w Rzymie*, Lublin 1997, s. 54. [\[wróć\]](#)
10. *Geografia antyczna*, s. 159. [\[wróć\]](#)
11. Homer, *Odyseja*, ks. X, wersy 31–36, *op. cit.* [\[wróć\]](#)
12. Seneka, *O zjawiskach natury*, t. 3, w: *Pisma filozoficzne*, przeł. L. Joachimowicz, Warszawa 1969, ks. V, rozdz. 18, akapit 14. [\[wróć\]](#)
13. *Pisma starochrześcijańskich pisarzy*, t. 4, Ambroży, *Hexaameron*, przeł. W. Szoldrski, Warszawa 1969, ks. III, akapit 15. [\[wróć\]](#)
14. Petroniusz, *Uczta Trymalchiona*, przeł. L. Staff, Warszawa 1986, s. 187–188. [\[wróć\]](#)
15. G. Thompson, *Rajskie nasiona*, [w:] *Zaginiona historia starożytnych Ameryk*, red. F. Joseph, przeł. K. Kurek, Warszawa 2006, s. 99. [\[wróć\]](#)
16. J. de Acosta, *The Natural & Moral History of the Indies*, transl. E. Grimston, London 1880, vol. 1, s. 231. [\[wróć\]](#)
17. L. Imperio, *Templari*, Ferrara 2001, s. 31–32. [\[wróć\]](#)
18. G. Thompson, *op. cit.*, s. 99. [\[wróć\]](#)
19. *Ibidem*, s. 103–104. [\[wróć\]](#)
20. Wprawdzie Pigafetta nazywa tę wyspę Mazzava, ale opis, który daje w swej relacji, nijak nie przystaje – poza podobieństwem nazw – do małej, piaszczystej Limassawy. Część historyków uważa, że do opisanych dalej wydarzeń doszło na Mindanao w pobliżu miasta Butuan, co i tak nie wyjaśnia zagadki istnienia tam kukurydzy. [\[wróć\]](#)
21. A. Pigafetta, *Relacja z wyprawy Magellana dookoła świata*, przeł. J. Szymanowska, Gdańsk 1992, s. 42. [\[wróć\]](#)
22. G. Menzies, *op. cit.*, s. 116. [\[wróć\]](#)
23. F. Fernández-Armesto, *Wokół tysiąca stołów, czyli historia jedzenia*, przeł. J. Jackiewicz, Warszawa 2003, s. 311–312. [\[wróć\]](#)
24. E. Hyams, *op. cit.*, s. 227. [\[wróć\]](#)
25. J. de Acosta, *The Natural and Moral History of the Indies*, transl. E. Grimston, London 1604, t. I, s. 241–242. [\[wróć\]](#)
26. G. de la Vega Inka, *op. cit.*, s. 521. [\[wróć\]](#)

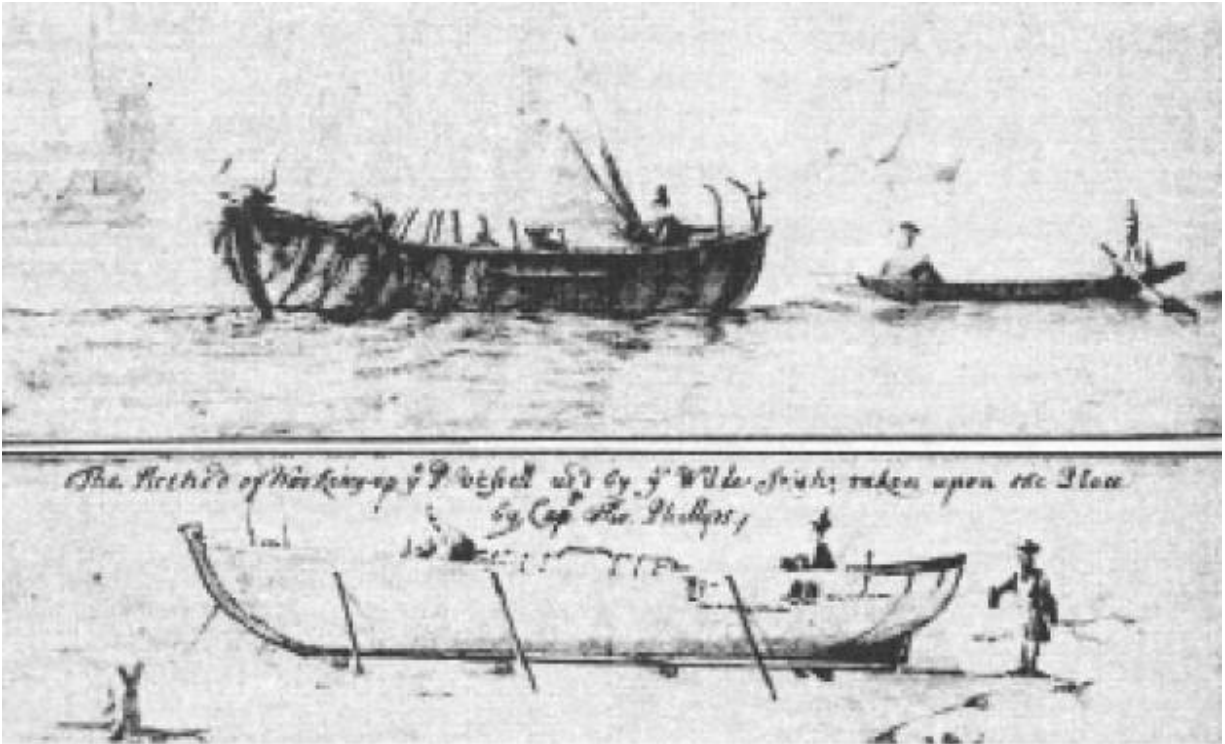
27. A. Velho, Relacja z wyprawy Vasco da Gamy do Indii, przeł. E. Milewska, Gdańsk 1996, s. 20. [[wróć](#)]
28. A. Pigafetta, op. cit., s. 34. [[wróć](#)]
29. K. Kolumb, Pisma, przeł. A.L. Czerny, Warszawa 1970, s. 69. [[wróć](#)]
30. L. Baudouin, B.F. Gunn, K.M. Olsen, The presence of coconut in southern Panama in pre-Columbian times: clearing up the confusion, „Annals of Botany” 2013, <http://aob.oxfordjournals.org/content/early/2013/11/12/aob.mct244.full>; dostęp: 24.04.2015. [[wróć](#)]
31. Ch.R. Clement, D. Zizumbo-Villareal, C.H. Brown, G.R. Ward, A. Alves-Pereira, H.C. Harries, Coconuts in America, „The Botanical Review” 2013, t. 79, z. 3, s. 349. [[wróć](#)]
32. W. Dampier, A New Voyage Round the World, <http://gutenberg.net.au/ebooks05/0500461h.html#ch1>; dostęp: 24.04.2015. [[wróć](#)]
33. F. Braudel, Kultura materialna, gospodarka i kapitalizm XV–XVIII wiek, t. I, Struktury codzienności. Możliwe i niemożliwe, przeł. M. Ochab i P. Graff, Warszawa 1992, s. 270. [[wróć](#)]
34. J.M. Vreeland jr, Powrót kolorowej bawełny, „Świat Nauki” 1999, nr 6, s. 80. [[wróć](#)]
35. Ibidem, s. 133. [[wróć](#)]
36. Ibidem. [[wróć](#)]
37. Th. Heyerdahl, Z kontynentu..., s. 215. [[wróć](#)]
38. Tetraploid – organizm mający w jądrach komórek somatycznych cztery podstawowe zespoły chromosomów (genom). Tetraploidami jest wiele odmian roślin uprawnych, np. tetraploidalne żyto. [[wróć](#)]
39. Th. Heyerdahl, Z kontynentu..., s. 215–216. [[wróć](#)]
40. Ibidem. [[wróć](#)]
41. Ibidem. [[wróć](#)]
42. E. Hyams, op. cit., s. 134. [[wróć](#)]
43. Ibidem. [[wróć](#)]
44. G. Menzies, op. cit., s. 307–308. [[wróć](#)]
45. T. Heyerdahl, Z kontynentu..., s. 209. [[wróć](#)]
46. F. Joseph, Zaginiony..., s. 127. [[wróć](#)]
47. H. Colón, op. cit., s. 375. [[wróć](#)]
48. K. Piasecki, Głowy, czaszki, mumie... Antropolog w Peru, „Archeologia Żywa” 1998, nr 4, s. 24. [[wróć](#)]

Podróże świętego Brendana

Istnieje swoista „zagadka Atlantyku”, a ściślej cała seria zagadek zawierających się w dwóch wiekach dziejów europejskiego żeglowania po Atlantyku: pomiędzy wyprawą Vivaldiego i Dorii z 1291 roku i pierwszą wyprawą Kolumba przez Atlantyk z 1492 roku. Zagadki te czynią z tych dwóch wieków dziejów żeglugi po Atlantyku jedną z najbardziej spornych kart w dziejach morskich odkryć geograficznych. Pewne jest, że zarówno Wyspy Kanaryjskie, jak i Madera były żeglarzom europejskim bez wątpienia znane już od połowy XIV wieku ¹.

Ba, istnieją przesłanki, że zachodnie rubieże Oceanu Atlantyckiego wiele wieków wcześniej osiągnęła wyprawa świętego Brendana – postaci niewątpliwie historycznej – który na skórzanej łodzi *curragh* odwiedził między innymi Islandię oraz Wyspy Owcze. Celem podróży, żeby nie powiedzieć obsesją świętego Brendana była legendarna wyspa szczęścia zwana Ziemią Obietnicy Świętych lub O’Brazil (Hy-Brazil).

Podróż Tima Severina z towarzyszami na replice irlandzkiej łodzi dostarczyła dowodu, że irlandzcy zakonnicy byli w stanie dopłynąć do Ameryki Północnej przed wikingami, nie wspominając o pewnym Genuńczyku. Rozstrzygającym dowodem byłoby znalezienie na amerykańskim kontynencie namacalnego śladu pozostawionego przez średniowiecznych żeglarzy z Irlandii. Szanse na to są znikome.



Curragh na rycinie kapitana Phillipa z końca XVII wieku

Nawet w Islandii nie natrafiono na nic, co by świadczyło o bytności mnichów na tej wyspie, chociaż wiadomo, że osiedlili się tam na pewien czas, o czym mówi *Księga osadnictwa (Landnamabók)*: „W owym czasie Islandia była między wybrzeżem a górami porośnięta lasem. Wówczas żyli tu chrześcijańscy mężowie, których Normanowie nazwali Paparami. Ci później odeszli, gdyż nie chcieli żyć razem z poganami. Pozostały po nich dzwony, pastorały i księgi irlandzkie, po czym można było poznać, że ludzie ci pochodzili z Irlandii”².

Inne wikingińskie sagi zawierają podobne, choć równie nikłe, pośrednie wzmianki o bytności Irlandczyków w Nowym Świecie. W *Sadze o Eryku Rudym* dwóch amerykańskich tubylców mówi o ludziach, którzy mieszkali w sąsiedztwie ich plemienia, a ubierali się w białe szaty i maszerowali jeden za drugim z głośnym krzykiem, niosąc przy tym kije z przyczepionymi do nich kawałkami materiału. W tamtych czasach sami wikingowie byli przekonani, że chodzi o Irlandczyków³. Zastanawiająca jest łatwość, z jaką autorzy sag zaakceptowali informacje o ich bytności na dalekim Zachodzie.

W podobnym tonie jest islandzka *Landnamabók*, gdzie wymienia się kraj, „który czasem nazywany jest Wielką Irlandią, a położony jest na zachodzie, w pobliżu Dobrej Winlandii”. Jednego z wikingów też miał tam zapędzić sztorm, ale ponieważ nie mógł powrócić do ojczyzny, został ochrzczony i zamieszkał w owym zagadkowym Hvitramannalad lub Irlan Mikkla, czyli Krainie Białego Człowieka ⁴.

Jeśli podróżnikami byli rzeczywiście irlandzcy mnisi, to pierwsze rejsy mogły mieć miejsce najwcześniej w V wieku, kiedy to Irlandia przyjęła chrześcijańską wiarę. W wieku VI, a dokładniej w jego drugiej połowie, w Irlandii wykrystalizowała się niespotykana gdzie indziej struktura Kościoła zwana monastyczną. Był to czas wielkiego entuzjazmu religijnego, zwłaszcza rozwoju życia ascetycznego. Okres ten bywa określany mianem „rewolucji monastycznej”.

Powstawało wtedy wiele klasztorów. Zdominowały one wkrótce krajobraz kościelny Irlandii. Do najbardziej znanych należały fundacje w Clonard, Bangor, Clonmacnoise, Clonfert, Lismore, Moville i Kildare. W ruchu monastycznym znaczącą rolę odegrały wybitne osobowości opatów. W wieku VI żyli i zakładali fundacje tacy święci, jak choćby Finnian, Comgall, Columcille czy Brendan ⁵.

Ostatni z wymienionych, który dożył sędziwego wieku 93 lat (484–577), zakładał klasztory między innymi na Hebrydach i w Bretanii. Jednak tekst *Żegluga świętego Brendana opata (Navigatio Sancti Brendani Abbatis)* nie sugeruje wcale, że ów zakonnik był pierwszym, który dotarł do Ziemi Obietnicy Świętych. Mówi się wprost, że święty Brendan dowiedział się o zachodniej krainie z ust innego mnicha, opata Drumcullen, notabene swego krewnego – Barintusa (lub w innej wersji świętego Barrinda), który wcześniej odbył podróż, mając za towarzysza opata z zachodniego wybrzeża o imieniu Mernok. *Żegluga*, podaje jeszcze, że tam: „ani groźna noc nie zapada, ani dzień się nie kończy. Tam często udaje się wasz opat Mernok” ⁶.

Przypuszcza się, że w pierwszą podróż święty Brendan (w towarzystwie czternastu innych mnichów) wyruszył w roku 545 ze swej rodzinnej wioski Kerry i nie dotarł dalej niż do archipelagu Szetlandów. Swoje przygotowanie żeglarskie zawdzięczał prawdopodobnie biskupowi Ercowi – swojemu mistrzowi, byłemu druidowi. Przekonanie o tym, że wyprawa rzeczywiście się odbyła, trwało ponad tysiąc lat, skoro na kartach mapy

Olausa Magnusa pochodzącej z 1557 roku oraz Gastadiego z 1564 roku naniesiono miejsce spotkania ze śpiącym wielorybem.

Podobnie ma się rzecz z wyspą, do której miał dotrzeć opat. Po raz pierwszy znajdujemy ją na angielskiej mapie świata z Herefordu, sporządzonej przez Richarda z Haldingham około lat 1275–1280, w miejscu, gdzie dziś są Wyspy Kanaryjskie. Na globusie Marcina Behaima z roku pierwszej wyprawy Kolumba jest już mniej więcej na miejscu w strefie równikowej Ameryki Południowej. Abraham Ortelius w 1560 roku „widział” ją już w okolicach Islandii, podobnie jak słynny Merkator dziewięć lat później. Niekiedy spotyka się archipelagi Brendana na mapach nawet z XVIII wieku!



Szytych z dzieła *Navigatio Sancti Brendani Abbatis*

Próbowano zrekonstruować wygląd mnisiego *curragha*. Prawdopodobnie była to łódź o długości 9–10 metrów wykonana z plecionki wiklinowej obciągniętej specjalnie wyprawionymi w dębowej

korze skórami wołowymi, z drewnianą deską pod dnem po stronie zewnętrznej, by chronić skóry przed ewentualnym uszkodzeniem w momencie wyciągania łodzi na brzeg. Do zszywania poszycia używane były żelazne narzędzia, a powierzchnię zewnętrzną skór smarowano tłuszczem.

Do dyspozycji płynących był jeden żagiel rejowy oraz wiosła jednopiórowe trzymane w rękach. Nie bez kozery Irowie (przedceltycka ludność Irlandii) byli przez Celtów określani mianem „Fir-bolg” – „ludzie skórzanych łodzi”. Pod datą 891 lub 892 rok w anonimowej *Kronice anglosaskej* zanotowano:

„Trzech Iryjczyków przybyło do króla Alfreda w łodzi bez wiosel z Irlandii, skąd wymknęli się ukradkiem, ponieważ pragnęli, dla miłości Boga, być w stanie pielgrzymki, nie dbali zaś dokąd [zmierzali]. Łódź, w której przyплыnęli, wykonana była z dwóch i pół skór, a zabrali byli z sobą żywność w ilości wystarczającej na siedem dni. Siódmego dnia wylądowali na wybrzeżu Kornwalii i stamtąd przybyli prosto do króla Alfreda. Imiona ich zaś były takie: Dubslane, Macbethu i Maelinmun” ⁷.

Podobno druga ekspedycja dziarskiego Brendana, w sile sześćdziesięciu członków załogi, wyruszyła z portu Aran 22 marca 551 roku i to wówczas – wedle wszystkich znaków na niebie i ziemi – święty Brendan osiągnął wybrzeża kontynentu amerykańskiego. Dzięki radom swej opiekunki z lat dziecięcych, Ity ⁸, tym razem nie skorzystał z pokrytej skórami łodzi *curragh*, a wypłynął na drewnianym statku zaopatrzonym w system żaglowo-sterowniczy, zwanym *rutter*.

Prawdopodobna trasa ekspedycji świętego Brendana – po dotarciu do lądu amerykańskiego – wiodła od Nowej Fundlandii w kierunku południowo-zachodnim, by doprowadzić irlandzkich żeglarzy do Wysp Bahama lub – według innych wersji – do archipelagu Bermudów. Jednak po tygodniu oczekiwania, ze względu na nieprzychylnie nastawienie krajowców, mnisi postanowili pożeglować dalej i dotarli do głównej wyspy Bermudów.

Tutaj miało miejsce zagadkowe spotkanie z pewnym człowiekiem w podeszłym wieku, który okazał się mnichem zamieszkującym tę wyspę od niepamiętnych czasów. Miał się tam zjawić w towarzystwie dwunastu innych mnichów przed bardzo wielu laty, choć nie wiadomo, czy stało się to celowo, czy główną rolę odegrał przypadek. Zabranym na pokład, wkrótce

dokonał swego żywota, podczas gdy statek kierował się na północny zachód, by osiąść w końcu na półwyspie Floryda.

I tutaj przybysze natknęli się na mnicha o imieniu Festivus, który miał zjawić się w Ameryce przed trzydziestu laty w gronie innych mnichów z Erin. Jak długo trwał jego pobyt na Florydzie, także nie wiadomo, choć – zgodnie z legendą – udało mu się zbadać najbliższą okolicę, która w istocie przypominała wrota raj. W końcu święty Brendan zdecydował się wracać do Irlandii, a jego trasa powrotna biegła przez Azory.

Ekspedycja świętego Brendana nie była pojedynczym wyczynem. Pierwotna relacja została wzbogacona o przeżycia i dokonania innych zakonnych podróżników. To świadectwo chrześcijańskiej kultury morskiej, na którą złożyły się całe serie wypraw oceanicznych, mających na celu podtrzymanie kontaktów z tamtejszymi osadnikami oraz dalszą eksplorację ziem leżących poza granicami znanego wówczas świata. Gdyby nie *Żegluga...*, do naszych czasów zachowałyby się co najwyżej słabiutkie echa tych zbiorowych wysiłków, w które pomimo to nawet i dzisiaj niewielu daje wiarę.

Najwcześniejsze wiadomości o wyprawach morskich Iryjczyków zostały przekazane przez Adamnana z Iony w *Żywocie świętego Kolumby*, napisanym po roku 679, choć dotyczą wydarzeń sprzed 597 roku, kiedy to zmarł Kolumba. W rozdziale XX pierwszej księgi Adamnan wspomina mnicha Baitanusa, który udał się wraz z innymi na morze w poszukiwaniu pustelni.

W dwóch miejscach (I 6 i II 42) opowiada ponadto o podróżach Kormaka, trzykrotnie podejmowanych w podobnym celu. Walahfrid Strabo, pisarz z IX wieku, autor *Żywota świętego Galla*, twierdził, że pochodził on „z narodu iryjskiego, dla którego obyczaj podróżowania do obcych krajów stał się niemal drugą naturą” ⁹.

Z *Litanii iryjskich pielgrzymujących świętych* wynika, że w 100–200 lat po śmierci Adamnana istniało wiele innych opowieści o podróżach irlandzkich świątobliwych mężów, na przykład relacja o podróży Uí Chorra, a także aluzje związane ze świętymi: Ailbe, Ibarem, Munnu mac Tulcháin i Patrykiem. Oto jedna z nich: „Dwudziestu i czterech ludzi z Munster, którzy udali się wraz z Ailbe na Ocean w celu [ponownego] odwiedzenia Ziemi Obiecanej i przebywają tam aż do dnia Sądu” ¹⁰.

Formą pobożności była szeroko rozpowszechniona idea pielgrzymowania – *peregrinatio*. Jakkolwiek Europa знаła pielgrzymki od

dawna, to wśród Iroszkotów miały one swój własny rys wynikający z odrębności miejscowych zwyczajów. O ile dla Anglosasów pielgrzymem *eltheodig* była osoba opuszczająca Anglię, o tyle dla Iryjczyków odpowiednie określenie *ailithir* oznaczało zarówno udającego się za granicę, jak i zmieniającego miejsce zamieszkania w obrębie samej wyspy.

O społecznym znaczeniu *peregrinatio* świadczy też duża liczba pojęć w tym zakresie. Słowo *ailithir* używane było zasadniczo w sensie religijnym. Natomiast na wyrażenie podróży podejmowanej z innych motywów używano określeń *ambue* – „człowiek niemiejscowy” lub *cú glas* – „szary pies”, czyli „wilk”. Przy czym *ambue* oznaczał zazwyczaj wygnańca z jednej części Irlandii do drugiej, natomiast określeniem *cú glas* określany był podróżnik za morze ¹¹.

Jednym słowem, społeczeństwo irlandzkie, z racji wielkiego przywiązania do swoich stron rodzinnych, dość specyficznym traktowało wszelkiego rodzaju podróżników. Z jednej strony wygnanie uchodziło za dotkliwą karę, a z drugiej, gdy podróż była podejmowana dobrowolnie, nie mogła nie wzbudzać podziwu. Było to więc podjęcie wypróbowanej drogi mnichów pustyń egipskich i pustelni syryjskich. A ponieważ w Irlandii nie było pustyń, pragnący żyć radykalizmem ewangelicznym udawali się za morze.

Zresztą w rozumieniu ówczesnych chrześcijan całe życie ludzkie traktowane było jedynie jako droga do życia wiecznego. Niektórzy uczeni widzą w praktyce *peregrinatio* realizację idei tzw. zielonego męczeństwa. Męczeństwo czerwone miało się odnosić do tych, którzy za wierność Bogu i z miłości do Niego przelali swoją krew, białe wiązane było z anachoretami pustyń, natomiast zielone miało być przypisywane tym, którzy między innymi „uwalniają się od swych pragnień”. Owo „uwalnianie się od swych pragnień” i podejmowanie pielgrzymowania było najwyższą formą dostępnego Iryjczykom „męczeństwa” ¹².

Bardzo cenne informacje o dalekich rejsach znajdujemy w traktacie *Liber de mensura orbis terrae* (*O pomiarze Ziemi* 75, 77), pióra Iryjczyka Dicuilu, napisanym bądź ukończonym w 825 roku. Studiujący i wykładający w cesarskiej szkole w Akwizgranie uczony podawał, że celtyccy pustelnicy przebywali na wyspach identyfikowanych z Wyspami Owczymi już w VIII wieku: „tam od prawie stu lat mieszkali eremici przybywający z naszego kraju, Szkocji [= Irlandii]. Ale [...] teraz

z powodu norweskich piratów [*causa latronum Norman-norum*] [wyspy te] są porzucone przez anachoretów i wypełnione niezliczonymi owcami” ¹³.

Z jego dzieła dowiadujemy się między innymi o wyprawie nieznanego bliżej mnicha Fidelisa do Ziemi Świętej i Egiptu. W naszym przypadku najbardziej interesujące są wzmianki dotyczące wysp na Atlantyku, pokazujące postęp realnej wiedzy mieszkańców Irlandii w poznawaniu tej części naszego globu:

„Niczego nie doczytałem się o wyspach morza na zachód i północ od Hiszpanii. Wyspy znajdują się wokół naszej wyspy Hibernii; niektóre są małe, inne jeszcze mniejsze. W pobliżu wyspy Brytanii jest [także] wiele wysp; jedne są wielkie, inne małe, jeszcze inne średnich wymiarów. Niektóre z nich znajdują się na morzu na południu i na morzu zachodnim, lecz przede wszystkim liczne są na północnym zachodzie i północy. Na niektórych z nich mieszkałem, inne odwiedzałem, jeszcze inne jedynie oglądałem, o innych wreszcie czytałem” ¹⁴.

Fakt, że wyspy północnego Atlantyku były puste w czasie przybycia pierwszych osadników, nie oznacza, że nie były wcześniej zamieszkane, chociaż problem ten do dzisiaj budzi sporo kontrowersji. Dotyczą one doniesień źródłowych o wczesnej obecności eremitów na Wyspach Owczych i na Islandii. Badania archeologiczne nie dostarczyły jednak żadnego potwierdzenia iryjskiego epizodu osadniczego, co skłania do wątplenia w wiarygodność informacji zawartych w średniowiecznych kronikach i sagach, a także uznania, że pierwsi osadnicy zasiedlali tam ziemię „niczyją”.

Kiedy mogła powstać *Żegluga świętego Brendana opata*? Do naszych czasów przetrwało około 120 rękopisów. Najpowszechniejsza jest opinia, że dzieło napisano po łacinie w IX wieku. Niektórzy badacze częściowo zgadzają się z tym twierdzeniem, dodając jednocześnie, że pierwotna, prymitywna wersja tekstu istniała prawdopodobnie już za życia świętego Brendana.

Nawet jeśli przyjąć najbardziej konserwatywne stanowisko uczonych, to i tak relacja w *Żegludze świętego Brendana opata* wyprzedza jakiegokolwiek znane nam zapiski nordyckie na temat Nowego Świata. Niezależnie od siebie zachowały się dwa wątki tradycji o podróżach Brendana. *Żegluga...* zajmuje się jednym z nich, podczas gdy w *Żywocie Brendana (Vita Brendani)* podróż stanowi tylko część utworu.

Żegluga... jest czymś więcej niż znakomitym średniowiecznym utworem fantastycznym, którego zagadkowe fragmenty interpretowane przedtem jako wymyślne paralele w rzeczywistości okazały się relacją osnutą na faktach, łączącą elementy geografii i literatury w tak ścisłą całość, że trudno oddzielić prawdę od fałszu. Nie jest to jedyny tego rodzaju przypadek w historii literatury, gdzie w trakcie wielokrotnego ustnego i pisemnego przekazywania podstawowe dane zostają przyozdobione różnymi fantastycznymi detalami.

Błędem byłoby więc odrzucenie całej historii jako zmyślonej. Podobnie swoją relację przedstawił Krzysztof Kolumb po powrocie z Indii Zachodnich, a przecież nikt nie neguje faktu dotarcia przez niego do Ameryki. I tak, gdyby potraktować tekst *Żeglugi...* dosłownie, można zidentyfikować konkretne miejsca oraz zjawiska. Wyspa Owcza to jedna z... Wyp Owczych, podobnie jak Mykines (bądź Vegar) z tegoż archipelagu to opisywany przez świętego Brendana Ptasi Raj.

Natomiast Wyspa Kowali oraz Ognista Góra to południowe wybrzeże Islandii. Wątek Jaskoniusza – przyjaźnie nastawionej „wielkiej ryby”, która wiele razy powracała do skórzanego *curragha* – z dużą dozą prawdopodobieństwa ma swoje źródło w autentycznych reakcjach wielorybów, o czym wspominali pierwsi wielorybnicy. Tak wielkie stworzenia musiały wywrzeć niesamowite wrażenie na zakonnikach, którzy zapewne pierwszy raz w życiu widzieli baraszkujące olbrzymy. Brendan zinterpretował to na swój sposób:

„Synaczkowie, nie lękajcie się! Bóg bowiem objawił mi tej nocy w widzeniu tajemnicę tego zjawiska. To nie jest wyspa, gdzie byliśmy, lecz ryba, największa spośród wszystkiego, co pływa w Oceanie. Nieustannie stara się ona połączyć swój ogon z głową, lecz nie może tego osiągnąć z powodu swej długości” [15](#).

Nic zatem dziwnego, że proza z tamtego okresu nie potrafiła oddać pełnej doskonałości takich zdarzeń lub scen. Jak silne uczucia musiały one wzbudzać w średniowiecznych żeglarzach, którzy pragnęli i spodziewali się oglądać przedziwne dzieła Stwórcy? Czy można winić ówczesnych podróżników, że opisywali swe doznania z takim zachwytem, nadając im dodatkowego kolo-rytu?

Odkryto, tropiąc korzenie legendy o odważnym mnichu, że w klasztorach irlandzkich już w IX wieku wnikliwie studiowano antyczne zapiski w nadziei natrafienia na wskazówkę dotyczącą lokalizacji owych

„błogosławionych wysp”, gdzie można bez przeszkód i zmartwień poświęcać się wyłącznie kwestiom religijnym. Konsekwencją tych poszukiwań było najpierw osiedlenie się na Wyspach Owczych oraz Islandii, a potem wieści o legendarnych wyspach na zachodnim Atlantyku.

Marian Małowist, najwybitniejszy z polskich historyków zajmujących się morskimi odkryciami Portugalczyków, przedstawia ich dotarcie na Maderę i Azory, i wyklucza, że byli oni wówczas pierwszymi odkrywcami tych wysp:

„Czternastowieczne ekspedycje na wyspy oceaniczne zachowały się chyba w pamięci Portugalczyków. Na przełomie drugiego i trzeciego dziesięciolecia XV wieku, gdy w kraju zapanował pokój, pomyślano o podjęciu ich na nowo. Portugalczycy wylądowali na Maderze w bliżej nieznanym momencie, w każdym razie między r. 1418 i 1422, na Azorach zaś w 7 do 10 lat później. Wyspy Kanaryjskie znali od dawna” [16](#).

Jeśli na przełomie XIV i XV wieku istniał w łańskim chrześcijaństwie jakiś niespokojny duch, „łączący ponad podziałami” i uśmierający cywilizacyjne boleści, to nie należy go szukać w świecie uczonych i artystów, którzy uczynili niewiele albo zupełnie nic w celu rozpoczęcia europejskiej ekspansji, ale w psychice żeglarzy, odkrywców i osadników. To oni byli skromnymi bohaterami, którzy zdobyli w tamtym okresie jedyne nowe pogranicze dla bezwładnego i kurczącego się obszaru kulturowego: obszar nawigacyjny i terytoria na nieznanach uprzednio wodach, strefę między Azorami na północy, Wyspami Kanaryjskimi na południu oraz Półwyspem Iberyjskim i wybrzeżem Afryki na wschodzie [17](#).

„Większość z nich pozostała »zapomnianymi przewodnikami«. Ci, których znamy z nazwiska – zauważa Felipe Fernández-Armesto – zostali uwiecznieni przede wszystkim na mapach. Pamięć o Portugalczyku Diogo de Silvesie, któremu być może zawdzięczano w 1427 roku prawdziwe kłamstwo o Azorach, istniała wyłącznie na sporządzonej na Majorce mapie i została zatarta przez George Sand. Niezdarnym gestem wylała ona na mapę atrament podczas jednego z zimowych spotkań na Majorce z Chopinem” [18](#).

W większości pochodzili z Majorki lub Genui – rodzinnych stron „kipierów morza” – a także z Portugalii i Andaluzji. Często mieli za sobą doświadczenie krucjat, jak wywodzący się z Poitou Gadifer de la Salle, który w 1402 roku podbił królestwo na Wyspach Kanaryjskich, czy Joan de la Mora, kapitan floty króla Aragonii na wodach kanaryjskich w 1366 roku.

Szukali „rzek spływających złotem”, jak la Salle, lub niewolników, jak rodzina Perazów z Sewilli inicjująca serię podbojów i najazdów od 1393 roku [19](#).

Natomiast na temat relacji o podróżach braci Niccolò i Antonio Zeno najbardziej trafne stanowisko zaprezentował John L. Baker: „Nieco wcześniej, pomiędzy r. 1380 a 1395 Wenecjanie, Nicolo i Antonio Zeno, twierdzili, że żeglowali po Morzu Północnym i byli na Szetlandach, Wyspach Owczych i Islandii. Dziś jednak wszyscy uczeni zgadzają się, że podróż ta nigdy się nie odbyła, natomiast sprawozdanie o niej przyczyniło się do powstania błędnej mapy, która sprawiała kłopot kartografom przez przeszło stulecie i na podstawie której Frobisher sądził, że odkrył cieśninę wtedy, kiedy w rzeczywistości była to tylko zatoka u wybrzeży Ziemi Baffina” [20](#).

W miarę jak eksploracja wybrzeży afrykańskich od strony morza postępowała coraz dalej na południe, coraz więcej statków zapuszczało się na zachód, a raczej nadal na północny zachód. Przekroczono równik, na północy zaś João Vaz Corte-Real, Alvaro de Ornelas, Pêro de Barcelos, João Fernandes o przydomku Lavrador (Oracz) prawdopodobnie osiągnęli *Terra-Nova* (Nową Fundlandię) bądź Labrador. Lecz kiedy to nastąpiło?

W Lizbonie, w pewnym wytwornym hotelu na Avenida da Liberdade, ścianę przestronnego hallu zdobi mozaikowe panneau: na dziobie karaweli brodaty wilk morski wpatruje się w pochmurny brzeg. Pod marynarzem napis: João Vaz Corte-Real – odkrywca Ameryki w 1472 roku. João Vaz Corte-Real był żeglarzem, za jakieś odkrycia otrzymał w roku 1474 stanowisko gubernatora miasteczka Angra na azorskiej wyspie Terceira [21](#). Studium *Saudades da Terra*, które sto lat później sporządził kronikarz Gaspar Frutuoso, wskazuje, że nominacja miała być nagrodą dla João Vaza za odkrycie lądu nazwanego „Nową Ziemią Dorsza” (*Terra Nova do Bacalhau*) [22](#).

Dziś historycy spierają się, który ląd ochrzczono nazwą ryby. Może się to wiązać z pewną legendarną wyprawą, którą około 1470 roku mieli wspólnie przedsięwziąć królowie Portugalii i Danii. Okrętem pod banderą portugalską dowodził ponoć João Vaz Corte-Real, natomiast interesy Chrystiana I reprezentowali kaprzy Didrik Pining i Hans Pothorst oraz nawigator Johannes Scolvus (któremu Joachim Lelewel przypisywał polskie pochodzenie i identyfikował go z Janem z Kolna).

Według publikacji doktora Sofusa Larsena z Uniwersytetu Kopenhaskiego wyprawa rozpoczęła się w Bergen w Norwegii, potem uzupełniła zapasy na Islandii, częściowo opłynęła Grenlandię i ostatecznie dobiła do brzegów nowofundlandzkich lub labradorskich. Oznaczałoby to, że dopłynęła do Ameryki dwadzieścia lat przed Kolumbem! Nigdy pewnie nie uzyskamy jasnego dowodu na to, że rzeczywiście tak było i że w tym odkryciu wziął aktywny udział João Vaz Corte-Real.

Zainteresowania Portugalii nie ograniczały się jednak wyłącznie do południowych części Oceanu Atlantyckiego, sięgały też jego obszarów północnych, stanowiących dotąd wyłączne pole działania Skandynawów, Anglików i Niemców. O kontaktach z krajami północnej Europy świadczą wzmianki z lat 1448 i 1461, wspominające Duńczyków uczestniczących w wyprawach floty portugalskiej do Afryki. Niebawem doszło nawet do wyprawy odkrywczej, której patronowali monarchowie obu tych krajów ²³.

W liście Klausa Grippa, burmistrza Kolonii, pisany w 1551 roku do króla duńskiego, Chrystiana III, jest mowa o dwóch szyprach: Didriku Piningu i Hansie Pothorście, „którzy zostali wysłani z kilku statkami przez dziada W.K. Mości, króla Chrystiana I, na prośbę króla Portugalii [Alfonsa V] w celu odkrycia nowych wysp i ziem na północy” ²⁴. Pismo wzmiankuje, że wyprawa dotarła do nieodległych od Islandii wschodnich wybrzeży Grenlandii, a zatem na wody dobrze poznane jeszcze przez Normanów; nie precyzuje jednak, jaki był udział Portugalii w tym przedsięwzięciu. O wyprawie tej można powiedzieć z pewnością tylko to, że musiała się odbyć przed 1481 rokiem, kiedy zmarli obaj królowie, Chrystian I i Alfons V.

Legendę podsyca etymologia nazwy „Nowa Fundlandia”. Po łacinie i po portugalsku brzmi po prostu Terra Nova. Globus Frisiusa z 1536 roku ukazuje dwa lądy w okolicach kręgu polarnego na zachód od Grenlandii: Terra Corterealis oraz Baccalearum Regio. Co więcej, także dziś u wybrzeży nowofundlandzkich leży mała wyspa o nazwie Baccalieu, która nasuwa skojarzenia z portugalskim *bacalhau* (dorsz), a rybacy portugalscy wciąż zapuszczają się na zachodnioatlantyckie łowiska bogate w ten gatunek ryb. Wszak nie bez powodu mawia się, że w Portugalii dorsz serwuje się na 365 sposobów ²⁵.

Ryba ta była jednym z podstawowych składników pożywienia, ponieważ niemal połowę kalendarza zajmowały dni postne – dni solonego dorsza. Jego dostarczycielami byli Baskowie, bogacący się dzięki temu coraz

bardziej; znali łowiska, których miejsce utrzymywali w tajemnicy. Dorsz przybywał „zza morza”. Jak stwierdza znawca tematu, Mark Kurlansky:

„Dorsz stał się niemal symbolem religijnym i mitologicznym, krzyżowym rycerzem chrześcijańskiej obrzędowości [...]. Ale skąd się brało to całe dorszowe mięso? Baskowie, którzy nigdy nie zdradzili miejsca swojego pochodzenia, zatrzymali przy sobie i ten sekret. Około piętnastego stulecia utrzymywanie tej tajemnicy przestało być sprawą łatwą [...]. Bretończycy, którzy próbowali iść w ślady Basków, zaczęli wówczas mówić o krainie położonej za morzem” [26](#).

Wśród Basków zachowała się dość żywa ustna tradycja o odkryciu przed wieloma wiekami „kraju sztokfiszów”, lecz nie istnieją na to dowody w postaci relacji na piśmie, ponieważ wszystkie archiwa miast Basków zostały bez wyjątku zniszczone. Dopiero w roku 1436 Wenecjanin Andrea Bianco, oficer nawigator galer handlowych udających się do Tany, Bejrutu, Aleksandrii i Flandrii, rysuje mapy, na których po raz pierwszy pojawiają się zarysy wysp położonych na zachód od Madery, a także wysp leżących wyraźnie na północy, jak na przykład ta, którą nazywa wyspą Stockfixa (Sztokfisz). Na tak zwanej mapie z Yale, w roku 1444, ta sama wyspa nosi nazwę Vinland [27](#).

Także rybakom z Gaskonii już na kilka wieków przed Kolumbem nieobce były morskie łowiska Ameryki, dzięki czemu dorsz był doskonale znany na francuskich stołach: „Solonego dorsza należy spożywać z sosem musztardowym albo polać świeżo stopionym masłem” – zalecał w 1375 roku Guillaume Tirel, lepiej znany jako Taillevent, a przede wszystkim jako mistrz kucharski króla Francji Karola V.

Sto lat później, 12 grudnia 1476 roku, do Lizbony przybyli marynarze z genueńskich statków, które zostały uszkodzone podczas bitwy u Przylądka Świętego Wincentego. Był wśród nich także protektor Kolumba, Giovanni Antonio di Negro. W stolicy Portugalii nie zabawili długo. Również 12 grudnia wyruszyła z Genui w daleką drogę ekspedycja handlowa. Brał w niej udział brat owego przedsiębiorcy, Paolo di Negro, wysłany do Lizbony przez dom handlowy Centurionich [28](#).

Ekspedycja zdążyła do Anglii, a w Lizbonie miała zabrać marynarzy, którzy znaleźli tu schronienie po klęsce u Przylądka Świętego Wincentego. Przypuszczalnie w trzeciej dekadzie grudnia 1476 roku flotylla genueńska zarzuciła kotwice w Ristello, awanporcie Lizbony, zaś zaraz na początku

stycznia 1477 roku wyruszyła ku brzegom mglistego Albionu. Na jednym ze statków flotylli w daleką drogę wyruszył Kolumb.

„W roku 1477, w miesiącu lutym – pisał – pojechałem wodą sto *legoa* za wyspę Tile, której strona południowa oddalona jest od strefy równikowej siedemdziesiąt i trzy stopnie, a nie sześćdziesiąt i trzy, jak chcieliby niektórzy. Zaś wyspa ta nie leży w obrębie Ptolomeuszowego Zachodu, lecz położona jest o wiele bardziej na zachód. Zasię do tej wyspy, która jest jak Anglia duża, Anglicy jeżdżą ze swymi towarami, szczególnie żeglarze z Bristolu” [29](#).

W latach 80. XV wieku zawiął w powietrzu konflikt między kupcami z Bristolu i Hanzą – związkiem kupców miast północnych Niemiec, którzy zmonopolizowali bałtycki handel śledziami i usiłowali zrobić to samo z suszonym dorszem, odcinając kupców z Bristolu od możliwości kupowania islandzkiego dorsza. Próbując znaleźć nowe źródło zaopatrzenia w dorsza, bogaty urzędnik celny z Bristolu, Thomas Croft, zawiązał spółkę z miejscowym kupcem Johnem Jayem.

W roku 1481 wyposażyli dwa okręty i wysłali na poszukiwania łowisk dorsza. Nie zachowała się żadna relacja z tej wyprawy, ale faktem jest, że przywieźli tyle suszonego sztokfisa, że gdy w 1490 roku Hanza wystąpiła z ofertą negocjacji w sprawie przywrócenia handlu z Islandią, panowie Croft i Jay zignorowali propozycję. Dla nas ważniejsza jest informacja, jaką zamieszcza w swojej monografii o dorszu Mark Kurlansky. Dotyczy ona listu, który jakoby został wysłany do Krzysztofa Kolumba. Odnaleziono go w archiwum w Simancas.

Dokument jest pozbawiony daty i miejsca, pisany po hiszpańsku przez Anglika, Johna Daya, około 1498 roku, do osoby tytułowanej „Wielkim Admiralem” – czyżby Kolumba? Autor listu, angielski kupiec zamieszkały w Sewilli, omawia niedawną podróż Johna Cabota i oglądane przez niego ziemie, przy czym wypowiada niezmiernie ważne spostrzeżenie: „Nie ulega wątpliwości, że przyładek pomienionej ziemi odkryty został i znaleziony w innych czasach przez ludzi z Bristolu, którzy, jak to wiadomo Waszej Wysokości, odnaleźli Brazil. Był on nazwany: Ysle of Brazil, sądzi się więc i przypuszcza, że jest to ląd stały, który odkryli bristolczycy” [30](#).

Historycy angielscy po zbadaniu eksploracyjnych dotacji królewskich udzielanych naówczas kupcom brytyjskim przypuszczają, że taka wyprawa mogła się odbyć przed rokiem 1480 albo między 1481 a 1494. To przypuszczenie zostało niespodziewanie poparte do pewnego stopnia przez

list hiszpańskiego ambasadora w Londynie, Pedra de Ayala, do Ferdynanda i Izabeli, noszący datę 1498. Zawiadamiając o wyprawie Cabota, ambasador pisał: „W ciągu ostatnich lat siedmiu ludzie z Bristolu wyekwipowali dwie, trzy, cztery karawele, ażeby udać się na poszukiwanie wyspy Brazylii oraz Siedmiu Miast zgodnie z konceptami tego genuieńczyka” [31](#).

Nie pozostały żadne ślady tej wyprawy. Dwaj jej uczestnicy „byli dyskretni niczym Baskowie”. Przeciwko Croftowi wysunięto oskarżenie, gdyż angielski urzędnik celny nie mógł być zamieszany w handel z cudzoziemcami, a sądzono, że dorsz został gdzieś kupiony. Uniewinniono go jednak: przyznał, że dorsz nie został kupiony, lecz pochodził z wód Atlantyku. Regionem najbardziej kojarzonym z tą cenną rybą była następnie Nowa Fundlandia [32](#).

W świetle listu Daya owa wiadomość nabiera cech wiarygodności, ale zastanawia to, dlaczego wieści o odkryciu nie przedostały się do wiadomości publicznej? Tłumaczenie, że trzymano je w tajemnicy, aby nie zdradzić konkurentom położenia bogatych łowisk rybnych u wybrzeży Nowej Fundlandii, jest mało wiarygodne, zwłaszcza w świetle późniejszej wyprawy Johna Cabota z 1497 roku. Anglicy nie ukrywali bowiem swego zadowolenia ze znalezienia nowych łowisk, które uniezależniały ich rybołówstwo od konieczności korzystania z wód przybrzeżnych Islandii, gdzie napotykało ono bardzo dużą konkurencję hanzeatów [33](#).

Czy rację mają ci, którzy tłumaczą, że odkrycie nowej ziemi na zachodzie nastąpiło przypadkowo, a próby bristolczyków odnalezienia jej ponownie okazały się bezskuteczne? Na tle tych niepowodzeń można zrozumieć powierzenie owej misji Włochowi, Cabotowi, który znał się wyśmienicie na nawigacji, oraz radość, z jaką powitano w Anglii wiadomość o dotarciu przez niego do łowisk nowofundlandzkich. Nie wiadomo natomiast, czy Kolumb odpisał na list Daya, ale jak zauważa znawca tematu:

„Wysłany przez bristolskich kupców list zawierał stwierdzenia pozwalające przypuszczać, że Kolumb doskonale wiedział o tym, że oni już byli w Ameryce. Nie wiadomo, czy Kolumb kiedykolwiek odpisał na ten list. Nie musiał tego robić. Rybacy utrzymywali przy sobie swoje tajemnice, podczas gdy odkrywcy wołali o swoich wyczynach na cały świat” [34](#).

Prawdą jest, że celem Kolumba nie była Kraina Dorsza na Ławicy Nowofundlandzkiej, on ją chciał tylko opłynąć od strony południowej, i nie byłoby nic dziwnego w tym, gdyby usiłował dowiedzieć się jak najwięcej o żegludze po zachodniej stronie Atlantyku. Takie wiadomości były w posiadaniu nie tylko żeglarzy bretońskich i baskijskich, lecz także... afrykańskich, a usłyszeć je mógł podczas żeglugi wzdłuż wybrzeża Afryki Zachodniej.

W latach 1310–1312 na tronie królestwa Mali zasiadał Abu Bekr II. Władca ten zorganizował dwie wyprawy, aby dowiedzieć się, co kryje Ocean Atlantycki. W pierwszej ekspedycji podobno brało udział czterysta łodzi. Chihab Ad-Dine Abu-l-Abbas Ahmad Ben Fadhl al-Omari w swojej sławnej książce *Massalik al-absaar fi mamaalik al-amsaar* (*Ścieżki wzroku w regionach królestw*) szczegółowo opisał odkrycia geograficzne za „morzem mgły i ciemności” sułtanów Mali. Zdaniem Mariana Małowista, autora monografii *Wielkie państwa Sudanu Zachodniego w późnym średniowieczu*, nie ma potrzeby całkowitego odrzucania tej wiadomości.

Trzeba tylko zastrzec, że podana ogromna liczba łodzi jest na pewno znacznie przesadzona, można natomiast łatwo uwierzyć w smutny rezultat wyprawy, biorąc pod uwagę, że Malijczycy oraz ludność wybrzeży znali jedynie pirogi, wprawdzie bardzo duże, ale nadające się tylko do żeglugi rzecznej, ewentualnie do połowów ryb niedaleko wybrzeży nadmorskich ³⁵. Al-Omari zamieścił też przebieg rozmowy sułtana Ibn Amir Hadżiba goszczącego u siebie w Kairze Mansa Musę, następcę Abu Bekra II:

„Mój poprzednik na tronie nie chciał wierzyć, iżby niemożliwością było odkryć granicę morza. Pragnął wiedzieć i trwał przy swoim zamiarze. Wyprawił dwieście statków i zapełnił je ludźmi, a drugie tyle załadował złotem, wodą i żywnością na dwa lata podróży. Tym, którzy dowodzili statkami, powiedział: »Nie wracajcie, dopóki nie dopłyniecie do końca oceanu [Morza Otaczającego], albo dopóki nie wyczerpią się wam zapasy żywności i wody«.

Odplynęli więc. Minęło wiele czasu, a żaden z nich nie wrócił. Minęło jeszcze więcej czasu i wrócił jeden jedyny statek. Spytaliśmy jego dowódcę, co przeżyli i co ujrzeli po drodze. Odparł na to: »Władco mój, płynęliśmy długo, aż napotkaliśmy coś, co wyglądało jak rwąca rzeka pośród pełnego morza. Mój statek płynął ostatni. Inni popłynęli dalej, ale żaden z tych, co dopłynął do tego miejsca, nie wrócił i nie pojawił się

więcej. Nie wiem, co się z nimi stało. Co do mnie, zawróciłem z miejsca i nie popłynąłem tą rzeką».

Ale władca nie chciał w to wierzyć. Wyposażył więc dwa tysiące statków, tysiąc dla siebie i ludzi, którzy mieli mu towarzyszyć, a tysiąc z przeznaczeniem na ładunek żywności i wody. Powierzył mi władzę i wyruszył ze swymi towarzyszami w morze. Wtedy po raz ostatni oglądaliśmy jego samego i innych, tym sposobem zostałem wyłącznym władcą mego państwa” [36](#).

Czy Malijczycy mieli techniczne możliwości pokonania oceanu? Źródła etnograficzne i relacje Portugalczyków, którzy przedsięwzięli wiele wypraw wzdłuż wybrzeży Afryki Zachodniej, przynoszą wiadomości, że w tamtym regionie posługiwano się ogromnymi łodziami-dłubankami o długości dochodzącej do dwudziestu metrów i szerokości trzech metrów. Mimo że portugalskie środowisko żeglarskie cechowała swoista powściągliwość, prowadząca wręcz do polityki tajemnicy, która zubożała wszelkie informacje, jednak te o wielkich łodziach z pni drzew używanych na rzece Gambii przedostały się na zewnątrz.

Część z nich zawdzięczamy Wenecjaninowi, Alvise’owi da Ca’da Mosto, pływającemu na portugalskich karawelach, który pośmiertną sławę zyskał dzięki opisaniu swych przygód w dziele *Navigazioni*, opublikowanym w 1507 roku w Vicenzie. Przede wszystkim był kupcem, a nie badaczem, jakim uczyniła go później jego książka, jednak dość cenne są jego spostrzeżenia na temat owych łodzi-dłubanek. Według niego ich załogi liczyły 25–30 wioślarzy, a nieopodal przylądka Sagnes spotykano jednostki mające na swym pokładzie nawet 30–40 żeglarzy, ale oddajmy mu głos:

„[...] z ujścia jakiejś małej rzeczki wpadającej do owej dużej rzeki wyłoniły się nagle trzy małe czółna-almadie, na które my powiedzielibyśmy *zoppoli*; są one wydłubane z jednego pnia dużego drzewa i przypominają te małe łódki, które zazwyczaj płyną z tyłu za naszymi barkami [37](#) [...]. W czółnach mogło być od dwudziestu pięciu do trzydziestu Murzynów [38](#) [...]. Nazajutrz rano podpłynęły do naszych statków dwa czółna, takie same jak te, o których już wcześniej pisałem: były one bardzo duże, jedno nieomal długości naszych karawel, lecz nie tak wysokie. W tym większym było ponad trzydziestu Murzynów, a w drugim, mniejszym, szesnastu” [39](#).

Mowa o żeglarzach, choć tak naprawdę bardzo mało wiadomo o średniowiecznych łodziach afrykańskich wyposażonych w żagiel. Podobnie przedstawiają się olbrzymie dłubanki z Ghany, wykorzystywane w przybrzeżnej żegludze oceanicznej. Do ich napędu także używano wiosł i żagla, a jednostka taka była w stanie bez problemu wziąć na swój pokład kilka ton ładunku. Do tego typu łodzi należą współcześnie spotykane łodzie senegalskie z tak zwanymi „ostrogami”, będącymi przedłużeniem stępki, poruszane przy użyciu wiosł i składanego żagla. Zmaganie się z dużymi oceanicznymi falami miały ułatwiać dodatkowo nadbudowane burty.

Wiemy, że w rejonie Białego Przylądka Portugalczycy zastali w XV wieku ludność czarną, ale trudno stwierdzić, czy określenie to dotyczyło Berberów pomieszanych z Murzynami czy też już Uolofów, bardzo licznego czarnego plemienia zajmującego obszary nad dolnym Senegalem. Również w ich sposobie życia rybołówstwo odgrywało ważną rolę na wybrzeżach, przy czym posługiwali się bardzo zręcznie dłubankami, oddalając się niekiedy znacznie od brzegów lądu i wysp.

Byli także znakomitymi pływakami i świetnymi biegaczami. Należy jednak podkreślić, że zupełnie nie znali żeglugi dalekomorskiej. Pojawienie się portugalskich karawel, a więc w gruncie rzeczy niewielkich statków żaglowych, zrobiło na nich piorunujące wrażenie. Wyobrażali sobie podobno, że to upiory lub nieznanne olbrzymie ryby czy ptaki wodne [40](#).



*navire mouillé devant la
du Senegal.*



*la Coste d'Afrique
blancs jusqu'à
ombie, presentés à Mon
sieur le ministre, et Secret.
général des finances.*



Dawna francuska mapa ujścia Senegalu i okolic Saint Louis

Pewne wcześniejsze wzmianki wskazują na to, że w czasie panowania umajjadzkiego kalifa Abdula Rahmana III (929–961) muzułmanie afrykańskiego pochodzenia wypłynęli na zachód z hiszpańskiego portu Delba (Palos) do „oceanu ciemności i mgły”. Powrócili po długiej nieobecności z wieloma zdobyczami z „dziwnego i ciekawego kraju”. Dostępnych jest wiele innych źródeł, które mówią o przybyciu muzułmanów do Ameryki. Oto niektóre z nich.

Muzułmański historyk i geograf Abul-Hasan Ali ibn Al-Hussain Al-Masudi (871–957) napisał w swojej książce *Murudż adh-dhahab ła maadin aldżalhar* (*Łąki złota i klejnoty z metali szlachetnych*), że w czasie panowania kalifa Abdullaha Ibn Muhammada (888–912) muzułmański żeglarz pochodzący z hiszpańskiej Kordoby, Khashkhash Ibn Saeed Ibn Aswad, opuścił Delbę (dzisiejsze Palos de la Frontera) w 889 roku, przepłynął Atlantyk, dotarł do nieznanego terytorium (Ard Madżhula) i powrócił z cudownymi skarbami.

Muzułmański historyk Abu Bakr Ibn Omar al-Gutijja opowiedział, że w czasie panowania kalifa Hiszama II (976–1009) inny muzułmański żeglarz, Ibn Farruch, pochodzący z Grenady, wypłynął z Kadeszu (Kadyksu) w lutym 999 roku na Ocean Atlantycki i dotarł do Gando (Gran Canaria), odwiedził króla Guanariga i kontynuował swą podróż na zachód, gdzie ujrzał i nazwał dwie wyspy – Caprarię i Pluitanę.

Wrócił do Hiszpanii w maju 999 roku, o czym donosił On Manuel Osunay Savinon w *Resumen de la Geografia Fisica* z 1844 roku. Na mapie świata Al-Masudiego – autora książki *Akhbar az-zaman* (*Historia świata*), opartej na materiałach zebranych w Afryce i Azji – istnieje duży teren pośród „morza ciemności i mgły”, do którego odniósł się jako do nieznanego terytorium [41](#).



Mapa świata Al-Masudiego

Muzułmańskie źródła wymieniają ponadto dobrze udokumentowany opis podróży przez „morze mgły i ciemności”, którego autorem jest Szajch Zajn Eddine Ali Ben Fadhel al-Mazandarani. Jego podróż zaczęła się w południowomarokańskim mieście Tarfaja w czasie panowania króla Abu-Yacoub Sidi Youssefa (1286–1307), szóstego z dynastii Marynidów, potem wypłynął do Zielonej Wyspy na Morzu Karaibskim w 1294 roku. Szczegóły tej podróży wspomniane są w źródłach muzułmańskich i wielu muzułmańskich uczonych jest świadomych tego historycznego zdarzenia [42](#).



Arabski statek na ilustracji ze zbioru przypowieści al-Haririego z XIII wieku

W 1498 roku, podczas swojej trzeciej podróży do Nowego Świata, Kolumb wylądował na Trynidadzie. Potem wypatrył kontynent południowoamerykański, gdzie niektórzy z jego załogi zeszli na ląd i znaleźli rdzennych mieszkańców używających kolorowych chustek z symetrycznie utkanej bawełny. Kolumb zauważył, że chustki te swoimi kolorami, stylem i funkcją przypominały nakrycia głowy i przepaski na biodra ludzi z Gwinei. Odniósł się do nich jako *almayzar*, co jest arabskim określeniem opaski, okrycia lub fartucha, które było odzieniem Maurów:

„Noszą naokoło głowy chusty haftowane, jak rzekłem, a tak śliczne, że można by je wziąć za jedwabne zwoje mauretańskie. Inne, większe, noszą naokoło bioder, mężczyźni zarówno jak kobiety, okrywając się nimi jak

spódniczką. [...] Przynosili też kolorowe chusty bawełniane pięknie haftowane i tkane, które niemal nie różnią się od przywożonych z Gwinei i z nad rzek Sierra Leone [...] dalej powiada, że przypominają chusty mauretańskie” ⁴³.

W innym miejscu napisał, że: „Uzyskał jednak nieco złota, ale było to złoto liche, można by rzec, złota pozłotka” ⁴⁴. Indianie nazywali owo „liche złoto”, o którym wspomina admirał, guaninem. Słowo to ma być pochodzenia zachodnioafrykańskiego i tłumaczy się je jako „stop złota”. Co intrygujące, związane jest z arabskim słowem *ghinaa*, które oznacza „bogactwo”. Kolumb przywiózł trochę guaninu do Hiszpanii, gdzie poddano go badaniom. Okazało się ponoć, że metal składał się z osiemnastu części złota (56,25%), sześciu części srebra (18,75%) i ośmiu części miedzi (25%). Były to takie same proporcje jak w metalach wyrabianych w... afrykańskiej Gwinei ⁴⁵.

Jak zauważa Felipe Fernández-Armesto w monografii *Milenium*, w XIII wieku podupadająca gospodarka rejonu Morza Śródziemnego i Europy atlantyckiej nabrała impetu, gdy żeglarze mimo niesprzyjających prądów otworzyli dla niej Cieśninę Gibraltarską: teraz angielska wełna mogła bez przeszkód podróżować do doskonałych tkaczy w północnych Włoszech, a barwniki z Focji zaczęły trafiać do Flandrii. Ów protokapitalizm wymógł powstanie protoimperializmu, gdy rody kupieckie wysyłały swych przedstawicieli, aby zakładali nowe rynki poza granicami chrześcijaństwa.

Na początku XV wieku uwaga Luzytanów zwróciła się ku trasom dalszym, skierowanym na zachód: w 1425 roku Madera, a w 1427 Azory stały się kolejno terenami portugalskimi, zaś niewiele lat później infant Henryk Żeglarz skierował swą odkrywczą wyprawę ku brzegom afrykańskim. W ciągu kilku dziesiątków lat ekspansja morska na północ od 36 równoleżnika udostępniła Europie sektor oceanu liczący około dwa miliony kilometrów kwadratowych, o szerokości ponad 2200 kilometrów. Wyrysowano go natychmiast na portolanach, przeplatając nieco rzeczywistość fikcją i opatrując na przemian łacińskimi, włoskimi i katalońskimi nazwami ⁴⁶.

W użyciu były dwa rodzaje map: proste, ale dokładne portolany, oparte na konkretnych obserwacjach nawigatorów, zwanych wówczas pilotami, oraz znacznie bardziej skomplikowane i wymyślne dzieła kosmografów. Portolany pokazywały po prostu, jak żeglować z jednego do drugiego

punktu, natomiast kosmografowie próbowali uwzględnić w swych pracach cały wszechświat. Tworząc swoje przedstawienia, opierali się głównie na matematyce, podczas gdy nawigatorzy polegali na doświadczeniu i obserwacji. Ci drudzy ukazywali na mapach położenia portów oraz zarysy lądów i mórz; mapy kosmografów, pełne bałamutnych spekulacji, były często zupełnie bezużyteczne w nawigacji [47](#).

Powstanie portolanów jest ściśle związane z pojawieniem się busoli jako instrumentu powszechnie stosowanego w żegludze europejskiego południa. Najdawniejszą, bo mniej więcej z 1300 roku, zachowaną z tych map jest *Carta Pisana*. Wbrew jej nazwie bezsprzecznie pochodzi z Genui, zresztą aż do drugiej połowy XIV wieku nie znamy map żeglarskich, które nie wyszłyby z rąk Genueńczyków. Genueńczykiem był zarówno autor drugiego w kolejności z najstarszych portolanów, Giovannii de Carignano, jak i późniejsi od niego Pietro Vesconte i Angellino Dalorto; genueńskim dziełem był też atlas medycejski z 1351 roku [48](#).



Mapa Angelino Dulcerta z 1339 roku

Obok Genui najwcześniej wytwarzaniem portolanów zajęła się Wenecja i Katalonia. Weneckie mapy Marino Sanuto Starszego powstawały dzięki współpracy z Pietro Vesconte; pierwszy samodzielny portolan wenecki tworzy dopiero Pizzigano w 1373 roku. Znaczący średniowiecznej kartografii wskazują również na oryginalność i prężność środowiska majorkańskiego, w tym czasie nieustępującego genueńskiemu, czego dowodem może być mapa Angelino Dulcerta z 1339 roku, utożsamianego z Angelino Dalorto. Jego mapy stanowią swego rodzaju wzorzec, powielany na Majorce w ciągu trzech stuleci ⁴⁹.

Najwspanialsza ze wszystkich zachowanych do dziś średniowiecznych map, *Atlas kataloński* sporządzony na Majorce w końcu lat 70. lub na początku lat 80. XIV wieku, jest bogata i ozdobna niczym szkatułka pełna klejnotów, mieni się obrazami egzotycznych istot i niewypowiedzianej

obfitości. Na Oceanie Atlantyckim widać galerę z pełnym osprzętowaniem, płynącą wzdłuż pękatego wybrzeża Afryki.

Ważniejsza jest umieszczona obok legenda, która informuje o losach Jaume Ferrera, odkrywcy z Majorki, który przepadł bez śladu u wybrzeży afrykańskich w 1342 roku. O wyprawie Ferrera nie informuje żadne inne źródło, ale kontekst historyczny czyni ją wiarygodną, były to bowiem czasy nagłej i gwałtownej balearskiej gorączki złota z połowy XIV stulecia, kiedy bez umiarkowania wydawano licencje żeglarskie na podróże badawcze po afrykańskim Atlantyku [50](#).

Katalońskie portolany potwierdzają, że kartografowie szybko reagowali na wyniki kolejnych odkryć, korygując zarysy lądów i wprowadzając prawidłowe odległości między punktami ważnymi dla nawigatorów. Tak zwana mapa genueńska z 1457 roku, sporządzona przypuszczalnie na podstawie pamiętników weneckiego podróżnika Niccolo de'Conti, zredegowanych w roku 1447, mogła być znana Kolumbowi jako dokument potwierdzający możliwość osiągnięcia wybrzeży Azji przy żegludze w kierunku zachodnim [51](#).

Mimo że większość historyków geografii ustosunkowuje się jednak krytycznie do hipotez o rzekomych odkryciach Portugalczyków poprzedzających wyprawę Krzysztofa Kolumba, warto zastanowić się nad prawdopodobieństwem dotarcia żeglarzy portugalskich aż do ziem Nowego Świata. Mogą to sugerować niektóre ówczesne mapy, jak choćby ta przypisywana Zuane Pizzigano z 1424 roku, gdzie nazwa wyspy Antilia, pojawiająca się wówczas po raz pierwszy, być może dotyczy jakiegoś realnego odkrycia.

Także włoska mapa Andrea Bianco z 1448 roku umieszcza na krańcach Oceanu Atlantyckiego, na szerokości Zielonego Przylądka, zarys lądu z adnotacją: „autentyczna wyspa rozciągająca się o 1500 mil na zachód”. Ziemią tą mogło być północne wybrzeże Brazylii, położone istotnie w tej odległości od skrajnego przylądka zachodniej Afryki. Co ciekawe, na mapie Juana de la Cosy z 1500 roku widnieje z kolei prawidłowy zarys Zatoki Meksykańskiej, poznanej dopiero w toku późniejszych podróży, podczas gdy Kuba oznaczona została jako wyspa, mimo że opłynięto ją dopiero w 1509 roku [52](#).

Sam Kolumb kwestionował fakt, że Kuba jest wyspą. Podczas swojej drugiej wyprawy kazał 12 czerwca 1494 roku, w obecności notariusza

Fernanda Pereza de Luny, przysiąc wszystkim załogom, że Kuba i inne wyspy są fragmentem kontynentu, czyli Azji:

„Aby po zakończeniu podróży nikt nie miał podstaw do zaprzeczania przez złośliwość i oszczerstwo czy pomniejszania rzeczy, które zasługują na wiele pochwał, pan admirał wezwał mnie, notariusza, w imieniu ich Wysokości, aby zetknąć mnie z dobrymi świadkami na pokładzie każdej z karawel i aby domagać się od ich pana i jego towarzystwa, jak też od każdej innej osoby, która przez cały czas tam się znajdowała, aby ujawnili, czy mają najmniejsze wątpliwości, że ziemia ta jest stałym lądem, początkiem Indii i końcem drogi dla tych, którzy chcieliby przybyć do tych regionów z Hiszpanii drogą lądową.

Wezwałem ich, tak jak prosił mnie o to pan admirał, pod karą dziesięciu tysięcy merawedów dla kogoś, kto mówiłby w przyszłości coś innego, niż mówi obecnie, kiedykolwiek miałyby to miejsce, a także pod karą obcięcia języka, a dla chłopców okrętowych i podobnych karą stu batów i obcięcia języka” [53](#).

Operacja przebiegała sprawnie i jako pierwszy zaprzysiężony został sternik: „Francisco Niño z Moguer, sternik karaweli *Niña*, mówi pod przysięgą, że nigdy nie słyszał ani nie widział wyspy, która miałaby trzysta trzydzieści pięć legua wzdłuż tylko jednego brzegu, z zachodu na wschód (i jeszcze nie przebyto jej do końca). Teraz widzi, że wybrzeże skręca na południe i na południowy zachód i nie ma żadnej wątpliwości, że jest tam ląd stały.

Oświadcza on i potwierdza z kolei, że jest to ląd stały, a nie wyspa, i jest niewiele legua do przepłynięcia wzdłuż wybrzeża, zanim zostanie odnaleziony kraj zamieszkały przez cywilizowanych ludzi znających świat” [54](#).

Kolumba bierze w obronę Samuel E. Morison, który przekonuje, że wskutek częstego osiadania na mieliźnie karawele zaczęły mocno przeciekać, żagle się postrzępiły, zapasy żywności wyczerpały, i to dlatego Kolumb polecił prawie wszystkim marynarzom swej niewielkiej flotylii złożyć uroczyste oświadczenie, że Kuba stanowi część kontynentu i nie warto płynąć dalej, by udowodnić ten fakt, bowiem tak wielka wyspa w ogóle nie może istnieć [55](#).

Prawdą jest, że Kolumb nie był w stanie wyrzec się jakiejś teorii geograficznej, gdy raz ją przyjął. Gdy podczas drugiej wyprawy usłyszał od pewnego starego wodza: „Tam, w kraju *Magon*, ludzie mają ogony i noszą

długie szaty, bo się wstydzą swojej szpetoty”, to nazwa ta w jego uszach zabrzmiała jak *Mangi*, nazwa chińskiej prowincji, którą Marco Polo wymienił w opisie swojej podróży. Poza tym urojenie Kolumba, że ma do czynienia ze wschodnim brzegiem Azji, umocnił wygląd wybrzeża Kuby skręcającego nagle na południowy zachód, co dokładnie przypominało linię brzegową Półwyspu Malajskiego ⁵⁶.

Czyli wyprawie udało się jednak dotrzeć do wschodniej Azji! W dzienniku z pierwszej wyprawy Kolumb nazywał Kubę na przemian wyspą i prowincją Chin, jednak podczas pobytu w Hiszpanii zdecydował, że jest ona chińską prowincją *Mangi*. Tą nazwą Marco Polo obejmował całe Chiny Południowe: „Pewne jest – mówi admirał – że ta ziemia jest częścią kontynentu [...]. Poznaję to również po stanie morza, którego wygląd jest inny aniżeli tych, jakie poznaliśmy dotąd, zaś wczoraj płynąc na północny zachód czułem, że pochłodziło” ⁵⁷.

Poszukiwanie rozwiązania zagadki prawdziwego wyglądu świata ekscytowało wszystkich możliwych owego czasu. Mapa przywieziona przez Cantinę jest przepiękna. Tam, gdzie widnieje nazwa *Isabella*, leży Kuba przedstawiona jako wyspa. Przeczy to przekazowi, jakoby Kolumb miał tego nigdy nie wiedzieć i sądzić przez całe życie, że jest to ląd stały. Nieco bardziej na północ znajduje się Floryda. Mamy rok... 1502 ⁵⁸.

Na mapie Cantiny Wyspy Karaibskie, po raz pierwszy w nowożytnej kartografii, noszą poniekąd legendarną, jeżeli nie całkowicie nieznaną nazwę *Antilhas*, czyli Antyle. Wydaje się wskazane wyjaśnić tutaj, że odpowiadający temu terminu poznawczy, *Antilia*, uporczywie pojawiał się na kilku mapach średniowiecznych, oznaczając jakieś dalekie wyspy, które kosmografowie zazwyczaj lokowali pośrodku Atlantyku. *Ilia*, stara portugalska forma *ilha*, oznacza „wyspę”.

A zatem grupa wysp nazywana *Antilia* czy *Antilhas* oznacza „przed wyspami”, za którymi mogły być inne wyspy czy nawet ląd stały, co może sugerować, że Portugalczycy dotarli przynajmniej do skrajnych wysp Nowego Świata, a może nawet do samego kontynentu, około siedemdziesięciu lat przed Kolumbem. Według kronik kartograficznych nazwa *Antilia* pojawiła się na mapie morskiej z 1424 roku, przypisywanej Wenecjaninowi Zuane Pizzigano, oraz na dwudziestu innych mapach z XV wieku ⁵⁹.

Ten zbieg okoliczności jest zupełnie zdumiewający. Potwierdzenia wniosków o ewentualnym wcześniejszym odkryciu Antyli przez Portugalczyków można szukać w terminologii użytej na planisferze Cantina. Szczegółem, który uczynił tę mapę dosyć kontrowersyjną, było ukazanie nienazwanego lądu na północny zachód od Kuby. Współcześni geografowie nadal zastanawiają się, jak go zidentyfikować ⁶⁰.

Coś może być na rzeczy, bo na mapie z 1556 roku katalońskiego matematyka, inżyniera i kosmografa Gerónimo Giravy, gdzie przedstawione są obie Ameryki, Floryda jest przesunięta bardziej na północ, poniżej Tierra de Bacalaos. Podobny „błąd” odnajdujemy na mapie Nicolò Caveriego z lat 1504–1505, noszącej podpis genueńskiego kartografa. Znowu żadnej wątpliwości: jest tu Zatoka Meksykańska, Jukatan, Floryda. W tym świetle intrygująco brzmi zapisek Kolumba pod datą 21 listopada 1492 w dzienniku podróży z pierwszej wyprawy:

„Gdyby to było prawdziwe, powinien by się znajdować w owej chwili na wysokości Florydy albo niedaleko od niej; ale gdyby tak było, gdzie by się podziały dzisiaj te wszystkie wyspy, które jak twierdził, miał jakby pod ręką? Co go utwierdzało w jego mniemaniu, to fakt, że było bardzo gorąco, a jest rzeczą oczywistą, że gdyby był w pobliżu wybrzeża Florydy, nie mogłoby być gorąco, ale raczej chłodno; nie ma wątpliwości, że w żadnej części świata znajdującej się o 42 stopnie od równika, nie mogło być gorąco, chyba przez jakieś zjawisko nadzwyczajne, o jakim – o ile mnie wiadomo – nikt dotąd nie słyszał” ⁶¹.

Jak słusznie zauważa Ruggero Marino, dziwne jest, że wspomina się w *Dzienniku podróży*, mimo że później przepisany, półwysep jeszcze nieodkryty, który w opisie podróży z 1492 roku nie powinien być absolutnie wymieniany. Niektórzy historycy-kosmografowie brytyjscy skłaniają się do koncepcji – jako dosyć rozsądnej ze względu na bliskość geograficzną Kuby w stosunku do Florydy ⁶² – że jakoby zbadali go Portugalczycy w nieujawnionym czasie.

Równie intrygujące zdarzenie miało miejsce podczas poprzedniego rejsu, kiedy Kolumb po wylądowaniu na Gwadelupie odnotował:

„W jednym z domów znaleźli coś, co wyglądało na żelazny garniec [...] a jest tu i osobliwość pośród tubylców – pawęż ⁶³ żaglowca. Musiała przydryfować tu przez ocean z jakiegoś cywilizowanego kraju. Może to część wraku „Santa Marii”. Potem wszyscy stanęli w przerażeniu na widok

stosu ludzkich kości – prawdopodobnie były to resztki z wielu przerażających posiłków” [64](#).

Jest praktycznie niemożliwe, by pawęż znaleziony w północno-zachodniej części Gwadelupy pochodził z „Santa Marii”, ponieważ rozbiła się ona u północnych krańców Haiti, a Prąd Zatokowy toczy swe wody dokładnie w odwrotnym kierunku od Gwadelupy – na północny zachód. Nie wiemy nic na temat pochodzenia garnca, ale jedno jest pewne: na wyspach karaibskich ani w całej Ameryce Południowej nie ma złóż żelaza. Jak przedmiot wykonany z tego metalu dostał się na wyspę?

„Można nawet wysunąć hipotetyczne pytanie – sugeruje profesor Edmund Urbański – czy to nie było początkiem jego błędnej »wyspiarskiej koncepcji« Ameryki. Kronikarz-misjonarz Las Casas, który wkrótce potem przebywał w Hispanioli, twierdził, iż słyszał od tubylców, że na tej wyspie byli już przedtem biali ludzie. Czy wrak okrętu Sancheza, odnaleziony przez Kolumba na morskim wybrzeżu Gwadelupy, nie był tak samo skonstruowany, jak jego karawela?” [65](#).

Listę geografów, którzy wiedzieli dużo więcej, niż powinni, można by ciągnąć. Czy to mieszkających w Portugalii, czy w Genui, czy w innych miastach Italii. Nawet tych z Palma de Mallorca, ale zawsze są to miejsca kojarzone z niespokojnym przemieszczaniem się i licznymi ojczyznami Krzysztofa Kolumba [66](#).

Data *predescubrimiento* („przedodkrycia”) istnieje w sposób niepodważalny na mapie z 1513 roku admirała Piriego Reisa, na której „nieznana” Ameryka obecna jest z długimi fragmentami niezbadanych jeszcze wybrzeży. Pojawiają się tam regiony, które będą odkryte (lub odnalezione) nawet wieki później. Ba, miałyby one przedstawiać wybrzeża Antarktydy, zidentyfikowane w miejscu Ziemi Królowej Maud i to przed zlodowaceniem.

Turecki admirał ukończył pracę nad swoją pierwszą *Mapą świata* w 1513 roku, ale dopiero podczas wyprawy do Egiptu, w której uczestniczył w 1517 roku, wręczył ją sułtanowi Selimowi. Niestety do dzisiaj zachował się tylko jej fragment. Owa 86-centymetrowa część w dziewięciu kolorach została sporządzona na skórze gazeli. Znaleziono ją przypadkiem w pałacu Topkapi w 1929 roku. Zwróciła ona uwagę całego świata ze względu na doskonałość sztuki kartograficznej. Gdy porównywano ją ze zdjęciami z lotu ptaka, zauważono wielkie podobieństwo, co zaintrygowało kręgi naukowe. Najważniejszym

dowodem na to, że Piri Reis korzystał z mapy Kolumba podczas sporządzania własnej, jest przedstawienie Kuby właśnie jako półwyspu.

Istnieje wiele teorii lub legend na temat naderwania mapy. Według jednej z nich, kiedy Piri wręczył ją sułtanowi, on spojrzął na nią i powiedział: „Jaki świat jest mały [...]”. Potem naderwał mapę i rzekł: „My będziemy mieć w ręku cały wschód świata [...]”. Następnie wyrzucił tę część, która zachowała się do naszych czasów. Według innej wersji sułtan zabrał „wschodnią część” mapy, żeby sprawować kontrolę nad Oceanem Indyjskim i „szlakiem przypraw” oraz korzystać z niej podczas podróży morskich. Najprawdopodobniej powyższe hipotezy są błędne (zresztą trudno naderwać mapę sporządzoną na skórze). Mapa zapewne zniszczyła się z powodu złych warunków przechowywania ⁶⁷.

Przypuszczano, że Piri Reis zdobył mapę Kolumba w roku 1501. W ręce Piriego i Kemala Reisa u wybrzeży Hiszpanii wpadł wówczas jakiś statek wracający z trzeciej wyprawy Kolumba. Znajdowało się tam wiele rzeczy z Nowego Świata oraz kilka map. Piri opowiedział o tych ciekawych zdobyczach w dziele *Kitab-i Bahriye* oraz w notatkach znajdujących się na stworzonej przez siebie mapie, gdzie chwalił się, że poznał historię wypraw Kolumba od niewolnika Kemala Reisa, Rodrigo, który brał udział w trzech wyprawach wielkiego odkrywcy ⁶⁸.

Równie intrygujący jest podpis towarzyszący ilustracjom: „Wybrzeża te nazywają się litoralem antylskim. Zostały odkryte w roku 890 [1485] epoki arabskiej [...]. Wpadła w ręce Kolumba książka, z której dowiedział się, że na krańcach Morza Zachodniego, to jest na Zachodzie, istniały wybrzeża i wyspy, wszelkiego rodzaju kopalnie, a także kamienie szlachetne [...]. Brzegi i wybrzeża figurujące na tej mapie zostały wzięte z mapy Kolumba [...], nikt w obecnym wieku nie posiada podobnej do tej mapy, opracowanej i narysowanej przez niżej podpisanego (*bu fakir*). Niniejsza mapa jest wynikiem badań porównawczych i dedukcyjnych sporządzonych na podstawie dwudziestu map, pośród których znalazła się mapa sięgająca czasów Aleksandra Wielkiego i zawierająca cały zamieszany obszar, rodzaj mapy, którą Arabowie nazywają *ca' feriyye* [...] i w końcu mapa Kolumba, na podstawie której opracowałem półkulę zachodnią” ⁶⁹.

Zdaniem Ruggero Marino określenie „brzegi i wybrzeża” oznacza „wyspy i lądy”, o których istnieniu Kolumb przekonywał. Są to porty, gdzie Hiszpania będzie mogła zatknąć bezkarnie swe sztandary. Mapa, a jesteśmy po 1500 roku, zawiera nowe i zdumiewające elementy wynikające z wiedzy

chrześcijanina. Ponadto Piri Reis pisze o dwóch karawelach. Na pierwszą znaną wyprawę Kolumba wyruszyły trzy, co skłania do nęcącego przypuszczenia, że Turek mógł mieć na myśli jakąś wcześniejszą ekspedycję [70](#).

Niewykluczone, że mógł się o niej dowiedzieć od samego Kolumba, bo do 1494 roku Piri podróżował po różnych zakątkach Morza Śródziemnego. Szczególnie dokładnie poznał jego zachodnie wybrzeże. On i jego wuj Kemal Reis odegrali ważną rolę w przetransportowaniu muzułmanów z Granady do Afryki (w 1486 roku musieli oni opuścić swoją ojczyznę z powodu ucisku) oraz Żydów wypędzonych z Hiszpanii w 1492 roku do państwa osmańskiego i innych krajów [71](#).

Niektórzy twierdzą, że zero w starym dokumencie, o spłowiałym piśmie, niełatwej interpretacji, łatwo można pomylić z szóstką. Nie bez przyczyny niektórzy piszą 896. Także Paolo Emilio Taviani, największy włoski badacz Kolumba, mówi o „roku 896 według kalendarza arabskiego”. Czyżby więc wielka omyłka? Niezupełnie, jako że ta arabska data odpowiada latom 1490–1491 ery chrześcijańskiej [72](#).

A nikt mi nie wmówi, że 0 w jakikolwiek sposób przypomina 7, bo poprawna data arabska powinna brzmieć: 897 rok Hadry. I który to raz w przypadku Kolumba mamy przyjąć tezę o pomyłce jako najprostszym wyjaśnieniu? Równie prostym tłumaczeniem jest fakt, że przed 1492 rokiem miała miejsce jakaś ekspedycja do Nowego Świata i niewykluczone, że brał w niej udział Kolumb. Potwierdzały to pewien dokument, którego najstarsze kopie pochodzą z 1495 roku. Zawierają one przywileje z 17 kwietnia 1492 roku nadane mu przez królów hiszpańskich przed wyprawą w pierwszą podróż transatlantycką.

Mówi się o przywilejach zwanych również Kapitulacjami z Santa Fé. Kopia tych ustaleń znajduje się w Archiwum Aragońskim, a druga – w Archiwum Generalnym w Sewilli. Są to odpisy potwierdzone przez ówczesnych notariuszy Królewskiej Provision z 10 kwietnia 1495 roku i posłużą potem Kolumbowi do obrony swoich przywilejów podczas procesu sądowego założonego przez Koronę. *Capitulación* po hiszpańsku oznacza „kontrakt”, ale także „kapitulację”. Kronikarze twierdzili, że ta druga nazwa byłaby bardziej odpowiednia, bo para królewska skapitulowała wobec Kolumba na całej linii.

Las cosas que se compran en las dhas. Aldeas don conreya...
 non en alguna parte de lo que ha de ser en las mares
 oratorias y del viaje que se ha de hacer en las dhas. Aldeas
 en las dhas. Aldeas don conreya...

Primeramente que viene al. como son los que son de las dhas. mares oratorias...
 apora al dho. don conreya y Colon si al dho. en las dhas. mares oratorias...
 mes q por la mano de Indyma se descubierta o parare en las dhas. mares oratorias...
 para durre su vida y de pnes del mundo a sus herederos o sucesores...
 pertenecientes al tal oficio de don alonso en su oficio...
 de muelle e los otros sus predios...
 Plaze a sus Altezas Johan de Toloma

Otro es que viene al. fize al dho. don conreyal su oficio...
 Las dhas. tierras firmes e y las que como dho. es el dho. oficio...
 dhas. mares e que para el oficio de mdsima igualdad de las dhas. mares...
 de tres personas por cada oficio que viene al. como y pasan uno el que mas fuere...
 si fuere castellan mejor recibidas las tierras o uno de los dhas. fillas...
 Juan de Toloma

Item q de todas iguales que se compran en las dhas. mares...
 oro plata perlas e otras cualesquiera cosas e mercancías de qualquier parte...
 noble e mudo q sean q se compran en las dhas. mares...
 los límites del dho. almirante q de donde apora dhas. Aldeas...
 al dho. don conreyal e que se han de llevar para el dho. oficio...
 ello guardadas las cosas q se fiziere en ello por mano q del dho. oficio...
 el dho. oficio de mdsima igualdad de las dhas. mares...
 oficio de mdsima igualdad de las dhas. mares...
 Plaze a sus Altezas Johan de Toloma

Otro es que si alguna de las mercancías que se compran en las dhas. mares...
 q assi se compran en las dhas. mares o descubiertas o de las q entran...
 de agua de cosas que se compran en las dhas. mares...
 como es el dho. oficio de mdsima igualdad de las dhas. mares...
 como se compran en las dhas. mares...
 Plaze a sus Altezas Johan de Toloma

Item q en todas las nauias q se compran para el dho. oficio...
 y quantos de las dhas. nauias que se compran para el dho. oficio...
 en las dhas. mares...
 Plaze a sus Altezas Johan de Toloma

Don conreyas e de las dhas. mares con los dhas. oficios en fin...
 de cada un capitulo en la villa de Santa Fé de la Vega de Granada

Yo el Rey
 Yo el Rey
 Por mandado del Rey e del Rey
 Juan de Toloma

Kapitulacja z Santa Fé

We wprowadzeniu do tego kontraktu czytamy: „To, o co prosił Don Cristóbal Colón, zostało łaskawie udzielone przez Ich Wysokości, jako wynagrodzenie za odkrycia dokonane za oceanem i za podróż, którą teraz rozpoczyna z Bożą pomocą”. Przystano więc na wszystkie żądania, które Ich Wysokościom oraz dworowi jeszcze kilka tygodni wcześniej zdawały się wytworami nadętego pyszałka.

Ba, dalej jest jeszcze ciekawiej. Wersja hiszpańska kapitulacji z Santa Fé, a właściwie jej początek, brzmi: „[...] que vuestras altezas dan e otorgan a don Christoual de colon en alguna satisfacion de lo que ha descubierto en las mares oceanas y del viage que agora con el ayuda de dios ha de fazer por ellas en seruicio de vuestras altezas son las que se siguen”. Co w tłumaczeniu na język polski oznacza: „[...] to, o co błagał Wasze Wysokości don Cristóbal Colón, i co mu zostało przyznane, by nagrodzić go w jakiś sposób za to, co **ODKRYŁ** [podkreślenie moje – J.M.] na wodach oceanów, i na poczet podróży, jaką, z pomocą Bożą, zamierza właśnie przedsięwziąć na wspomnianych wyżej wodach”.

Już od czasów Kolumba, jak to wielokrotnie powtarzałem, Portugalczycy byli przekonani, że na południu rozciągają się bezkresne ziemie. W 1989 roku badacz Greg Jefferys odnalazł okręt wojenny w morzu u wybrzeży Australii, potwierdzając tym samym hipotezę zawartą w książce z 1977 roku Kennetha McIntyre’a *The Secret Discovery of Australia*. Na plaży w pobliżu Warrnambool w stanie Victoria odnaleziono również kule armatnie, wyroby i kości białego człowieka.

Mógł to być okręt portugalski, który (w literaturze funkcjonuje jako wrak „Mahogany”) dotarł tu dwieście lat przed pojawieniem się w tych stronach Jamesa Cooka. Wiemy dziś z całkowitą pewnością, że Jan II rozkazał fałszować zarówno miarę stopnia, jak i podawać umyślnie zbyt duży wynik pomiarów, starannie ukrywając nie tylko znajomość najlepszej drogi do Indii, lecz także położenie wielkich ośrodków Lewantu względem Afryki.

Nawet Kolumb słyszał, że król Jan był przekonany, że gdzieś na zachód lub na południe od Wysp Zielonego Przylądka znajdowała się wielka ziemia. Admirał wiedział z doświadczeń Portugalczyków, że w zwrotnikowej części Atlantyku należy jak najdalej odsuwać się na południowy zachód, wykorzystując prądy i pomyślne wiatry. Na paradoks zakrawa bowiem, że prawa prądów na południowym Atlantyku przekreślają aksjomat Euklidesa ⁷³.

Z Lizbony do Indii najkorzystniej jest płynąć nie po linii prostej wzdłuż afrykańskiego brzegu, lecz trasą znacznie dłuższą – najpierw do wybrzeży Brazylii, następnie zaś, obierając kurs na południowy zachód, do Przylądka Dobrej Nadziei. Niektórzy historycy uznali politykę zatajania za przyczynę tego, że żadna z kolejnych wypraw nie doprowadziła do zawładnięcia ziemiami. Za Afonso V, João II i Manuela I Korona nadaje wyspy i lądy; wśród nich nieodmiennie jest mowa o Antilii i Sete Cidades, a odwiedzanymi akwenami są obszary północno-zachodnie.

Kolumb widział ponoć przed rokiem 1484 na drodze do Gwinei Portugalczyków mierząc wysokość Słońca. Nie można także wykluczyć, że Martin Behaim, twórca słynnego globusa, spotkał się z Kolumbem osobiście w Lizbonie, ale ten wątek pojawił się także stosunkowo późno, co oczywiście stawia pod znakiem zapytania jego wiarygodność. Oto Antonio de Herrera, historyk hiszpański, mianowany przez króla Filipa II pierwszym historiografem Indii i Kastylii, a potem sekretarzem stanu, przedstawił w pierwszych latach XVII wieku w swym podstawowym dziele *Historia general* następującą opinię: „Kolumb w swym poglądzie, by drogi morskiej do Indii szukać w kierunku zachodnim, utwierdzony został przez swego przyjaciela Martina Behaima, Portugalczyka z wyspy Faial i ważnego kosmografa” ⁷⁴.

Pomocne okazywały się nie tylko mapy, lecz także takie przyrządy jak astrolabium, o którym wielokrotnie wspomina kronikarz dworski z XV wieku, Gomes Eanes de Zurara, autor m.in. opisu nawigacji wzdłuż wybrzeży Afryki i odkrywania nowych ziem w służbie infanta Henryka Żeglarza. Kunszt żeglarzy portugalskich był powszechnie uznawany, w 1506 roku agent wenecki Leonardo Ca Messer zanotował pod ich adresem: „Po wypłynięciu przez około trzy miesiące nie widzą lądu. Żeglują, kierując się wysokością Słońca mierzoną za pomocą astrolabium. Dotarłszy do celu, po tylu dniach wiedzą, gdzie się znajdują” ⁷⁵.

Kolejną zagadkę pozostawił nam kronikarz i uczestnik wyprawy Magellana, Włoch Antonio Pigafetta, który zaciągnął się na wyprawę w charakterze tajnego pisarza admirała. Nastroje panujące wśród żeglarzy przed wpłynięciem do Cieśniny Magellana opisał w sposób następujący: „Bez wiedzy naszego kapitana nie można było wpłynąć do cieśniny, gdyż wszyscy byliśmy przekonani, że ona nie ma wyjścia. Nasz kapitan jednak wiedział, gdyż widział ją na jednej mapie morskiej przechowywanej

w skarbcu króla Portugalii, którą wyrysował wspomniały kosmograf Martin Behaim” [76](#).

Wojciech Iwańczak przypuszcza, że może tu chodzić o mapę Behaima, którą Magellan ukradł ze skarbcza królewskiego przed swą ucieczką z Lizbony, jeśli informacja Pigafetty jest oczywiście prawdziwa. Wiadomo, że Magellan – podobnie jak Kolumb – bezskutecznie przekonywał króla Portugalii Manuela do poparcia swych planów. Rozżalony wstąpił na służbę hiszpańską i zamieszkał w Sewilli. Wspomniana wyżej hipotetyczna mapa Behaima mogła być decydującym argumentem, by przekonać cesarza Karola V Habsburga do poparcia wyprawy do Indii drogą zachodnią [77](#).

O powstawaniu map przekonujemy się, podobnie jak w wypadku pięknie iluminowanych dzieł, przy okazji nadzwyczajnych przedsięwzięć. Ba, zawartość tych map często kryje wiele niespodzianek. Na przykład w 1500 roku, w momencie odkrycia Brazylii, *mestre* João, fizyk i chirurg królewski floty Cabrala, pisze, że stara mapa należąca do niejakiego Pedro Vaz Bisagudo prawidłowo określała położenie tego lądu [78](#).

Z kolei Vasco da Gama, zamiast płynąć 3370 mil szlakiem przybrzeżnym do Przylądka Dobrej Nadziei, śmiało skręcił od wybrzeża Sierra Leone na południowy zachód, zataczając potężny łuk w kierunku Brazylii. Jeśli nie uzyskał od poprzednich żeglarzy informacji o panujących tu wiatrach (i, być może, o istnieniu lądu w kierunku zachodnim), to uwzględniając ówczesny „oficjalny” stan wiedzy, taki pomysł był nonsensem. Ale jeśli wiedział, że jeżeli skręcą na zachód, to unikną przeciwnych i niebezpiecznych wiatrów przybrzeżnych – była to jedyna słuszna decyzja. Pytanie: skąd ta wiedza?

Czy był w posiadaniu na przykład planisfery z 1459 roku, autorstwa Fra Mauro – kartografa z wysp San Michele na Lagunie Weneckiej, gdzie widnieje prawidłowy kształt Przylądka Dobrej Nadziei na trzydzieści lat wcześniej, nim opłynął go Bartolomeu Diaz? Portugalski historyk, Antonio Galvão, wspomina o mapie, jaką dom Pedro, brat Henryka Żeglarza, przywiózł w 1428 roku z Wenecji. Naniesiono na niej nie tylko Przylądek Dobrej Nadziei, lecz także Cieśninę Magellana – niemal wiek wcześniej przed jej „odkryciem”!

Zarówno ta mapa, jak i mapa Borgii są wyjątkowe także pod innym względem – wykazują bowiem bardzo mało podobieństw z pozostałymi mapami świata wykonanymi przez kartografów działających w XV wieku. Mapa genueńska prezentuje ziemię o niezwykłym, migdałowym kształcie,

mapa Borgii zaś ma orientację południową, a Europa jest na niej nieproporcjonalnie powiększona kosztem pozostałych kontynentów. Najwyraźniej ci dwaj kartografowie z dużą swobodą traktowali wzorce, z jakimi mogli się zetknąć, wykonując swój zawód, i nie naśladowali rozwiązań obiegowych ⁷⁹.

Czytając dzieło *Historia de los Reyes Católicos* Andresa Bernaldeza, napotykamy na intrygujący fragment: „Krzysztof Kolumb przybył na dwór króla Ferdynanda i królowej Izabeli i zdał im sprawę ze swych wyobrażeń, w które oni nie bardzo uwierzyli, lecz on im opowiadał i zapewniał, że to prawda, i pokazał im *mapamundi*” ⁸⁰. Portugalczycy, Genuieńczycy, Wenecjanie, Katalończycy, każda żeglarska nacja była w posiadaniu własnych locji i portolanów – arcysekretnych, bo strzeżonych lepiej od źrenicy w oku. Ci nowi argonauci wiedzieli wiele, lecz swymi informacjami nie dzielili się z nikim i sprytnie wprowadzali konkurentów w błąd.

1. A. Piskozub, Leksykon morskich odkryć geograficznych, Gdańsk 1996, s. 110. [\[wróć\]](#)
2. P. Herrmann, op. cit., s. 262. [\[wróć\]](#)
3. T. Severin, Podróż „Brendana”, przeł. I. Gurska, Gdańsk 1983, s. 339. [\[wróć\]](#)
4. Ibidem. [\[wróć\]](#)
5. E. Derdziuk, Mnisi iroszkoccy. Święty Kolumban Młodszy – ewangelizacja Europy, Lublin 1997, s. 38–39. [\[wróć\]](#)
6. Żegluga świętego Brendana opata, przeł. I. Lewandowski, Poznań 1992, s. 108. [\[wróć\]](#)
7. Ibidem, s. 29. [\[wróć\]](#)
8. Ita – pobożna niewiasta królewskiego rodu, zarządzała klasztorem Killeedy (Ceall Ita), gdzie Brendan spędził pięć lat. [\[wróć\]](#)
9. Żegluga..., s. 29–30. [\[wróć\]](#)
10. Ibidem, s. 42. [\[wróć\]](#)
11. E. Derdziuk, op. cit., s. 41. [\[wróć\]](#)
12. Ibidem, s. 43–44. [\[wróć\]](#)
13. P. Urbańczyk, Zdobywcy..., s. 59–60. [\[wróć\]](#)
14. Ibidem, s. 43. [\[wróć\]](#)
15. Ibidem, s. 119. [\[wróć\]](#)
16. M. Małowist, Konkwistadorzy portugalscy, Warszawa 1976, s. 58. [\[wróć\]](#)
17. F. Fernández-Armesto, Milenium. Historia ostatniego tysiąclecia, przeł. R. Bartoń, J. Grzegorzczak, J. Polak, J. Ruszkowski, Poznań 1999, s. 165–166. [\[wróć\]](#)
18. Ibidem, s. 166. [\[wróć\]](#)
19. Ibidem, s. 166–167. [\[wróć\]](#)
20. J.L. Baker, Odkrycia i wyprawy geograficzne, przeł. J. Flis, Warszawa 1959, s. 40–41. [\[wróć\]](#)
21. J. Swiet, Kolumb, przeł. M. Kalisz, Warszawa 1982, s. 81. [\[wróć\]](#)
22. M. Makarewicz, Corte-Real: klan odkrywców Ameryki, „Focus Historia” 2014, nr 9, s. 64–65. [\[wróć\]](#)
23. K. Ślaski, Poprzednicy..., s. 179. [\[wróć\]](#)
24. Ibidem. [\[wróć\]](#)
25. M. Makarewicz, op. cit., s. 65. [\[wróć\]](#)
26. M. Kurlansky, Dorsz. Ryba, która zmieniła świat, przeł. J. Jackowicz, Warszawa 2004, s. 31. [\[wróć\]](#)
27. J. Attali, 1492, przeł. E. Bąkowska, M. Pilot, H. Igalson-Tygielska, Warszawa 1992, s. 131. [\[wróć\]](#)
28. J. Swiet, op. cit., s. 45. [\[wróć\]](#)
29. H. Colon, op. cit., s. 56. [\[wróć\]](#)
30. Cyt. za: K. Ślaski, Poprzednicy..., s. 181. [\[wróć\]](#)
31. E.S. Urbański, Hispanoameryka i jej cywilizacje. Hispanoamerykanie i Angloamerykanie, przeł. B. Zieliński, Warszawa 1981, s. 262. [\[wróć\]](#)
32. R. Marino, Krzysztof Kolumb, przeł. H. Cieśla, Warszawa 2009, s. 172. [\[wróć\]](#)
33. K. Ślaski, Poprzednicy..., s. 181–182. [\[wróć\]](#)
34. M. Kurlansky, op. cit., s. 34. [\[wróć\]](#)

35. M. Małowist, *Wielkie państwa Sudanu Zachodniego w późnym średniowieczu*, Warszawa 1964, s. 77. [\[wróć\]](#)
36. Cyt. za: J. Machowski, *Odkrywczy Ameryki. Dzieje przedkolumbijskich kontaktów między Starym i Nowym Światem*, Warszawa 1983, s. 280. [\[wróć\]](#)
37. Ca' da Mosto posługuje się tu włoskim słowem burchi, chodzi o płaskodenne barki używane w północnych Włoszech. [\[wróć\]](#)
38. A. da Ca' da Mosto, *Podróże do Afryki*, przeł. J. Szymanowska, Gdańsk 1994, s. 56–57. [\[wróć\]](#)
39. Ibidem, s. 73. [\[wróć\]](#)
40. *Morze...*, s. 448. [\[wróć\]](#)
41. *Other Routes: 1500 Years of African and Asian Travel Writing*, red. T. Khair, M. Leer, J.D. Edwards, H. Ziadeh, Oxford 2006, s. 12. [\[wróć\]](#)
42. F.W. Dame, *The Muslim Discovery of America*, Norderstedt 2013, s. 64. [\[wróć\]](#)
43. K. Kolumb, op. cit., s. 192 i 208. [\[wróć\]](#)
44. Ibidem, s. 208. [\[wróć\]](#)
45. J.B. Thacher, *Christopher Columbus*, New York, 1950, s. 380. [\[wróć\]](#)
46. M. Mollat du Jourdin, *Europa i morze. Tworzenie Europy*, przeł. M. Bruczkowska, Warszawa 1995, s. 130. [\[wróć\]](#)
47. L. Bergreen, *Poza krawędź świata. Opowieść o Magellanie i jego przejmującym grozą rejsie dookoła ziemi*, przeł. J. Pyka, Poznań 2005, s. 26. [\[wróć\]](#)
48. F. Bujak, *O średniowiecznych mapach żeglarskich*, [w:] *Studja geograficzno-historyczne*, Warszawa–Kraków–Lublin–Łódź–Poznań–Wilno–Zakopane 1925, s. 209–210. [\[wróć\]](#)
49. K. Zalewska-Lorkiewicz, *Ilustrowane mappae mundi jako obraz świata. Średniowiecze i początek okresu nowożytnego*, Warszawa 1997, s. 230. [\[wróć\]](#)
50. F. Fernández-Armesto, *Milenium*, s. 148. [\[wróć\]](#)
51. S. Crinò, *La scoperta della carta originale di Paolo dal Pozzo Toscanelli che servi di guida a Cristoforo Colombo per il viaggio verso il Nuovo Mondo*, „L'Universo” 1941, XXII, s. 379–410. [\[wróć\]](#)
52. K. Ślaski, *Poprzednicy...*, s. 178. [\[wróć\]](#)
53. J. Favier, *Wielkie odkrycia od Aleksandra do Magellana*, przeł. T. Radożycki, Warszawa 1996, s. 382. [\[wróć\]](#)
54. Ibidem, s. 382–383. [\[wróć\]](#)
55. S.E. Morison, op. cit., s. 138. [\[wróć\]](#)
56. S. Fischer-Fabian, op. cit., s. 170. [\[wróć\]](#)
57. K. Kolumb, op. cit., s. 50. [\[wróć\]](#)
58. R. Marino, op. cit., s. 224. [\[wróć\]](#)
59. A. Cortesão, *The Nautical Chart of 1424 and the Early Discovery and Cartographical Representation of America*, Minneapolis 1975, s. 136–140. [\[wróć\]](#)
60. E.S. Urbański, *Hispanoameryka...*, s. 227. [\[wróć\]](#)
61. K. Kolumb, op. cit., s. 70. [\[wróć\]](#)
62. W.P. Cumming, R.A. Skelton, D.B. Quinn, *The Discovery of North America*, Nowy Jork 1972, s. 56. [\[wróć\]](#)

63. Pawęż – płaskie, zwykle pionowe zakończenie rufy nad linią wodną. [\[wróć\]](#)
64. G. Menzies, op. cit., s. 216. [\[wróć\]](#)
65. E.S. Urbański, Hispanoameryka..., s. 263. [\[wróć\]](#)
66. R. Marino, op. cit., s. 224. [\[wróć\]](#)
67. S. Arik, Znaczenie Kitab-i Bahriye (Księgi Mórz) Piriego Reisa w szesnastowiecznym świecie śródziemnomorskim [w:] Portolana, Studia Mediterranea, vol. 4, Kraków 2009, s. 115–126. [\[wróć\]](#)
68. Ibidem. [\[wróć\]](#)
69. Cyt. za: R. Marino, op. cit., s. 200–201. [\[wróć\]](#)
70. Ibidem, s. 214. [\[wróć\]](#)
71. S. Arik, op. cit., s. 116. [\[wróć\]](#)
72. R. Marino, op. cit., s. 217. [\[wróć\]](#)
73. J. Swiet, op. cit., s. 261–262. [\[wróć\]](#)
74. Cyt. za: W. Iwańczak, op. cit., s. 161. [\[wróć\]](#)
75. J.G. Da Silva, op. cit., s. 287. [\[wróć\]](#)
76. A. Pigafetta, op. cit., s. 22. [\[wróć\]](#)
77. W. Iwańczak, op. cit., s. 164. [\[wróć\]](#)
78. J.G. Da Silva, op. cit., s. 291. [\[wróć\]](#)
79. K. Zalewska-Lorkiewicz, op. cit., s. 193–194. [\[wróć\]](#)
80. Cyt. za: M. Rosa, Kolumb. Historia nieznaną, przeł. M. Szafrńska-Brandt, Poznań 2012, s. 66. [\[wróć\]](#)

Wyspy Błogosławione – mit czy rzeczywistość?

Kiedy w 1460 roku książę Henryk umarł, pozostawił długi w wysokości 35 tysięcy dublonów, co stanowiło gigantyczny deficyt. Jednak w porównaniu z tym, co infant osiągnął dla swojego kraju, dług pieniężny nie znaczył prawie nic. Bezcenne były już same mapy, które w ciągu dziesięcioleci narysowano według opowieści kapitanów i stale uzupełniano. Każdą z nich trzymano w ścisłej tajemnicy, a kto ją łamał, trafiał na galery albo na szafot. Dochodziło do tego, że kreślarze przygotowywali fałszywe mapy i podsuwali je konkurencji ¹.

Według najczęściej powielanych informacji bracia Krzysztof i Bartłomiej Kolumbowie udoskonalali stare mapy, nanosząc na nie najświeższe informacje, które otrzymywali od powracających z wypraw portugalskich marynarzy. Ja pytam, jak to możliwe, że portugalska brać żeglarska rozpowiadała na prawo i lewo (i to cudzoziemcom) o najnowszych odkryciach, skoro groziły za to surowe kary, w tym nawet śmierć?

Zachowanie w sekrecie informacji o szlakach handlowych ówczesne rządy uważały wtedy za sprawę najwyższej wagi, przekazanie ich obcemu państwu było czymś takim jak sprzedawanie przeciwnikowi nuklearnych tajemnic w szczytowym momencie zimnej wojny. „Jako portugalski żeglarz Magellan przywykł trzymać w tajemnicy wszelkie informacje o wyprawach odkrywczych – Portugalczycy po prostu tak postępowali” – zauważa biograf wielkiego żeglarza Laurence Bergreen ².

Hiszpania i Portugalia skrupulatnie nanosiły swoje zamorskie odkrycia na mapę centralną, która była pilnie strzeżona. Hiszpańska wersja, zwana *Padrón Real*, powstała w 1508 roku i znajdowała się w Casa de Contracati3n, natomiast pierwsze wzmianki o portugalskiej *Padr3o Real* pochodz3y z oko3o 1540 roku, ale najprawdopodobniej pierwotny powstał jeszcze w czasach Henryka Żeglarza. Dla ostroŹnoŹci istniały tylko bardzo nieliczne szczeg3łowe, r3cznie wykonane mapy, przeznaczone do uŹytku kr3ła, a za ujawnienie tajemnic państwowych uwiecznionych na nich ustanowiono kar3 śmierci³.

Nowe Źwiat3o na t3 kwestij rzuca spostrzeŹenie profesora Edmunda Stefana Urbańskiego, wed3ug kt3rego 3wczesne mapy Hiszpanii i Portugalii wykazywa3y duŹe rozbieŹnoŹci w umiejscowieniu nowo odkrytych ziem: „pokusi3em si3 o ich zbadanie. Uczyni3em to w archiwach Madrytu i Lizbony, a p33niej w kolekcji kartograficznej Biblioteki Kongresu w Waszyngtonie. Rezultaty by3y rewelacyjne, gdyŹ okaza3o si3, Źe kaŹdy z kraj3w iberyjskich posiada3 podw3jne zestawy map: jedne na uŹytek wewn3trzny, a wi3c poufne, a drugie na pokaz publiczny, dla zmylenia uwagi wsp33zawodnik3w europejskich, r3wnieŹ pragn3cych zdobyć kolonie”⁴.

PoniŹej przytoczony epizod rzuca Źwiat3o na zagadnienie handlu afrykańskiego, kt3ry Korona portugalska stara3a si3 zachować w jak najŹcis3szej tajemnicy. Pewnego razu podczas kr3lewskiej uczyty dosz3o do dyskusji na temat zalet r33nych typ3w statk3w. Kr3l wyrazi3 opini3, Źe *navios redondos* (statki o kwadratowych Źaglach) nie nadaj3 si3 do Źeglugi. W3wczas P3ero de Alenquer, jeden z najŹlynniejŹszych Źeglarzy tego okresu, doskonale znaj3cy wybrzeŹe, oŹwiadczy3, Źe moŹe p3ywać na kaŹdym – duŹym czy ma3ym – statku.

Zdaniem kr3ła Jana II by3o to niemoŹliwe, ale de Alenquer upiera3 si3 jednak przy swoim zdaniu, dowodz3c, Źe si3 podejmuje dokonać takiej podr33y na kaŹde wezwanie i w kaŹdym czasie. W3wczas rozgniewany kr3l wsta3 od sto3u i opuŹci3 komnat3 z uszczypliw3 uwag3: „G3upiec uwaŹa, Źe nie ma rzeczy, kt3rej nie m3g3by dokonać, a w ko3ncu nie robi nic”⁵. Zaraz po obiedzie kr3l Jan wezwa3 do siebie de Alenquera na poufn3 rozmow3. Kr3l proŹi3 nawigatora, aby nie bra3 mu za z3e jego ostrych s33w. Post3pi3 tak, aby uci3c dyskusj3, gdyŹ pragnie utrzymać w moŹliwie najŹcis3szej tajemnicy wszystkie waŹne informacje dotycz3ce podr33y do Gwinei.

Mapy morskie i lądowe, globusy i dokumenty podlegały cenzurze lub były trzymane w sekrecie, aby nie wzbudzać zawiści lub chciwości innych morskich mocarstw, względnie by uniemożliwić praktyczne wykorzystanie rezultatów odkryć dokonanych przez Portugalczyków. W XV wieku kartografia portugalska była osłonięta tajemnicą. Kapitanom na czas wyprawy wydawano mapy morskie, do których dorysowywali swe nowe odkrycia i zwracali mapy urzędnikom króla Portugalii po powrocie.

„Faktycznie do tajnych należały tylko szczegółowe mapy morskie. Nie ma żadnych podstaw do przypuszczeń, że królowie portugalscy czynili z odkryć swoich poddanych w zachodniej części Atlantyku u wybrzeży Ameryki większą tajemnicę – twierdzi Iosif Magidowicz – niż z odkryć u wybrzeży Afryki Wschodniej [...]. Nie istniały również przyczyny, dla których trzeba byłoby zatajać każde rzeczywiste odkrycie, ponieważ właśnie ono dawało Portugalii niezbywalne prawa do odpowiednich wysp na półkuli zachodniej, nawet po tak zwanym podziale świata w 1493 r. Przecież w bulli papieskiej z 4 maja 1493 r. wprost zastrzeżono, że prawa Hiszpanii do nowo odkrytych lądów, położonych na zachód od linii demarkacyjnej (»papieskiego południka«), są ważne tylko wtedy, »jeżeli nie były one objęte w panowanie innego króla chrześcijańskiego lub pana« przed Bożym Narodzeniem 1492 r.”⁶.

Argumentacja ta jest naiwna i zawiera dwa błędy. Po pierwsze bulle papieskie nie obowiązywały choćby króla Anglii, a i katolicki król Francji również się z nimi nie zgadzał. Po drugie sam Kolumb złamał ustalenia wcześniejszego traktatu z Alcáçovas, więc tłumaczenie, że nie było potrzeby zatajać namiarów na nowo odkryte lądy, jest dziecinne, zwłaszcza że chodziło o utrzymanie przez Portugalczyków monopolu na handel na wybrzeżu afrykańskim. Konieczność zachowania tajemnicy zawsze wpływała na rozprzestrzenianie się wiadomości o odkryciach geograficznych.

Jeszcze w XVII wieku rezultaty wyprawy przez Pacyfik Pedro Fernándeza de Quirosa (notabene z pochodzenia Portugalczyka) i Luiza Váeza de Torresa trzymane były przez rząd hiszpański w ukryciu około pół wieku. Podobnie uczynili Anglicy w przypadku pierwszej wyprawy Jamesa Cooka. Identycznie, dwa wieki wcześniej, postąpili Holendrzy, ukrywając informacje dotyczące tras przez Ocean Indyjski. A wszystko dlatego, że znajomość nowej drogi lądowej, nowej trasy morskiej była tak skuteczna jak najlepsza broń, jak wynalazek wojenny, ważny zarówno ze względów

ekonomicznych, jak i konfliktu zbrojnego – wystarczy porównać w naszych czasach wyścig w podboju kosmosu ⁷.

Aby ten cel osiągnąć, królowie Portugalii zarówno za życia Henryka, jak i po jego śmierci starali się trzymać w tajemnicy, względnie jak najbardziej ograniczać informacje o morzach i krajach, które poznali Portugalczycy. Robili to tak skutecznie, że zagadką pozostaje, kiedy i który z okrętów portugalskich zostawił swoje carronady w zatoce Napier Broome w północno-zachodniej Australii. Mowa o małych mosiężnych działach, z koroną portugalską, pochodzących z XV lub początku XVI stulecia, które znajdują się teraz w admiralicji w Sydney ⁸.

Marynarzom zakazano opowiadać o podróżach, fałszowano sprawozdania z rejsów i utrzymywano olbrzymią sieć szpiegów na obcych dworach i w portach. Jeszcze nawet w 1501 roku Angelo Trevisan, sekretarz weneckiego przedstawiciela (*oratore*) w Hiszpanii, pisał do kronikarza Domenico Malipiera w odpowiedzi na jego pytania w sprawie podróży Cabrala do Indii, że „niemożliwością jest zdobycie mapy tej podróży, gdyż król zagroził karą śmierci każdemu, kto wyśle ją poza granice kraju” ⁹.

A przecież – przynajmniej według Magidowicza – wszystko było uzgodnione w Tordesillas w 1493 roku. To dlatego, jak podaje José Gentil Da Silva w monografii *Morskie dzieje Portugalczyków*: „[...] rozporządzenie prawne z 1504 roku zabrania nanosić na mapy morskie położenie obszarów na południe od Wyspy Księżęcej i Wyspy Świętego Tomasza. Później administrator *Casa da India e Mina* będzie cenzurował wszystkie mapy, każąc usuwać z nich wzmiankowane obszary. Właściciele użytkowanych map muszą je przedstawiać cenzorowi, który usuwa wszystkie wskazówki uznawane odtąd za tajemnicę [...]. Należy więc sądzić, że już w początkowej fazie pewna powściągliwość była nieodzowną reakcją portugalskiego środowiska żeglarskiego, po czym polityka tajemnicy jeszcze bardziej zubożyła wszelką informację, zdarzającym się zaś niejako kompensującymi ją niedyskrecjom przeważnie brak jasności” ¹⁰.

To, że Kolumb cieszył się specjalnymi względami portugalskiego monarchy, dobitnie wynika ze zdarzeń, jakie miały miejsce podczas rejsu powrotnego z pierwszej podróży Admirała do Ameryki. Kolumb schodzi na ląd w Lizbonie na początku marca, mimo że miał na Azorach kłopoty

z Portugalczykami, ale kiedy przyplłynął do stolicy Portugalii, został dobrze przyjęty przez Jana II.

Po co zatrzymuje się nad Tagiem, skoro mógł – tak jak Martin Alonso Pinzón – popłynąć prosto do hiszpańskiego portu Baiona u wejścia do zatoki Vigo? Wszak wcześniej na Santa Marii, najdalej wysuniętej na południe wyspie w archipelagu Azorów, jej gubernator nakazał pojmać połowę załogi odkrywcy Ameryki. Ba, portugalski urzędnik próbował również uwięzić Kolumba, który jednak był na to przygotowany, uzbrojony i gotowy do walki, Portugalczycy zaś nie dysponowali wówczas ani jednym okrętem [11](#).

Po trzech dniach marynarze zostali wypuszczeni na wolność, a nazajutrz „Niña” podniosła żagle, złapała pomyślny wiatr i odpłynęła w kierunku Hiszpanii. Otrzymawszy taką przestrożę, za wszelką cenę powinien unikać Lizbony, gdyż w przypadku powtórzenia się takiej sytuacji, nie wywinąłby się tak łatwo. Kolumb przez dziewięć dni był w mocy władcy, który był największym rywalem króla, któremu teraz służył.

Chyba tylko ktoś bardzo naiwny uwierzy w zapewnienia, że król wypuścił go z rąk, bo był człowiekiem honoru – w polityce i biznesie nie istnieje takie pojęcie. Ba, w dodatku zgłaszał roszczenia do odkryć Kolumba, powołując się na traktat z Alcáçovas, zawarty w sprawie tragicznie zakończonych małżeństwa jego syna Alfonsa z księżniczką Izabelą. Twierdził, że daje mu on tytuł do wszystkich ziem odkrytych poza Wyspami Kanaryjskimi, a nie tylko tych na wybrzeżach Afryki [12](#).

Jan II był zatem „w prawie”, aby zatrzymać Kolumba, ponieważ rejs pod auspicjami Korony hiszpańskiej był... pogwałceniem ustaleń traktatu w Alcáçovas w 1479 roku, uznającym monopol portugalski na żeglugę po wodach położonych na południe od równoleżnika Wysp Kanaryjskich! Kolumb wyruszył z Hiszpanii w kierunku południowo-zachodnim tylko do wysokości Wysp Kanaryjskich, stamtąd obrał kurs na zachód. Jednak już pierwsze lądowanie na wyspie Guanahani odbyło się na 24°N; wszystkie następne jeszcze dalej na południe.

Hispaniola w całości znajduje się na południe od 20°N. Stąd też niezwykle szybko po tym, jak Kolumb w połowie marca 1493 roku wpłynął do Hiszpanii, wracając z pierwszej zaoceanicznej wyprawy, hiszpańska para królewska postarała się o dokument stwarzający podstawy do nowego prawa morza: rozdzielenia wód Ziemi pomiędzy Portugalię i Hiszpanię [13](#). Należało zastąpić ją „inną”, korzystniejszą linią i za radą Admirala

zdecydowano się zastąpić poziomą linię graniczną z Alcáçovas linią pionową, przecinającą Atlantyk na zachód od Azorów. Przestrzeń na zachód od tej granicy miała należeć do Kastylii.

Papież szybko wydał bullę ustanawiającą linię demarkacyjną między obecnymi oraz przyszłymi hiszpańskimi i portugalskimi posiadłościami zamorskimi na całym globie. Linia ta ciągnęła się od bieguna północnego do południowego i przebiegała w odległości 100 lig (trochę ponad 300 mil morskich) na zachód od archipelagu Wysp Zielonego Przylądka, leżącego na Atlantyku w pobliżu wybrzeża Afryki Północnej. Wyspy te odkryli w roku 1460 Antonio i Bartolomeo da Noli, genueńscy żeglarze pływający w służbie portugalskiej, i od tego czasu były one ważną placówką w portugalskim handlu niewolnikami.

W Tordesillas przedstawiciele Hiszpanii i Portugalii zgodzili się generalnie stosować do papieskiego podziału, który zdawał się chronić interesy obu krajów. Portugalczycy jednak wymogli na Hiszpanach przesunięcie linii demarkacyjnej o 270 lig na zachód; przebiegała ona teraz w odległości 370 lig na zachód od Wysp Zielonego Przylądka. To nowe rozgraniczenie dało Portugalczykom szeroki dostęp do kontynentu afrykańskiego szlakami morskimi i – co nawet ważniejsze – pozwoliło im domagać się prawa do Brazylii ¹⁴.

Nie zmienia to faktu, że Kolumb wcześniejszych odkryć dokonał na wodach traktatem w Alcáçovas zastrzeżonych dla Portugalii. A takich wybryków Jan II nie puszczał płazem nikomu, nie przejmując się ewentualnymi międzynarodowymi komplikacjami. Potwierdza to pewien incydent, do którego doszło zaledwie kilka miesięcy wcześniej. Przeczytajmy opis kronikarza Garcii de Resende w *Chronica de el-rei D. João II*:

„W tym czasie, kiedy król przebywał w Lizbonie, Francuzi pochwycili karawelę (wracającą) z Miny z dużą ilością złota, chociaż wtedy panował z Francją pokój.

Kiedy wieść o tym doszła króla, zwołał natychmiast najznacześniejszych dworzan i wszyscy poradzili mu wysłać kogoś do króla Francji w celu załatwienia tej sprawy. Odpowiedział im na to: »Jestem zupełnie odmiennego od was zdania, jako iż nie życzę sobie, aby wysłana osoba doznała złego przyjęcia lub by ją zwodzono, to bowiem sprawiłoby mi więcej przykrości niż utrata złota«. Po czym opuścił zebranie, nie zdradziwszy swych zamiarów.

Zdarzyło się w tym czasie, że w [porcie] Lizbony stało dziesięć dużych statków francuskich, załadowanych wspaniałymi towarami. Król kazał natychmiast zająć te statki, a towary złożyć z wielką starannością w budynku celnym. Co więcej, kazał zdjąć ze statków reje i stery, postawić na pokładach strażę i usunąć ze statków wszystkich Francuzów [...]. Wszyscy właściciele [statków] zjawili się u króla Francji, żaląc się i prosząc, aby król pomógł im odzyskać statki. Król Francji nie zwlekając zajął się gorliwie tą sprawą i, nakazawszy uczynić natychmiast wszystko, co było niezbędne, odesłał królowi jego karawelę z całym złotem, co do dublona. Tak więc odbyło się bez sporu; król Francji zaś przepraszał, a on [Dom João] rozkazał wszystko bez zwłoki zwrócić właścicielom statków w takim stanie, w jakim je wzięto, to jest bez najmniejszego uszczerbku” [15](#).

Żaden portugalski władca nie bał się eskalacji napięcia. Na wieść o wypłynięciu Armady Molukańskiej Portugalczycy zareagowali ze złością i goryczą. Król Manuel nakazał nękać tych krewnych Magellana, którzy pozostali w ojczyźnie. Aby wszyscy się dowiedzieli o jego hańbie, do włości rodziny Magellana w Sabrosie wysłano ludzi, którzy wyrwali z bramy kamień z jego tarczą herbową i rzucili go na ziemię. Szydzono i obrzucano kamieniami nawet dzieci spokrewnione z żeglarzem. W końcu, lękając się o życie, prawie wszyscy uciekli z kraju.

Francisco de Silva Tellez, który utrzymywał, że jest siostrzeńcem Magellana, znalazł w końcu schronienie w Brazylii, będącej już kolonią Portugalii, gdzie podyktował instrukcje dla rodziny świadczące o ogromie wstydu przyniesionego jej przez odkrywcę: „gdybym się dowiedział, że żywią uczucia i zamiary tak niegodziwe i zagrażające ich rodzinom takim nieszczęściem jak to, co spotkało mojego ojca i mnie, którzy musieliśmy opuścić nasz dom ze wstydu i lęku, że zaatakują nas sąsiedzi, jako że słusznie nie mogli ścierpieć tego, który wystąpił przeciw Portugalii, swojej ojczyźnie, by służyć Kastylizykom, naszym naturalnym wrogom” [16](#).

Król Jan II dość otwarcie chełpił się, że naśladuje politykę i metody podstępnego Ludwika XI, króla Francji. Nie poprzestając na zmiążdżeniu potęgi najwyższej arystokracji, sięgał również po jej ziemie. Aby zagarnąć posiadłości swego szwagra, Ferdynanda, księcia Bragançy (wchodziła tu również w grę zadawniona niechęć rodzinna), uwięził go, a następnie stracił w 1483 roku w Évorze po fikcyjnym procesie sądowym.

Aby zadać ostateczny cios szlachcie, 23 sierpnia tego samego roku własnoręcznie zakłuł brata swojej żony, Dioga, księcia Viseu, w jego pałacu

w Setubalu. Kiedy królowa Leonora jawnie opłakiwała zabójstwo swego brata, Jan zagroził jej sądem o zdradę, jeśli się nie uspokoi. Nie poprzestając na tych dwóch zbrodniach, wrzucił żywcem do studni biskupa Évory, ulubieńca swego ojca. Potem stracił, na podstawie wyroków lub bez sądu, osiemdziesięciu najwybitniejszych grandów portugalskich i konfiskatą ich majątków wzbogacił koronę [17](#).

Znawca realiów epoki Marian Małowist wprawdzie pisze: „W radzie królewskiej zastanawiano się, czy nie należy w tajemnicy zamordować Kolumba, by w ten sposób położyć kres dalszym odkryciom. Widać, że metody postępowania Jana II zostały zaakceptowane przez jego otoczenie. Kronikarz pisze, że król się temu sprzeciwił, twierdząc, że nie byłoby to postępowanie zgodne z prawami boskimi. W świetle innych jego poczynań sądziłbym, że uznał to raczej za bezcelowe, bo Kastylijczycy zdołali już poznać drogę do »Indii«” [18](#).

Otóż takie tłumaczenie nie ma sensu w momencie, gdy odkrywca Ameryki cumuje przy lizbońskim nabrzeżu zdany na łaskę portugalskiego króla. Zlikwidowanie Kolumba może nie odciągnęłoby Hiszpanów od dalszych wypraw, ale z pewnością znacznie by je opóźniło i utrudniło. „Nową wyprawę można było przygotować bez Admirala, ale tylko Admirał zdolny był doprowadzić jej statki do brzegów Indii – przyznaje jeden z biografów – więc para królewska otaczała go, jak dawniej, troską, pozbawiając z wolna odkrywcę owych Indii rzeczywistej władzy” [19](#).

Coś jest w tym, że bez Kolumba kolejna ekspedycja do Nowego Świata odbyłaby się z pewnymi trudnościami. W drodze powrotnej Admirał i piloci nie mogli w żaden sposób uzgodnić, gdzie właściwie znajdują się ich statki, ponieważ Golfsztrom pomieszał wszystkie karty. 10 lutego w kabinie rufowej rozgorzał gorący spór. Vicente Yáñez Pinzón oraz piloci – Peralonso Niño i Sancho Ruiz de Gama – twierdzili, że statki dawno minęły Azory i znajdują się już na wodach Madery. Admirał natomiast uważał, iż flotylla płynie na południe od Azorów i znajduje się o 150 *leguas* na zachód od tego miejsca, na które wskazują piloci [20](#).

Rację miał Admirał, intuicja go nie zawiodła, ponieważ prawidłowo ocenił przebytą odległość i znowu (który to już raz?) dowiódł, że w sztuce prowadzenia statku góruje nad najlepszymi żeglarzami Kastylii. Kilka dni później ponownie rozgorzały spory o położenie. Piloci twierdzili, że minęli Maderę, lecz Admirał nie zgadzał się z nimi i dowodził, że znajdują się

gdzieś w pobliżu Azorów – 18 lutego okazało się, że statek istotnie krążył wokół Azorów i stał teraz na kotwicy u brzegu jednej z wysp tego archipelagu.

W dodatku Korona portugalska wszystko, co dotyczyło nawet ostatnich odkryć u południowo-zachodnich brzegów Afryki, utrzymywała w wielkim sekrecie. Portugalski kronikarz Garcia de Resende twierdził, że tajemnice te były bardzo pilnie strzeżone: pewnego razu król Jan II rozkazał zgładzić dwóch ukrywających się w Sewilli portugalskich zbiegów, gdyż znali oni nowe trasy do Gwinei.

„Pierwszego z nich – pisze biograf Kolumba – agenci Jana II wykończyli w pewnym sewilskim szynku, drugiemu zaszyli usta i w takim stanie dostarczyli do Lizbony, po czym zamęczyli uciekiniera na śmierć torturami. Na Kolumba jednak nikt nie porywał się w ciemnych zaułkach Sewilli i Kordoby, nie zaszywali mu srebrnym drutem ust obrotni szpiedzy króla Jana. Po odjeździe Kolumba z Portugalii monarcha ten korespondował z nim i pozwolił mu odwiedzić w roku 1488 Lizbonę” ²¹.

Skąd tak łagodne traktowanie Kolumba i to nie pierwszy raz? Przecież żeglarz umknął *de facto* z Portugalii, a mimo to w 1488 roku wystawia mu się „list żelazny”, w którym czytamy: „Życzymy sobie, żebyś przybył, albowiem twa pilność i tve zdolności byłyby nam potrzebne. Jeśli z powodu jakichkolwiek spraw, w które mógłbyś być zamieszany, spodziewasz się niebezpieczeństwa ze strony naszych sędziów, zapewniamy Cię niniejszym listem, że przybywszy, pozostając i wracając, nie zostaniesz ani aresztowany, ani zatrzymany, oskarżony, pozwany lub aresztowany, niezależnie, czy w sprawie cywilnej, czy kryminalnej. I wydaliśmy wszystkim sędziom rozkaz, że mają się do tego zastosować” ²².

Równie symptomatyczny jest list, który Kolumb napisał do ministra skarbu w Rzymie (przekład łaciński *De insulis inuentis*). Jak na owe czasy, był tak często wznawiany, że można by go nazwać bestsellerem. Kolejne trzy wydania ukazały się w Rzymie w 1493 roku. Sześć dalszych pojawiło się w Paryżu, Bazylei i Antwerpii w latach 1493–1494. W połowie czerwca 1493 roku łacińska wersja listu została przełożona wierszem na dialekt tokański.

Do północnej Europy wieść o odkryciu Kolumba docierała powoli, ale i tak w Anglii pierwsza wzmianka pojawiła się w końcu marca 1496 roku. Niemiecki przekład listu Kolumba ukazał się w Strasburgu w 1497 roku. A teraz pytanie za sto punktów. Kiedy wydano go w Portugalii? Nigdy! Czy

dlatego, że dla Luzytanów, którzy od kilku dekad organizowali wyprawy tego typu, treść listu nie była żadną nowością? Nie znajduję innego wytłumaczenia. To dlatego podczas rokowań nad traktatem w Tordesillas z 1493 roku poszło nie o panowanie nad nieokreślonym obszarem słonej wody.

Jan II doskonale wiedział, że dalej na zachód rozciąga się stały ląd. Jak mówi Kolumb: król „miał pewność” ²³. Z czego ona wynikała? Na ten temat można napisać osobną książkę, dlatego ograniczę się tylko do kilku przykładów potwierdzających, że Portugalczycy byli świadomi istnienia Ameryki na długo przed oficjalnym jej odkryciem. W ostatnich latach życia księcia Henryka karawele odbyły wiele wypraw w tym kierunku.

Jeśli wierzyć pilotowi Pedro de Velasco, ze swojego statku dostrzegł on wyspę Antilia (o czym opowiedział Krzysztofowi Kolumbowi, ale o tym za chwilę). Może tego dowodzić mapa autorstwa Zuane Pizzigano, która pochodzi z 1424 roku – oprócz linii brzegowej Europy i Afryki – widnieją cztery wyspy: Antilia, Satanazes, Saya i Ymana. We wskazanym rejonie nie ma wysp, ale popełnienie takiej pomyłki w XV wieku nie powinno dziwić, gdyż do XVIII stulecia nie potrafiono prawidłowo obliczać długości geograficznej. „Antilia” w średniowiecznym języku portugalskim to prawdopodobnie „wyspa (*ilha*) po przeciwnej stronie (*anti*) [Atlantyku]”.

Wiele wskazuje, że mowa o Portoryko. Na Satanazes (Wyspie Szatana) zaznaczono pięciokrotnie miejsca opisane słowami *con* oraz *ymana*, co tłumaczy się jako „wulkan wybucha tutaj”. Wskazuje się, że może chodzić o Gwadelupę, gdzie rzeczywiście znajdują się wulkany, które wybuchały dwukrotnie w latach 1400–1440, choć wcześniej przez sto lat i później przez dwa i pół wieku pozostawały uśpione ²⁴.

Portugalski kronikarz Antonio Galvão odnotował, że książę Henryk Żeglarz w 1431 roku wysłał Gonzalo Velho Cabralę z zadaniem odnalezienia wysp na dalekim Zachodzie, które widniały na mapie z 1428 roku. Późniejsza o osiem lat mapa morska, przypisywana Andrei Bianco, opisuje Morze Sargassowe portugalskim słowem oznaczającym wodorosty: *mar de бага* – jednoznaczne potwierdzenie tego, że Portugalczycy musieli dotrzeć do tego unikatowego w skali świata akwenu. Inna mapa tegoż Bianco, sporządzona w Londynie w roku 1448, wskazuje na wielką „prawdziwą” wyspę tam, gdzie powinna się znajdować... Brazylia ²⁵.

Tenże historyk podawał ponadto: „W owym zatem roku, mianowicie 1447, zdarzyło się, że do Portugalii, przez Cieśninę Gibraltarską, przybył

statek, a gnany wielką burzą musiał popłynąć na zachód i uczynił to łacniej, niż ludzie by sobie [życzyli] i w końcu natrafił na wyspę, na której było siedem miast, a ludzie mówili językiem portugalskim i dopytywali się, czy Maurowie nadal niepokoją Hiszpanię [...]. Bosman ze statku przywiózł do domu trochę piasku i sprzedał złotnikowi z Lizbony, a ten uzyskał dużą ilość złota.

Dom Pedro, dowiedziawszy się o tym, jako że był zarządcą królestwa, kazał, aby o wszystkich rzeczach stamtąd przywożonych do domu powiadamiano i zapisywano je w Domu Sprawiedliwości. Są tacy, którzy myślą, że te wyspy, na które w taki sposób dotarli Portugalczycy, to Antyle albo Nowa Hiszpania, i utrzymują, że mają na to dowody” [26](#).

W portugalskich archiwach odnaleziono kilka pism królewskich mówiących o podarowaniu atlantyckich wysp portugalskim dworzanom. W takiej roli na przykład występuje Diogo de Teive (inaczej zwany Teidi lub Tiene), kierownik ekspedycji, która być może między 1451 i 1453 rokiem odkryła jedną czy też dwie zachodnie wyspy Flores i Corvo w grupie Azorów (jego towarzyszem miał być jakoby rzeczony Pedro Velasco) [27](#). Początkowo otrzymały nazwy São Tomas i Santa Iria.

„Na poszukiwanie tejże wyspy wyruszył raz niejaki Diego de Teyve – pisał syn Kolumba – sternik jego, Pedro de Velasco, wywodzący się z Palosu de Moguer, opowiadał don Krzysztofowi w Santa Maria de la Rabida, jak to oni wyruszyli z wyspy Faial, jak płynęli ponad sto i pięćdziesiąt legoa z wiatrem południowo-zachodnim i jak za powrotem odkryli wyspę Flores, postępując śladami lecących ku niej mnogich ptaków; poznawszy, że ptaki te są lądowe, a nie morskie, domyślili się, iż z pewnością lecą na spoczynek do jakiej ziemi. Potem ruszyli ku północnemu wschodowi i płynęli w tym kierunku tak długo, póki nie dojechali do będącego częścią południowo-zachodniej Irlandii przylądka Clear. W tych okolicach, lubo dęły silne wiatry zachodnie, morze nie było wzburzone. Zdało się im tedy, iż dzieje się tak dlatego, że na zachodzie znajduje się chyba jakaś osłaniająca te strony ziemia. Że jednak była już pora sierpniowa, że bali się nadciągającej zimy, nie powrócili już na Flores. Zasię ta rzecz miała miejsce na przeszło czterdzieści lat przed odkryciem naszych Indiów. A to wszystko, o czym mówił de Velasco, potwierdził później w rozmowie odbytej z don Krzysztofem w Puerto de Santa Maria pewien kosoooki marynarz. Rzekł on, iż jednego razu, w czasie podróży do Irlandii, widział ziemię, co do której był przekonany, że jest częścią

obróconej na zachód Tartarii, a która musiała być wyspą dziś zwaną Tierra de Bacalaos; atoli ze względu na srożącą się nawałnicę nie mogli przybić do jej brzegu.

A ta rzecz, jak nadmienia don Krzysztof, pokrywała się z tym, co w kastylskim mieście Murcja mówił Galisyjczyk Pedro de Velasco; tenże mąż, płynąc do Irlandii, oddalił się był na tyle ku północnemu zachodowi, iż na zachód od Irlandii widział ziemię” [28](#).

Od João i Diogo de Teive ich prawa do wysp Flores i Corvo odkupił człowiek lizbońskiego dworu, Fernão Teles, który inwestował w afrykański handel. On również ubiegał się o pozwolenie dokonywania odkryć poza Gwineę. Zamierzał zdobyć wyspę Sete Cidades, którą król przyznał mu w styczniu 1474 roku i w 1475 potwierdził nadanie. Następnego roku Fernão Teles zyskał niebagatelną rentę w wysokości 30 tysięcy *reais*. Niestety dworzanin-armator ginie w 1477 roku w czasie lokalnego powstania w Setubalu. Można by się zastanawiać, czy jego śmierć jest jedynym wytłumaczeniem zaprzestania tych przedsięwzięć.

Kolejne nadanie otrzymuje kolonista z Madery, Fernão Domingues do Arco – w czerwcu 1484 roku usłyszał on obietnicę otrzymania we władanie wyspy, którą miał odkryć daleko na zachodzie. Innym śmiałkiem był Ferdinand Van Olmen, w Portugalii znany jako Fernão Dulmo. Jedni uważali go za Niemca o nazwisku Ferdynand z Uhlm, inni za Flamanda d’Olmena (po flamandzku Van Olmen). Był księciem i kapitanem z Terceiry, jednej z wysp azorskich, który „chciał odkryć wielką wyspę bądź wyspy albo ląd stały (*terra firme per costa*), i który zakładał, że jest Wyspą Siedmiu Miast, a wszystko to na własny koszt” [29](#).

W tym samym czasie Kolumb prosił Jana o to samo, ale został odprawiony z kwitkiem, a władca portugalski wykorzystał w tym celu opinię komisji ekspertów. Rada ta, w skład której wchodził wysoki dostojnik kościelny i dwóch żydowskich lekarzy, cieszących się opinią znawców astronawigacji, kategorycznie odrzuciła rozpatrywany plan. Wbrew rozpowszechnionej opinii obiekcje nie były związane z poglądami dotyczącymi kształtu Ziemi. W tym czasie wykształceni Europejczycy nie mieli już żadnych wątpliwości co do tego, że jest ona kulą. Rada była jednak zdania, że zachodnia droga morska do Indii jest zdecydowanie dłuższa, niż szacował to Kolumb. Okazało się, że sceptyczni uczeni mieli rację [30](#).

Dzięki dziełu *Imago mundi* teologa i geografa francuskiego, Petrusa Alliacusa, znanego lepiej pod swym oryginalnym nazwiskiem jako Pierre d'Ailly, każda wykształcona osoba wiedziała, że Ziemia jest okrągła. Nie zdawano sobie tylko sprawy z jej rozmiarów. Kolumb znał ponadto treść listu do kanonika z Lizbony Fernama Martinsa, spowiednika króla Portugalii – Alfonsa V, który 25 czerwca 1474 roku napisał wybitny astrolog i kosmograf Paolo dal Pozzo Toscanelli, zwany też Pawłem Fizykiem:

„Nie dziwcie się, proszę, jeśli Zachód nazwę krainą w korzenie zasobną, jak pospolicie mówi się o Wschodzie: rzecz w tym, i że ci, co puszczą się drogą morską ku zachodowi, bez ohydy znajdą na Zachodzie miejsca obfitujące w korzenie, tak jak ci, którzy lądowymi szlakami ruszą na wschód, znajdą takie miejsca na Wschodzie [...]. Tedy mapę taką, przeze mnie własnoręcznie narysowaną, przy niniejszym zasyłam Jego Wysokości. A narysowane na niej kończyny naszego Zachodu, od Irlandii się zaczynające, a potem idące na południe, aż do granic Gwinei, ze wszystkimi wyspami, które w tych stronach leżą. Zaś po drugiej stronie, w drodze prostej przez zachód, na mapie mej wyobrażony jest początek Indiów z wyspami i miejscami, do których pojechać możecie swobodno” ³¹.

Wyliczona odległość z Wysp Kanaryjskich do Japonii nie stanowiła jakiegoś wielkiego wyzwania dla ówczesnych jednostek. Statki odkrywców nie musiały być duże, musiały być za to wystarczająco mocne, aby przepłynąć ocean i wrócić. Służył temu masywny szkielet z drewnianych wręg. Najdalszy rejs portugalskich statków wzdłuż zachodniego wybrzeża Afryki liczył ponad 5 tysięcy mil morskich w jedną stronę.

Skoro statki mogły pokonać taką odległość, były w stanie poradzić sobie z żeglugą po otwartym oceanie na dystansie o połowę krótszym. Thor Heyerdahl na swych papirusowych łodziach „Ra” i „Ra II” nie był jedynym, który to udowodnił. Podobnego wyczynu dokonał wcześniej, bo w 1952 roku, francuski oceanograf i lekarz, Louis Alain Bombard, który na nadmuchiwanej, 4,5-metrowej tratwie gumowej (noszącej prowokacyjną nazwę „L'Hérétique”) przepłynął w ciągu 65 dni Atlantyck z Casablanki w Maroku do Bridgetown na wyspie Barbados.

Taki sam eksperyment został z powodzeniem powtórzony dwukrotnie sześć lat później przez doktora Hannessa Lindemanna, najpierw na afrykańskim czólnie, potem na pneumatycznej tratwie. Ten ocean pokonał

również John Fairfax, który na niewielkiej łodzi wiosłowej dopłynął do wybrzeży Florydy. Mówi się, że portugalscy eksperci króla Jana II byli zbyt dobrze zorientowani w temacie, aby przyjąć za dobrą monetę rażąco błędne wyliczenia Kolumba...

Ciekawi mnie jednak, dlaczego Jan II zezwolił dwóm innym żeglarzom na odbycie wyprawy poszukującej legendarnej Antilii? Czy dlatego, że byli Portugalczykami, czy może dlatego, że jednak było coś na rzeczy z teorią o istnieniu lądu na zachodzie? Co ciekawe, warunki umowy Dulmo z królem Janem były podobne do tych, które uzgodnił Kolumb z Ferdynandem i Izabelą, z wyjątkiem faktu, że większość wydatków pokrywała jednak hiszpańska para królewska.

Ważniejsze jednak, że kontrakt zawarty z Dulmo mówił również o *terra firme per costa* – kontynencie w przeciwieństwie do wyspy (choć podobna umowa, którą zawarł w 1475 roku z Fernão Teles de Meneses, nic o stałym lądzie nie mówi). Flamand miał obiecaną dożywotnią władzę nad ziemiami, które odkryje „ze wszystkimi dochodami i prawami”, w tym „jurysdykcją sądowniczą pozwalającą na skazywanie na garotę, śmierć i wymierzanie innych kar”.

Oto jak brzmi pismo Jana II z 24 lipca 1486 roku, które otrzymał Dulmo: „Fernão Dulmo powiedział Nam, że ma zamiar odkryć jakąś dużą wyspę lub wiele wysp, czy też kontynent, które to uważa za wyspę Siedmiu Miast, i ma zamiar zrobić to na własny koszt i ryzyko [...]. My przekazujemy wymienioną wyspę lub wyspy, czy też kontynent jako dar królewski, niezależnie od tego czy są zamieszkałe, czy też bezludne [...] ze wszystkimi dochodami i prawami [...] Fernão Dulmo, jego następcom i potomkom [...]. Co się zaś tyczy niemieckiego rycerza, który chce wziąć udział w wyprawie morskiej, to pozostawiamy Niemcowi prawo swobodnego wyboru karaweli, na której będzie chciał płynąć [...]” ³².

Jedenaście dni po zasadniczej umowie niejakiemu Giovanniemu Alfonsowi (João Alfonso) do Estreicie została wydana inna licencja królewska, zgodnie z którą połowa wszystkich nieodkrytych jeszcze ziem została oddana towarzyszowi Dulmo, przy czym zaznaczono, że ten ostatni powinien przez czterdzieści dni wskazywać drogę do ich brzegów:

„Fernão Dulmo, nie będąc w stanie wyposażyć dwóch karawel, uważa za zaszczyt przekazać João Alfonso pół wyspy lub grupy wysp, czy też kontynentu, które zostaną odkryte albo odnalezione za pomocą wymienionych karawel, bez względu na to, czy są one bezludne, czy też

zamieszkałe, wraz ze wszystkimi [...] [otrzymanymi] prawami [...]. Przy tym powinien być spełniony warunek, że w ciągu czterdziestu dni od wypłynięcia z Terceiry João Alfonso obowiązany jest podążać w kierunku i drogą wskazaną przez Fernão Dulmo [...]. Po upływie czterdziestu dni Fernão Dulmo będzie musiał podporządkować się poleceniom i kierunkowi wyznaczonemu przez wymienionego João Alfonso [...] dopóki nie powrócą do naszego królestwa [...]" ³³.

Wspólnicy określili czas, w jakim każdy z nich będzie pełnił dowództwo i władał zajętymi ziemiami: postanowiono, że wyprawa odbędzie się w najkorzystniejszej porze dla żeglugi po tych trudnych akwenach, czyli w maju–czerwcu. Mimo szczegółowego przygotowania ekspedycji, wzmiankowanego wyżej poparcia Korony, wnikliwego zgłębienia warunków nawigacyjnych i ustalenia podziału zysków, wyprawa nie doszła do skutku. Kolumb musiał słyszeć o tajemniczych wyspach na zachodzie, których mieli poszukiwać jego konkurenci.

„Lecz nie tylko gadatliwi marynarze zwierzali się Kolumbowi z posiadanych tajemnic; także jego szwagier, Pedro Correia – drugi kapitan Porto Santo, kapitan wyspy Graciosa i osobisty strażnik króla Jana II – pokazywał mu wyrzucone przez morze przedmioty pochodzące z lądów leżących na zachodzie. Żeglarze portugalscy nie wiedzieli, co począć z tą wiedzą! Tkacz był tak zorientowany, że sam król Portugalii Jan II pokazywał mu ogromne bambusy i gałęzie sosen jako świadectwa istnienia tych lądów [...]. Zatem dla króla i jego uczonych ta dziwna sytuacja nie miała wytłumaczenia i musieli się oni zwrócić o pomoc do niedawno przybyłego tkacza” – ironizuje Manuel Rosa w biografii Kolumba ³⁴.

Co do Morza Zachodniego, to prawdopodobnie już w pierwszej połowie XV wieku, w drodze powrotnej z wybrzeży Gwinei, Portugalczycy docierają nad Morze Sargassowe (*Mar de Baga*). Obok Madery nowymi bazami wypadowymi dla wypraw odkrywczych w kierunku północno-zachodnim stały się Wyspy Azorskie, spośród których siedem służyło do wypasu owiec i które książę Henryk zamierzał skolonizować około 1439 roku. Ludzie przemierzający te niełatwe akweny znajdują, szukają i zbierają wskazówki: kawałki brezylii (drewna nazwanego tak od wydzielanego barwnika o kolorze rozżarzonego węgla – *braise*) i innych nieznanymi w Europie drzew ³⁵.

Co jeszcze mógł usłyszeć Kolumb? „Admirał podaje – pisał jego syn – że wielu znacznych Hiszpanów zamieszkujących stale wyspę Hierro,

a przebywających podówczas na Gomerze [...] zapewniało, że co roku na zachód od Wysp Kanaryjskich, czyli na ponencie, daje się widzieć ląd, a nawet na samej wyspie Gomerze byli ludzie, którzy utrzymywali, że ląd ten był widoczny zawsze w tym samym kierunku, z tymi samymi szczegółami i tej samej wielkości” ³⁶.

Treść tej wzmianki świadczy nie tylko o wiedzy na temat nieznanego kontynentu, która wynika z dokonań poprzednich wypraw. Niejaki Martin Vicente opowiadał Kolumbowi, że 450 *legoa* (2700 kilometrów) na zachód od Przylądka Świętego Wincentego znalazł kawałek drewna bardzo misternie obrobiony jakimś narzędziem, oczywiście – nieżelaznym. Inni żeglarze napotykali poza Azorami łódki z szałasami, przy czym stateczki te nie przewracały się nawet podczas dużej fali.

U brzegów Azorów widywali olbrzymie sosny, morze przynosiło owe martwe drzewa w porze, gdy wiały silne zachodnie wiatry. Na brzegu azorskiej wyspy Faial marynarze znaleźli trupy ludzi o szerokich twarzach i „niechrześcijańskim wejrzeniu”. Niejaki Antonio Leme, „ożeniony z pewną niewiastą z Madery”, opowiadał Kolumbowi, że gdy przepłynął na zachód o sto *legoa*, natknął się w morzu na trzy nieznanne wyspy. Również Pedro Correo da Cunha, szwagier Kolumba:

„opowiadał, iż na wyspie Porto Santo widział kawał drewna tak samo przez zachodnie wiatry spławiony i też dobrze rzezany, jak ten, o którym było wyżej; iż oglądał przyplawione wiatrem trzciny tak znacznej grubości, że między jednym a drugim ich kolankiem zmieścić się mogło dziewięć karaf wina. A tę rzecz potwierdził sam król Portugalii, kiedy z sobą około tego rozprawiali; miał mu nawet te trzciny pokazać. Iż zaś w naszych stronach nie masz miejsc, w których rodzą się trzciny takiej wielkości, powziął on przekonanie, że z wysp leżących w pobliżu Indiów lub z samych Indiów musiały je przywiać wiatry” ³⁷.

Czy takie pogłoski sprawiły, że kapitanowie już na Wyspach Kanaryjskich otrzymali instrukcję od Kolumba, że skoro tylko flotylla przepłynie 700 *leguas*, statki w porze nocnej powinny poruszać się ze skróconymi żaglami, a marynarze, pełniący wachtę, obowiązani są przejawiać szczególną czujność? Do tej pory nie zawsze tak postępowali, ale noc z 11 na 12 października miała przynieść spotkanie z ziemią i dlatego wszyscy powinni dołożyć starań, aby dostrzec brzeg; pierwszy zaś, który brzeg ujrzy, otrzyma roczną rentę w wysokości 10 tysięcy *maravedi* i aksamitną kamizelę.

Zastanawiające są dwa fakty. Skąd Kolumb wiedział, że akurat około 10 października dotrze do lądu? Przypomnijmy, że groził mu bunt na pokładzie i flotylla popłynęła dalej po zapewnieniu, że jeśli nie ujrzą ziemi, zawrócą. Skąd ta pewność? Czy wiedział od kogoś, kto przebył tę trasę, że właśnie w tym miejscu na oceanie może oczekiwać lądu? Dlaczego biografowie lekceważą lub ignorują słowa Ferdynanda Kolumba? Przecież syn Admirala przyznawał, skąd jego ojciec czerpał pewność osiągnięcia celu:

„Portugalczyk nazwiskiem Vicente Dias, obywatel Taviry, opowiadał, iż jednego razu, kiedy jadąc wodą z Gwinei do wyżej wspomnianej wyspy Terceiry, zostawił już był za sobą po wschodniej stronie Maderę, widział, albo mu się zdało, że widział, coś, co do czego był pewien, iż jest wyspą. Tedy po przyjeździe do Terceiry opowiedział o tym genueńskiemu kupcowi Luce di Cazanie; a że był to człek zamożny, że tegoż Diasa łączyła z nim przyjaźń, Dias począł go namawiać, by wyprawił okręt na poszukiwanie onej ziemi. Owo uległszy perswazjom przyjaciela Luca di Cazana wystarał się u króla Portugalii o pozwolenstwo. Napisał oraz do przemieszkującego w Sewilli swego brata Francesca di Cazanę, prosząc go, iżby co rychlej dla pomienionego sternika wyekwipował jeden okręt” ³⁸.

W środę, 11 października 1492 roku, marynarze z „Pinty”, jednej z trzech karawel, które tworzyły flotę Krzysztofa Kolumba, zobaczyli „trzcinę i kij, a zdołali wyłowić inny kij, nieco mniejszy; ten nosił ślady obróbki żelaznym narzędziem. Potem na kawałku trzciny [dostrzegli] ziele, które rośnie tylko na lądzie, oraz małą deszczułkę [...]. Wszyscy odetchnęli i uradowali się na widok tych oznak” ³⁹. Dwie godziny przed północą Krzysztof Kolumb zobaczył światło na horyzoncie. „Była to jakby mała, woskowa świeca, która wznosiła się i opadała, i niewiele osób wzięłoby to za wskaźnik bliskości ziemi” ⁴⁰.

Inną nieznaną prekolumbijską wyprawę hiszpańską do Ameryki miał jakoby przedsięwziąć Alonso Sanchez de Huelva, zwany przez niektórych historyków „Nieznany pilot”. Żeglarz ten trudnił się handlem morskim między Hiszpanią i Azorami, i dokonał tej wyprawy na zachód w 1481 roku. Dotarł do *Quisqueyi* (Hispanioli) i zbadał też inne wyspy: *Siboneys* (Kubę) i *Tureyqueri* (Santa Maria de Guadalupe). Przy tej drugiej stracił swój okręt, co go zmusiło do zbudowania innego i opóźniło jego powrót do Hiszpanii.

Podczas podróży do kraju burza rozbiła jego okręt na wodach Madery. Schorowany i skołatany Sanchez wraz z czterema marynarzami dostał się

na tę portugalską wyspę, gdzie wówczas mieszkał Kolumb. Tam, na łożu śmierci, Sanchez opowiedział mu o owych wyspach, a on natychmiast udał się z Madery do Hiszpanii, gdzie przedłożył Koronie swój plan odkrycia Indii. Jeżeli jest to prawdą, mogłoby to tłumaczyć pewność Kolumba co do usytuowania owych odległych ziem⁴¹. Oddajmy głos jeszcze raz Ferdynandowi Kolumbowi: „[...] teściowa dała mu też zapiski i mapy nawigacyjne, jakie się zostały po jej małżonku. Dzięki temu don Krzysztof jeszcze bardziej zapalił się do spraw morza; począł tedy wywiadywać się o podróże i wyprawy podejmowane przez Portugalczyków do Sao Jorge de Mina i dalej w podłuż wybrzeża Gwinei tudzież upodobał sobie wielce pogawarki z tymi, co w te strony jeździli [...] jednocześnie nie zaprzestawał notować rozlicznych danych, o których słyszał z ust różnych osób i marynarzów, a które w pewnym sensie mogły mu być pomocne. Zasię z wszystkich tych rzeczy umiał zrobić odpowiedni użytek i w końcu uwierzył, iż na zachód od Wysp Kanaryjskich i Zielonego Przylądka znajdują się mnogie ziemie, iż można do nich popłynąć i je odkryć”⁴².

Zaraz, jak to: „odkryć”? Przecież Chin (Kataju) i Japonii (Cipangu) nie trzeba było wcale odkrywać, bo doskonale wiedziano, gdzie leżą. Dlatego przecież celem wyprawy było odnalezienie najkrótszej drogi do Azji, a nie „odkrywanie ziem”. Skoro Kolumb był przekonany, że dotarł do znanych miejsc na wschodzie, czyli że dopłynął do Indii, Chin, Japonii, i pomimo że ziemie te miały nie tylko nazwy nadane im przez rdzennych mieszkańców, lecz także wiele nosiło już nazwy nadane przez Europejczyków, to dlaczego od razu przemianował je na Kubę, Hispaniolę, Trynidad?

Gdyby ziemie, do których miał dopłynąć, były częścią terytoriów wielkiego chana, jak mógłby je wziąć w posiadanie w imieniu Korony hiszpańskiej? Czy na prezenty dla poddanych wielkiego chana przeznaczałby szklane różańce, paciorki, lusterka, ostre nożyki, czerwone czapeczki czy inne przedmioty codziennego użytku, nieprzedstawiające praktycznie żadnej wartości? Kolumb czytał Marca Pola, znał stopień cywilizacji i kultury Indii azjatyckich. Takie dary mogłyby zostać uznane za afront, a Kolumb ryzykowałby życie⁴³.

Kronikarski obowiązek wymaga opisanego fiaska wyprawy wysłannika Marka Aureliusza, który w 166 roku po Chrystusie dotarł na dwór cesarza z dynastii Han w Changanie. Wtedy to delegacja popełniła błąd taktyczny. Wysłannik nabył bowiem po drodze atrakcyjne – w jego mniemaniu –

towary jako dary, dlatego misja okazała się niewypałem, o czym wzmiankuje *Historia późniejszej dynastii Han*, w której czytamy:

„Za panowania cesarza Huana król Ta-ts'in, An-tun, wysłał poselstwo, które dotarło do Ży-nanu [Tonkinu] za granicą. Przywiozło ono w darze wyroby z kości słoniowej, rogi nosorożca oraz żółwie skorupy. Przedmioty, jakie ofiarowało, nie były w żadnym wypadku ani rzadkie, ani cenne, i podejrzewano, że zostały one wymienione. W ten sposób doszło do pierwszego kontaktu” [44](#).

Pierwsza wizyta Rzymianina na chińskim dworze okazała się również pierwszą niezręcznością zachodniej dyplomacji w Azji. Była ona efektem błędnej oceny wysłannika cesarza Marka Aureliusza wartości towarów eksportowych z Indii, które były w Rzymie bardziej cenione niż na dworze chińskim, gdzie okazano wielkie rozczarowanie. Gdy pod koniec XVIII wieku do Chin przybył lord George Macartney, aby nawiązać stosunki handlowe, odpowiedź udzielona mu przez cesarza brzmiała: „Jak wasz poseł i inni wysłannicy mogli zauważyć, niczego nam nie potrzeba” [45](#).

Skoro wyruszał do Chin i Japonii (został przecież wyposażony w listy uwierzytelniające do zagranicznych władców oraz w dokument uświadamiający koronowanym głowom oficjalną rolę, jaką odgrywa), to dlaczego w hiszpańskim dokumencie jest mowa o wyspach i kontynentach „czekających na odkrycie, zdobycie i podbicie”? Gdyby Kolumb udał się w kierunku Azji, jak Marco Polo, nie mógłby niczym dysponować:

„Obietnice moje nie były ani próżne, ani małe. Zbawiciel Nasz wiódł kroki moje aż tutaj; oddałem pod jego władzę ziemie rozleglejsze niż Afryka i Europa, ponad 1700 wysp oprócz Hispanioli, której obwód jest większy od obwodu całej Hiszpanii [...]. odpowiedziałem Francji, Anglii, Portugalii, że te ziemie i państwa zarezerwowane były dla Króla i Królowej, naszych Władców” [46](#).

Ba, za każdym razem mowa jest o „wyspach i lądzie stałym”, nigdy o Indiach, Azji. Odpowiedź jest oczywista: Indie Kolumba nigdy nie były tymi Indiami, jakie chcieliby widzieć (świadomie bądź nie) kronikarze, nigdy nie leżały w Azji. Dlatego też nie ma mowy o żadnym zaskoczeniu czy zmieszaniu w obliczu „inności” Indian, niebędących tymi, których się powinno oczekiwać, jeśli żeglarze mieliby przybyć do krańców znanych już przecież Indii Wschodnich.

Najprawdopodobniej była to kolejna wyprawa Kolumba (albo znał relację tych, którzy spotkali miejscową ludność wcześniej), a co za tym

idzie, wiedział, że znajdzie się twarzą w twarz z przedstawicielami ludów przypominających Guanczów z Wysp Kanaryjskich, gdzie wszak bywał często. Kontrastuje to z jego nieprzerwanym podziwianiem gór, strumyków, łąk, drzew, ryb, ptaków, a przecież dokładnie studiował dzieła podróżników, którzy dotarli do Chin i Japonii. Świat „azjatyckiej” przyrody nie powinien być więc dla niego aż takim zaskoczeniem, zwłaszcza w przypadku żeglarza, który pływał do Afryki i po wschodnim Śródziemnomorzu.

Zadziwia przede wszystkim prawdziwe uwielbienie, z jakim traktuje naturę. Zależy mu z pewnością na tym, żeby przedstawić swe odkrycia w najlepszym świetle, ale te superlatywy wykraczają poza zwykły konwenans. Skutki tego widać w jego zachowaniu – kilkakrotnie przerywa podróż, aby móc podziwiać piękno. „Tak cudowny wydał mu się widok drzew, świeżość, przejrzysta woda, ptaki i urocze miejsca, że stwierdził, iż nie ma ochoty stąd wyjeżdżać” ⁴⁷.

Kolejną bzdurą jest powtarzanie, że Kolumb nawet na łożu śmierci utrzymywał, że dotarł do Azji. Takie zaślepienie nie zgadza się z wizerunkiem bystrego obserwatora i człowieka potrafiącego wyciągać trafne wnioski z tych obserwacji. Podczas trzeciej wyprawy po dziesięciu dniach żeglugi wzdłuż brzegów Ameryki Południowej sam formułuje przypuszczenie, że natknął się na nowy kontynent, „inny świat”. W dzienniku tymi oto słowami zwrócił się do Izabeli i Ferdynanda:

„Waszym Wysokościom wiadomo, że niedawno nie znano innych ziem jak te, które Ptolemeusz opisał; za moich czasów nikt nie odważył się myśleć, że można się dostać morzem z Hiszpanii do Indii. Dlatego to musiałem stracić siedem lat tłumacząc to na Waszym Dworze wobec licznych egzaminatorów [...]. Obecnie prawda się ukazała, a jeszcze wyraźniej niebawem ją ujrzemy. A jeżeli ta ziemia jest kontynentem, to wszak przedmiot godny podziwu i takim będzie dla wszystkich uczonych; nie widziano bowiem nigdy rzeki tak wielkiej, aby na odległość 48 *legua* zmieniła słoną wodę morza w słodką” ⁴⁸.

Już nie w liście samego Admirala, lecz w sporządzonym przez Las Casasa opisie jego trzeciego rejsu spotykamy przytoczone w cudzysłowie następujące słowa wielkiego żeglarza: „Wasze Wysokości zyskały takie ziemie, a jest ich tyle, że jest to INNY ŚWIAT (*otro mundo*), który całemu chrześcijańskiemu światu przyniesie radość, a wiarę naszą okryje chwałą”. Trudno w takich okolicznościach dać wiarę, że Kolumb, nawet na łożu śmierci, trwał w przekonaniu, że dotarł jednak do Indii Wschodnich. Nie

pasuje to do człowieka posługującego się twórczą wyobraźnią, otwartym umysłem i odpowiednim zasobem wiadomości, aby dotrzeć tam, gdzie zaplanował. Przecież już w 1493 roku Pietro Martire d'Anghiera w liście do kardynała Sforzy nazywa Kolumba „Odkrywcą Nowego Świata” (*Novi Orbis Repertor*).

„Być może, zarówno w roku 1498, jak i pięć lat później, gdy był u brzegów Hondurasu i Przesmyku Panamskiego – zauważył biograf odkrywcy – Admirał domyślał się, iż odkryte przez niego ziemie to jakiś inny świat, inny i nowy. Przyznać się jednak do tego nie mógł w żadnym wypadku; podobne wyznanie obróciłoby wniwecz wszystkie tezy jego projektu; to on sam oświadczyłby wówczas całemu światu, iż jego koncepcja była błędna, że utorował drogę nie do najbogatszych krajów i miast Azji, lecz do jakichś niezbyt odległych krajów, w których są nadzy Indianie i słomiane chaty” ⁴⁹.

Kolumb musiał zatem wiedzieć dużo więcej, a to stąd, że – według włoskiego historyka Ruggero Marino – była to już druga jego wyprawa. Pierwszą miał odbyć potajemnie siedem lat wcześniej, działając na zlecenie papieża Innocentego VIII wywodzącego się ze sławnej rodziny Medyceuszy, która sfinansowała całe przedsięwzięcie w nadziei znalezienia złota. Dowodem na to ma być napis na grobowcu, który głosi, że podczas jego pontyfikatu odkryty został Nowy Świat.

Tymczasem papież ten zmarł pod koniec czerwca 1492 roku, a więc na ponad trzy miesiące przed pierwszym lądowaniem Kolumba na Wyspach Bahama. Jednak po śmierci Innocentego VIII w Watykanie zaczął panować Aleksander VI, czyli sławny Rodrigo Borgia, którego rodzina pochodziła z Hiszpanii. To on darował władzę nad Nowym Światem tronowi hiszpańskiemu, tak jak jemu z kolei zawdzięczał tiarę, nie wspominając o biskupstwach Pampeluny i Walencji przeznaczonych dla jego syna Cezara i księstwie Gandii dla syna Pedra.

W efekcie z pism Kolumba usunięto wszelkie wzmianki dotyczące jego wcześniejszych podróży w kierunku zachodnim. „Odkrycie” Ameryki przesłoniło inne dokonania Kolumba, których z dzisiejszej perspektywy nie doceniamy. Już w trakcie pierwszej wyprawy dokonał trzech wyczynów. Poza odkryciem lądu znalazł najlepszy szlak morski łączący Europę z Ameryką. Już sam wybór kursu – na południe, do Wysp Kanaryjskich i dalej na zachód – był decyzją genialną, ale czy oryginalną?

Wątpliwe. Z Hiszpanii do stref zwrotnikowych Nowego Świata nie ma lepszej drogi morskiej. Od brzegów Półwyspu Pirenejskiego do Wysp Kanaryjskich płynie silny Prąd Kanaryjski. Tuż obok, na południe od owych wysp, skręca on gwałtownie na zachód i wpada do nurtu Prądu Północnorównikowego. Prąd ten przecina Ocean Atlantycki w strefie północnych pasatów, między 25 a 10 stopniem szerokości północnej, i dociera do brzegów Kuby i Florydy [50](#).

W kierunku odwrotnym, z Antyli do Hiszpanii, należy trzymać się Golfsztromu, który przecina północny Atlantyk z południowego zachodu na północny wschód i znosi statki w kierunku Azorów. Tak właśnie płynął Kolumb do domu w roku 1493, po raz drugi obierając jedyną słuszną trasę. Wykorzystywał on niewątpliwie bogate portugalskie doświadczenie – prawo prądów we wschodniej części Atlantyku żeglarze portugalscy poznali już w połowie XV wieku, a jeszcze wcześniej Baskowie.

Jak Kolumb mógł, płynąc po raz pierwszy przez Atlantyk, znać drogę tam i z powrotem na nieznanymi wodach? Kursy jego wypraw nawet dla współczesnych żeglarzy są jak ewangelia. Kolumb w 1492 roku będzie płynął jak po przetartym już szlaku przez nieznaną wodę oceanu, nie myśląc się, jakby wiedział to, czego inni nie wiedzieli. Świadczą o tym choćby wydarzenia z 7 października, kiedy eskadra nagle porzuciła dotychczasowy kurs zachodni na południowo-zachodni. Kolumb tłumaczył, że ruszył śladem niewielkiego klucza ptaków, który odleciał w tym kierunku. Ale różne gatunki ptaków widziano wcześniej i pomimo sarkania załogi Kolumb uparcie trzymał się swojego kursu:

„Następnego dnia, kiedy poza kilką petreli żadnych innych nie zobaczyli ptaków, opadły ich ciężkie wątpliwości, czyli gdzieś z boku nie zostawili jakich wysp, czyli, nie zauważywszy ich, nie przepłynęli pomiędzy nimi. Mniemając tedy, iż widziane dotąd ptactwo musiało z jednej wyspy na drugą lecieć na spoczynek, jeżeli domagać się od Admirała, iżby zboczył w prawo lub w lewo i spróbował odkryć leżące tam ziemie. Admirał jednak nie chciał dać ucha tym namowom, lecz wykorzystując sprzyjającą pogodę płynął prosto ku Indiom przez zachód; która to droga zdała się mu najpewniejsza” [51](#).

Na skutek tej zmiany wyprawa ominęła Florydę, ale skierowała się najkrótszą drogą do najbliższego lądu, jakim była wyspa Guanahani, najprawdopodobniej Samana Cay w archipelagu Bahamów. Tak naprawdę admirał postąpił tak, bo w powietrzu wisiał bunt, a on wiedział, jak daleko

znajduje się od najbliższego lądu. „Dla uspokojenia napięcia mogła wystarczyć przybrzeżna skała. Impulsywność załogi skłaniała Kolumba do pośpiechu” – konstatuje jeden z biografów ⁵².

I rzeczywiście, trzy dni po tym, jak uspokoił marynarzy, ujrzeli ląd. Mimo że Kolumb prawie nigdy się nie mylił, historycy robią wszystko, by udowodnić, że mylił się zawsze albo każde jego osiągnięcie to albo łut szczęścia, albo wręcz cud. Z pewnością niekiedy kierował się intuicją, bo miał szósty zmysł, ale nie można wszystkiego rzucić na karb przypadku i łaskowości fortuny. Jego syn Ferdynand pisze na przykład, że jego ojciec nieraz mówił swoim ludziom: „jako nie spodziewa się naleźć ziemi prędej, dopóki płynąc na zachód nie oddali się od Wysp Kanaryjskich 750 *legoa*” ⁵³.

Taki dystans to niemal dokładna odległość Wysp Kanaryjskich od Antyli... Dziwnych rzeczy jest więcej na mapie Toscanellego, którą ten uczony miał ofiarować Kolumbowi. I tak: legendarny Kataj leży na szerokości Morza Śródziemnego. Kolumb zaś żeglując wzdłuż szerokości Wysp Kanaryjskich, a po odkryciu wysp Bahama zamiast zmienić kurs na północny zachód, na Kataj, płynie na południowy zachód i trafia prosto na Kubę. Z Kuby, która jego zdaniem leżała sto *legoas* od Kataju, pożeglował znowu w przeciwnym kierunku, pod niekorzystny wiatr, i jak po sznurku trafił na Haiti ⁵⁴. Bezspornie wynika to z jego zapisków:

„Środa 19 września [...] Admirał nie chciał tracić czasu na zygzakowanie dla rozpoznania, czy znajdują się jakieś ziemie w pobliżu, był jednak przekonany, że w tych okolicach musiała się znajdować pewna liczba wysp, zarówno na północ, jak i na południe od nich (jak też istotnie było) [...] »Bowiem jeśli Bóg pozwoli, jeśli będzie można wszystko dokładnie rozpatrzeć w drodze powrotnej...« Tak sam zapisał [...].

Środa 24 października [...] »mogę tam [do Antilii] dopłynąć biorąc kurs na zachód-południo-zachód. [...] wedle globusów, które oglądałem, i rysunków map wyspa ta powinna się znajdować w tych właśnie stronach«” ⁵⁵. Jak widzimy, nic nie pozostawiał przypadkowi. Przyczyny posiadania tak zaawansowanej wiedzy wyjaśnia marginalium nr 23 w *De Imagine Mundi* Pierre’a d’Ailly’ego – dzieła, które należało do Kolumba, gdzie odnotował:

„W roku 88, w miesiącu grudniu, przybył do Lizbony Bartholomeus Didacus [Bártolomeu Dias], kapitan trzech karawel wysłanych przez króla

Portugali i do Gwinei gwoli odkrycia ziem, i opowiedział on jaśnie oświeconemu królowi, że przebył 650 *legua*, 450 na południe i 250 na północ, aż do ziemi przez niego samego nazwanej Przylądkiem Dobrej Nadziei i leżącej w Agesinbe [Etiopii]; przy pomocy astrolabium ustalono, że przylądek ów położony jest na 45 stopniu za równikiem w odległości 3100 *legua* od Lizbony, a rejs ten opisał on i utrwalił *legua* za *legua*, i sporządził mapę morską, którą widziałem na własne oczy, i wręczył ją jaśnie oświeconemu królowi, a ja przy tym byłem” [56](#).

Przecież król Jan II musiał wiedzieć, że Kolumb od trzech lat jeździ za hiszpańską parą królewską, błagając o zgodę na zorganizowanie wyprawy, więc dlaczego pozwala potencjalnemu rywalowi zapoznać się z najnowszymi dokonaniem i Portugalczyków? Mówiąc kolokwialnie: to się kupy nie trzyma. I nie ma znaczenia, że odległości podane w marginalium nr 23 przewyższają rzeczywiste półtora raza.

Całkiem możliwe, że Portugalczycy świadomie zawyżyli długość przebytej przez nich drogi, by wprowadzić w błąd konkurentów. Pytanie, czy Kolumb o tym wiedział? Biorąc pod uwagę, w jaki sposób fałszował własny dziennik z pierwszej wyprawy, odpowiedź nie powinna budzić wątpliwości, na kim wzorował się odkrywca Ameryki. Duarte Pacheco Pereira, znany ze swych dokonań bitewnych na Oceanie Indyjskim, był także geografem i kosmografem żyjącym w Lizbonie i pobierającym pensję królewską.

To on obliczył wartość stopnia geograficznego na Ziemi z marginesem błędu wynoszącym zaledwie 4% i jego wynik został poprawiony dopiero dwieście lat później. Trudno uwierzyć, że w tym samym czasie żeglarz tak wykształcony jak Kolumb, który mieszkał w Portugalii, odbywał podróże w służbie Jana II i wykorzystywał osiągnięcia nauki portugalskiej, nie umiałby przeprowadzić podobnych obliczeń [57](#).

Jego sukcesy w dziedzinie nawigacji były efektem tego, że potrafił zawsze wybrać najlepsze wiatry i odpowiednie żagle. Dał początek nawigacji opierającej się na gwiazdach i odkrył deklinację magnetyczną. Potrafił także obserwować rośliny i zwierzęta, podobnie jak ciała niebieskie, co zapewniło mu jedno z niewielu jego osiągnięć w porozumiewaniu się z ludźmi. Uwięziony przez osiem miesięcy na mieliźnie u wybrzeży Jamajki, nie mógł namówić Indian, by nadal dostarczali mu żywność za darmo. Znał jednak termin następnego zaćmienia Księżyca i oświadczył rozmówcom, że ukradnie gwiazdę nocy,

jeśli nie wypełnią jego żądań. Wobec faktu, że groźba zaczęła się spełniać, kacykowie zastosowali się do poleceń ⁵⁸.

Portugalczyki od kilku dekad buszowali po akwenach, które znajdują się w zasięgu dryfu prądów oceanicznych i powietrznych wiodących od Europy ku Ameryce. Jeżeli mówimy o sprzyjających prądach morskich, to trzeba przede wszystkim wspomnieć o Prądzie Kanaryjskim płynącym od Wysp Kanaryjskich w kierunku Brazylii oraz o Prądzie Południoworównikowym prowadzącym swe wody od Zatoki Gwinejskiej do okolic dzisiejszego Rio de Janeiro. Dzięki temu praktycznie każda jednostka pływająca miała bardzo duże szanse na dotarcie do lądu na zachodzie.

W żadnym dokumencie, który zachował się do naszych czasów, nie znajdziemy wyjaśnienia powodów, dlaczego w Tordesillas linię podziału wykreślono akurat 370 lig dalej. A przecież wyjaśnienie jest proste, ponieważ według nowych postanowień traktatu całe wybrzeże Brazylii znalazło się w sferze wpływów Portugalczyków. Jeśli stało się tak przypadkiem – w co trudno uwierzyć – to mamy do czynienia ze zbiegiem okoliczności wyjątkowo dla Portugalii pomyślnym.

Wiedząc to wszystko, łatwiej się domyślić, dlaczego Jan II pozwolił Kolumbowi opuścić Lizbonę. Polityka prowadzona przez Portugalie zakładała utrzymywanie w ścisłej tajemnicy wszystkiego, co dotyczyło odkryć i żeglugi. Portugalia musiała odkryć wcześniej Amerykę, ale nie ogłosiła tego, tak jak nie zrobiła tego w przypadku Azorów czy Madery, dopóki nie skolonizowała obu wysp. Niestety, w przypadku Ameryki nie mogła tak zrobić, bo nie dysponowała wystarczającą liczbą ludności.

1. S. Fischer-Fabian, op. cit., s. 30. [\[wróć\]](#)
2. L. Bergreen, op. cit., s. 79 [\[wróć\]](#)
3. E.S. Urbański, Hispanoameryka..., s. 259. [\[wróć\]](#)
4. E.S. Urbański, Od wikingów..., s. 237–238. [\[wróć\]](#)
5. H. Hart, Droga morska do Indii, przeł. M. Derenicz, Warszawa 1958, s. 63. [\[wróć\]](#)
6. J.P. Magidowicz, Historia poznania Ameryki Środkowej i Południowej, przeł. J. Gawlik, Warszawa 1979, s. 38. [\[wróć\]](#)
7. R. Marino, op. cit., s. 302. [\[wróć\]](#)
8. H. Hart, op. cit., s. 52–53. [\[wróć\]](#)
9. Ibidem, s. 53. [\[wróć\]](#)
10. J.G. Da Silva, op. cit., s. 292–293. [\[wróć\]](#)
11. W.H. Carroll, Izabela Katolicka – królowa Hiszpanii, przeł. J. Morka, Kobierzyce 2012, s. 264. [\[wróć\]](#)
12. Ibidem, s. 266. [\[wróć\]](#)
13. A. Piskozub, Opływanie Ziemi, Gdańsk 1994, s. 231. [\[wróć\]](#)
14. L. Bergreen, op. cit., s. 24–25. [\[wróć\]](#)
15. H. Hart, op. cit., s. 162. [\[wróć\]](#)
16. L. Bergreen, op. cit., s. 75–76. [\[wróć\]](#)
17. H. Hart, op. cit., s. 142. [\[wróć\]](#)
18. M. Małowist, op. cit., s. 178. [\[wróć\]](#)
19. J. Swiet, op. cit., s. 218. [\[wróć\]](#)
20. Ibidem, s. 195. [\[wróć\]](#)
21. Ibidem, s. 85. [\[wróć\]](#)
22. Cyt. za: S. Fischer-Fabian, op. cit., s. 47. [\[wróć\]](#)
23. M. Rosa, op. cit., s. 278. [\[wróć\]](#)
24. G. Menzies, op. cit., s. 15–16. [\[wróć\]](#)
25. J. Attali, op. cit., s. 131. [\[wróć\]](#)
26. G. Menzies, op. cit., s. 304–305. [\[wróć\]](#)
27. I.P. Magidowicz, op. cit., s. 33. [\[wróć\]](#)
28. H. Colon, op. cit., s. 78. [\[wróć\]](#)
29. D. Peres, A história dos descobrimentos portugueses, Porto 1943, s. 329. [\[wróć\]](#)
30. D.J. Boorstin, Odkrywczy. Dzieje ludzkich odkryć i wynalazków, przeł. M. Stopa, Warszawa 1998, s. 213–214. [\[wróć\]](#)
31. H. Chołaj, Kolumb, Europa i świat, Warszawa 1995, s. 69. [\[wróć\]](#)
32. I.P. Magidowicz, op. cit., s. 34. [\[wróć\]](#)
33. Ibidem, s. 34–35. [\[wróć\]](#)
34. M. Rosa, op. cit., s. 103–104. [\[wróć\]](#)
35. J.G. Da Silva, op. cit., s. 296. [\[wróć\]](#)
36. K. Kolumb, op. cit., s. 27–28. [\[wróć\]](#)
37. H. Colon, op. cit., s. 74. [\[wróć\]](#)
38. Ibidem, s. 79. [\[wróć\]](#)
39. K. Kolumb, op. cit., s. 37. [\[wróć\]](#)
40. Ibidem. [\[wróć\]](#)

41. E.S. Urbański, op. cit., s. 262–263. [\[wróć\]](#)
42. H. Colon, op. cit., s. 61–62. [\[wróć\]](#)
43. R. Marino, op. cit., s. 208. [\[wróć\]](#)
44. C.P. Fitzgerald, Chiny. Zarys historii kultury, przeł. A. Bogdański, Warszawa 1974, s. 203. [\[wróć\]](#)
45. D.J. Boorstin, op. cit., s. 183. [\[wróć\]](#)
46. K. Kolumb, op. cit., s. 236. [\[wróć\]](#)
47. Cyt. za: T. Todorov, Podróżnicy i tubylcy, [w:] Człowiek renesansu, przeł. A. Osmólska-Mętrak, Warszawa 2001, s. 347. [\[wróć\]](#)
48. K. Kolumb, op. cit., s. 213–214. [\[wróć\]](#)
49. J. Swiet, op. cit., s. 269–270. [\[wróć\]](#)
50. Ibidem, s. 163. [\[wróć\]](#)
51. H. Colon, op. cit., s. 119. [\[wróć\]](#)
52. R. Marino, op. cit., s. 204. [\[wróć\]](#)
53. H. Colon, op. cit., s. 56. [\[wróć\]](#)
54. M. Mickiewicz, op. cit., s. 201. [\[wróć\]](#)
55. K. Kolumb, op. cit., s. 31, 53 i 67. [\[wróć\]](#)
56. J. Swiet, op. cit., s. 109–110. [\[wróć\]](#)
57. M. Rosa, op. cit., s. 36–37. [\[wróć\]](#)
58. Cyt. za: T. Todorov, op. cit., s. 347. [\[wróć\]](#)

Zakończenie

Cywilizacja, której przedstawicielem był Krzysztof Kolumb, wcale nie dotarła do Nowego Świata jako pierwsza. Na obszarach obejmujących dzisiejszy Meksyk (z wyjątkiem jego północnych krańców), Amerykę Środkową, Antyle i tak zwany region andyjski w Ameryce Południowej już dużo wcześniej istniały wysoko rozwinięte kultury. Wprawdzie w porównaniu z ogromem całego kontynentu amerykańskiego obejmowały one swym zasięgiem stosunkowo niewielkie terytorium, jednak wyłącznie w jego obrębie powstały i rozwinęły się liczne i w dodatku silnie zróżnicowane kultury o najwyższym w Ameryce – przed jej „odkryciem” – poziomie. Ich twórcami były ludy prowadzące od dawna życie osiadłe, oparte na intensywnej uprawie ziemi ¹.

Problem rodowodu prekolumbijskich cywilizacji Ameryki do dzisiaj wzbudza wiele kontrowersji. Niektórzy uczeni utrzymują, że wpływ na ukształtowanie się tych kultur miały obce czynniki. Należy sobie zadać pytanie, czy istniały wcześniejsze kontakty z innymi kulturami? Ile razy tak naprawdę „odkrywano” Amerykę? Pierwszy raz miało to miejsce kilkadziesiąt tysięcy lat temu. Zasługą Kolumba jest wyłącznie ponowne, TRZECIE nawiązanie kontaktów pomiędzy dwiema półkulami.

Tak, trzecie, ponieważ po raz drugi biali ludzie postawili swoje stopy na tym kontynencie znacznie wcześniej niż w XV–XVI wieku. Czwarte „odkrywanie” trwa nadal, gdyż każdego roku na światło dzienne wydobywane są nowe znaleziska przesuwające coraz dalej wstecz początki tamtejszych kultur i rzucające nowe światło na ich korzenie.

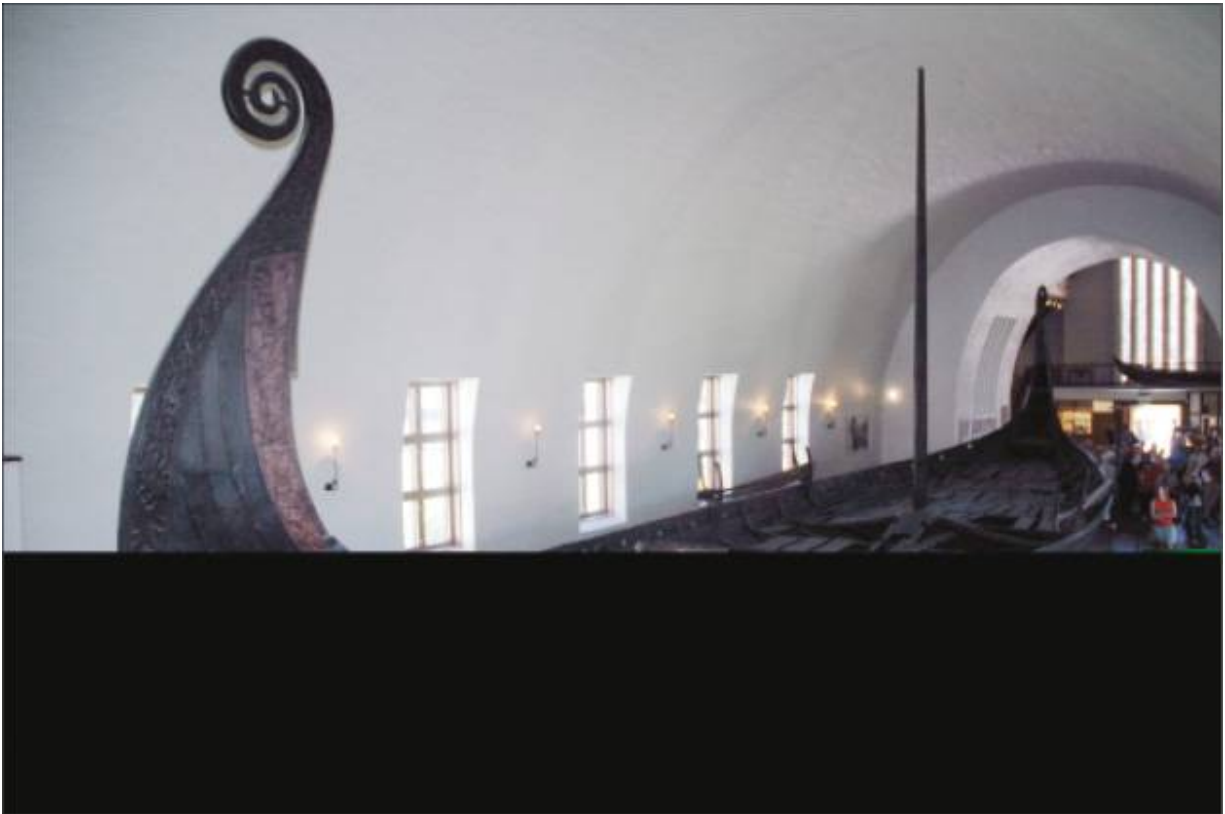
Legendy o zaginionych miastach, cywilizacjach i skarbach wciąż pobudzają naszą wyobraźnię. Działały one także na wyobraźnię wielu

śmiazków w przeszłości. Powodowani ambicją i ciekawością penetrowali pustynie, dżungle i tajemnicze regiony wspomniane w mitach. Pierwszy rejs repliką starożytnej łodzi unieśmiertelił w 1947 roku pewnego Norwega. Dla wielu z tych odkrywców wystarczającą motywacją była chęć pogłębienia wiedzy. Czym kierowali się ich poprzednicy sprzed tysięcy lat? Pchała ich chęć zysku, szerzenia wiary, przypadek?

Krzysztof Kolumb był nadzwyczaj mądrym i dzielnym człowiekiem, który popłynął w nieznane dlatego, że był przeświadczony, iż Ziemia jest okrągła i nie spadnie poza jej krawędź. Ale jego plan przepłynięcia Atlantyku nie był ani nowatorski, ani szaleńczy. Myśl o realności takiego rejsu wyrażali już antyczni historycy i geografowie, jak Pliniusz Starszy czy Plutarch. Warto wspomnieć, że Eratostenesowi, który zasłynął pierwszym dokładnym pomiarem średnicy kuli ziemskiej, inny wielki geograf starożytności z przełomu er, Strabon, przypisał następujący pogląd: „gdyby nie stał na przeszkodzie ogrom Morza Atlantyckiego, moglibyśmy przepłynąć z Iberii [Hiszpania] do Indii na tym samym równoleżniku”².

Jak widać, nawet opowieść o podróży Krzysztofa Kolumba można by rozpocząć od frazy: „Już starożytni Grecy...”.

1. M. Frankowska, *Mitologia Azteków*, Warszawa 1987, s. 14–16. [\[wróć\]](#)
2. *Geografia antyczna*, s. 166. [\[wróć\]](#)



Okręt pogrzebowy z norweskiego Oseberg



Łódź wikingów na kamieniorycie gotlandzkim Klinte Hunninge (ok. VIII w.)



W orientacji antycznym żeglarzom pomagała na przykład obecność wielorybów



Zrekonstruowana osada wikingów w L'Anse aux Meadows



Ruiny wikińskiego domostwa na Grenlandii



Replika wikińskiej jednostki



Łódź wikingów z anglosaksońskiej księgi



Kopia słonecznego kompasu



Wyobrażenie Pierzastego Węża w Teotihuacan



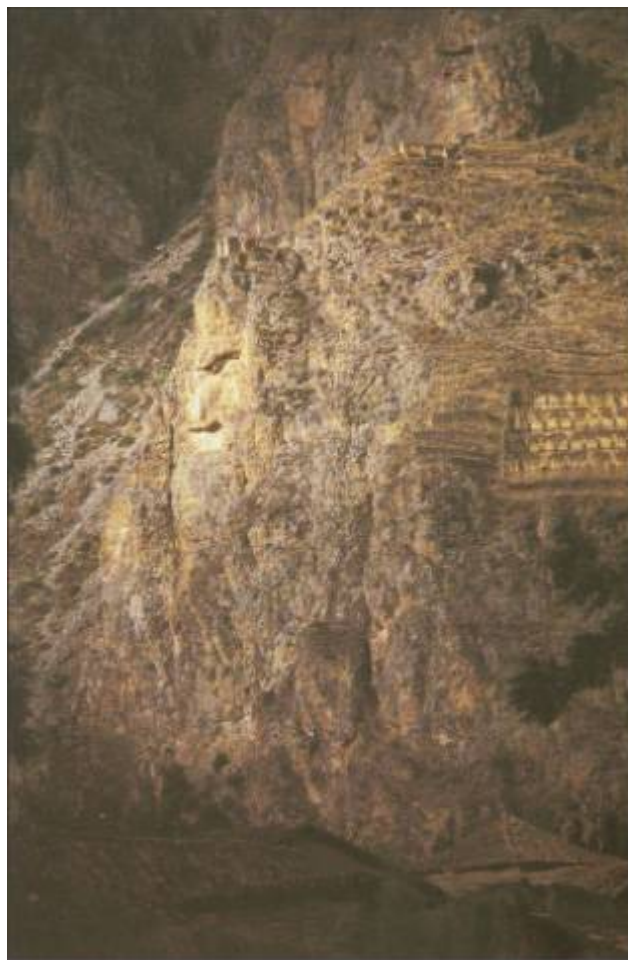
Świątynia Wirakoczy w Vinaque



Rudowłosa mumia z muzeum w Ica



Zmumifikowana głowa z rudym kosmykiem znaleziona wśród peruwiańskich piasków



Skalny portret brodatego Wirakoczy w peruwiańskim Ollantaytambo



Takie wizerunki często są odnajdywane na obszarze Mezoameryki oraz Peru



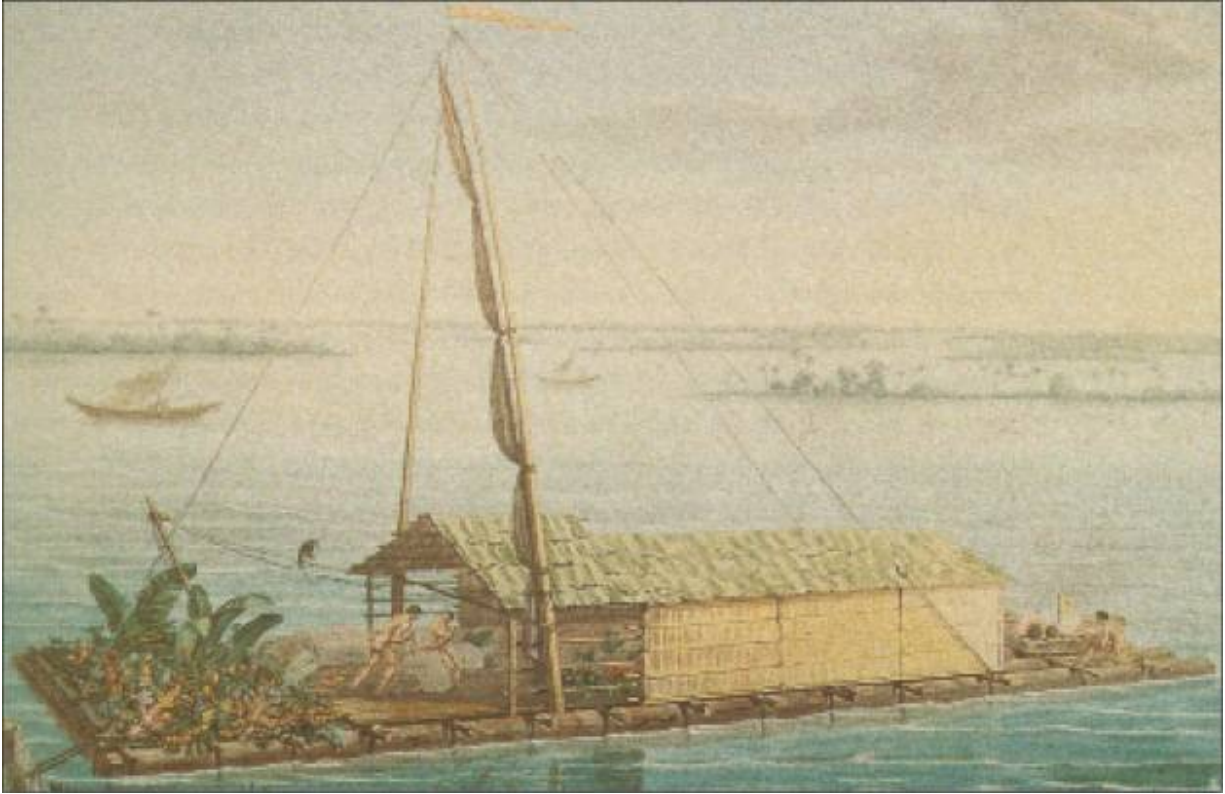
Replika ceramicznej figurki brodatego przedstawiciela Mochica



Olmecki wizerunek z Tres Zapotes w Meksyku



Model łodzi ludu Cholo z wybrzeża Ekwadoru



Takie tratwy z balsy trzysta lat po Kolumbie widział Alexander von Humboldt



Tratwa „Kon-Tiki” Thora Heyerdhala



Replika łodzi wykonanej z trzciny totora



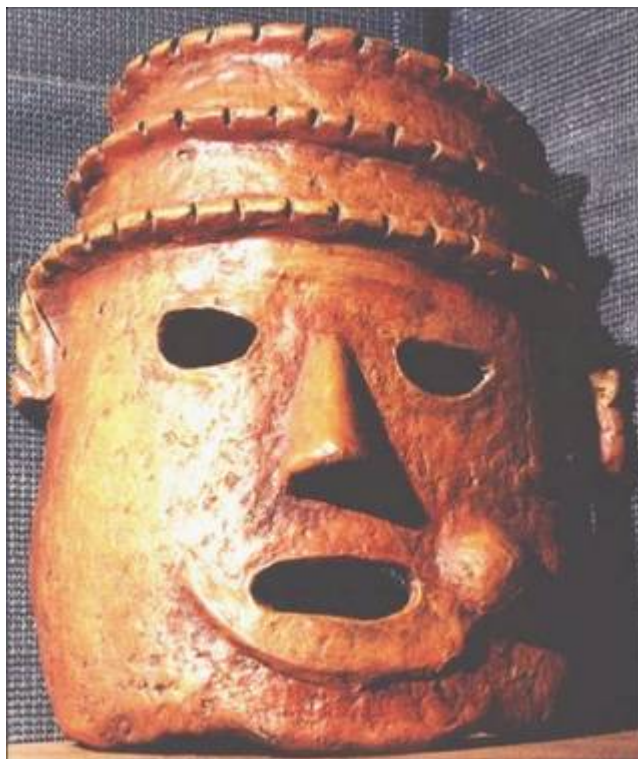
Zmumifikowane ciało Ramzesa II



Liście koki w ceremonialnym naczyniu, obok sakwa do ich przenoszenia



Prekolumbijska figurka przedstawiająca żującego kokę



Wyobrazenie żującego liście koki



Relief statku papyrusowego w egipskiej świątyni w Edfu



Autor uczestniczący w rytuale pago a la tierra



Gliniany model z wybrzeża Ameryki Południowej wskazujący na azjatyckie wpływy



Ananas na mozaice odnalezionej w Pompejach



Na samym dole wyobrażenie ananasa z okresu panowania faraona Achenatona, czyli z lat 1351–1334 p.n.e.



Minojska jednostka z XVII wieku p.n.e. na fresku z santoryńskiego Akrotiri



Rzymskie jednostki na kartagińskiej mozaice



Kukurydza w obramowaniu witraża w Rosslyn Chappel



XIII-wieczny posąg bogini z okresu dynastii Hoysala dzierzacej kolbę kukurydzy



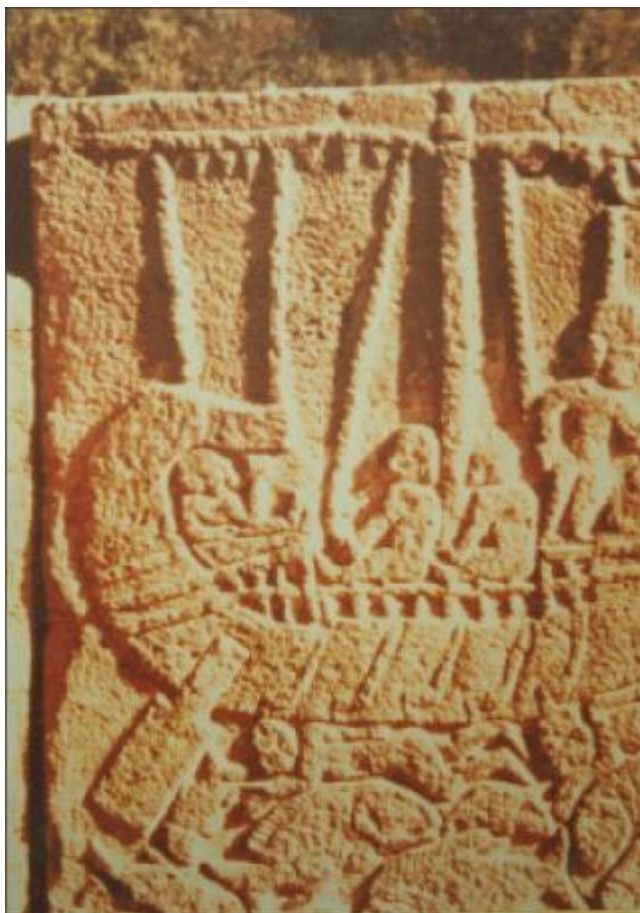
Detal z hinduskiej rzeźby przedstawiający wyobrażenie kukurydzy



Nogal del pais – podobno te owoce Kolumb pomylił z kokosem



Owoce palmy kokosowej



Jednostka fenicka na płaskorzeźbie ze ściany pałacu Sancheryba w Niniwie



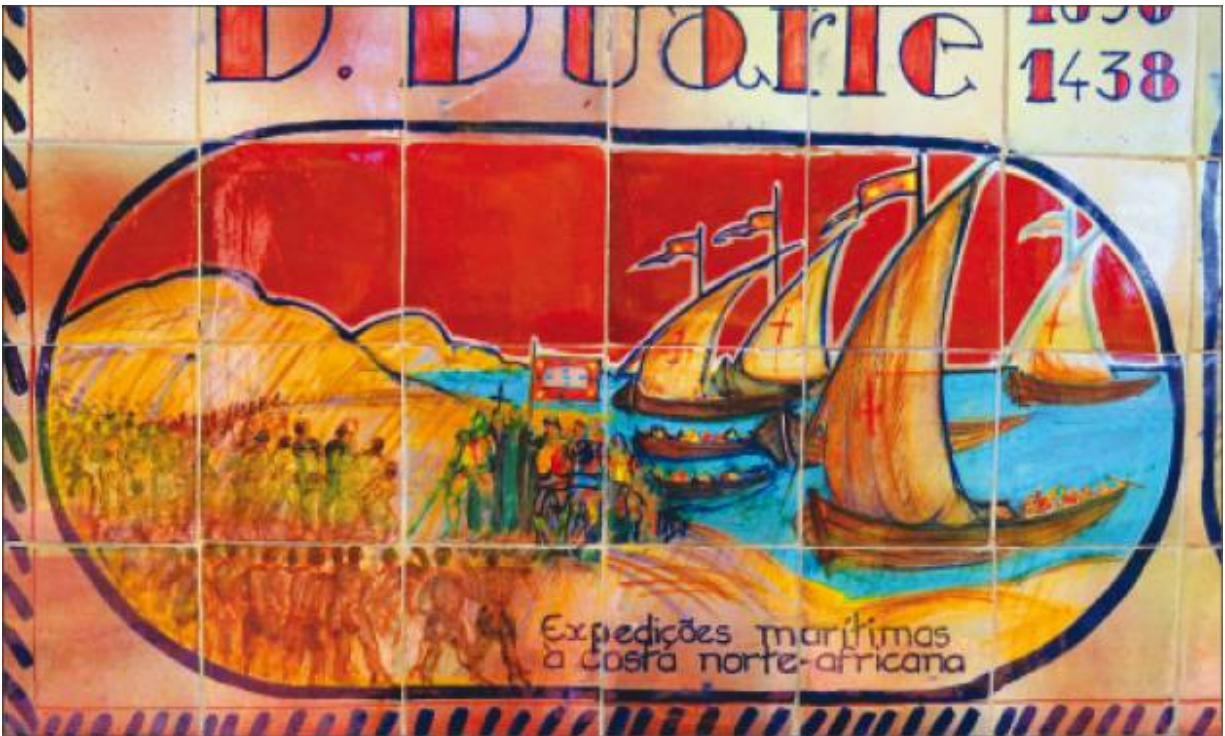
Kolosalna głowa olmecka



Msza odprawiona przez św. Brendana na grzbiecie wieloryba



Pomnik św. Brendana – Bantry w Irlandii



Portugalskie ekspedycje wzdłuż wybrzeża Afryki na portugalskich azulejos



Mural w Aveiro przedstawiający życie codzienne mieszkańców byłej portugalskiej stolicy



Autor na belemskiej mozaice w kształcie róży wiatrów z zaznaczonymi na mapie świata wyprawami



Autor u stóp Pomnika Odkrywców w Lizbonie



Suszący się stokfisz w Henningsvær na Lofotach



Suszące się ryby na plaży w portugalskim Nazaré



Współczesna dłubanka z senegalskiej wioski Kagar. Zbiory Muzeum Narodowego w Szczecinie



Łodzie rybackie na senegalskim wybrzeżu



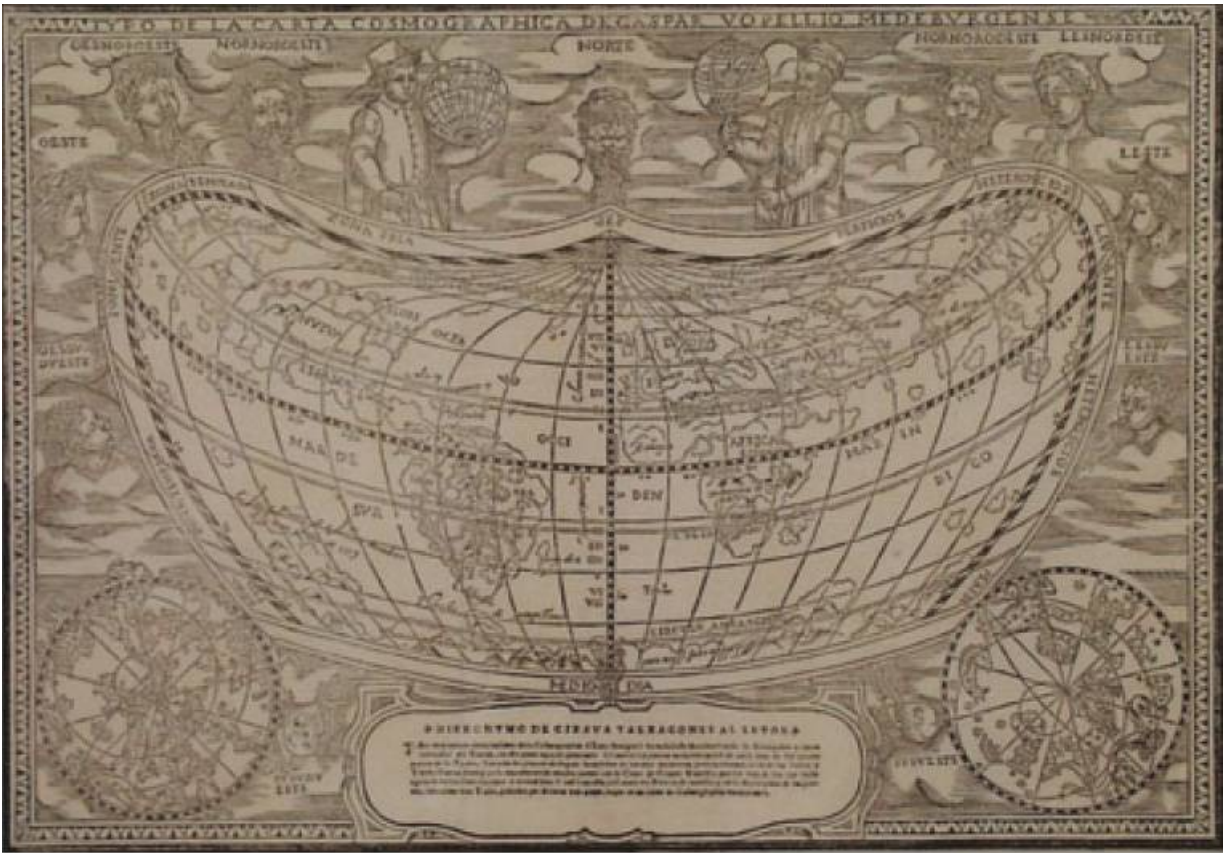
Model starożytnej jednostki arabskiej – Evergreen Marine Museum w Taipei na Tajwanie



Replika jednostki arabskiej w Al-Fahaida Fort w Zjednoczonych Emiratach Arabskich



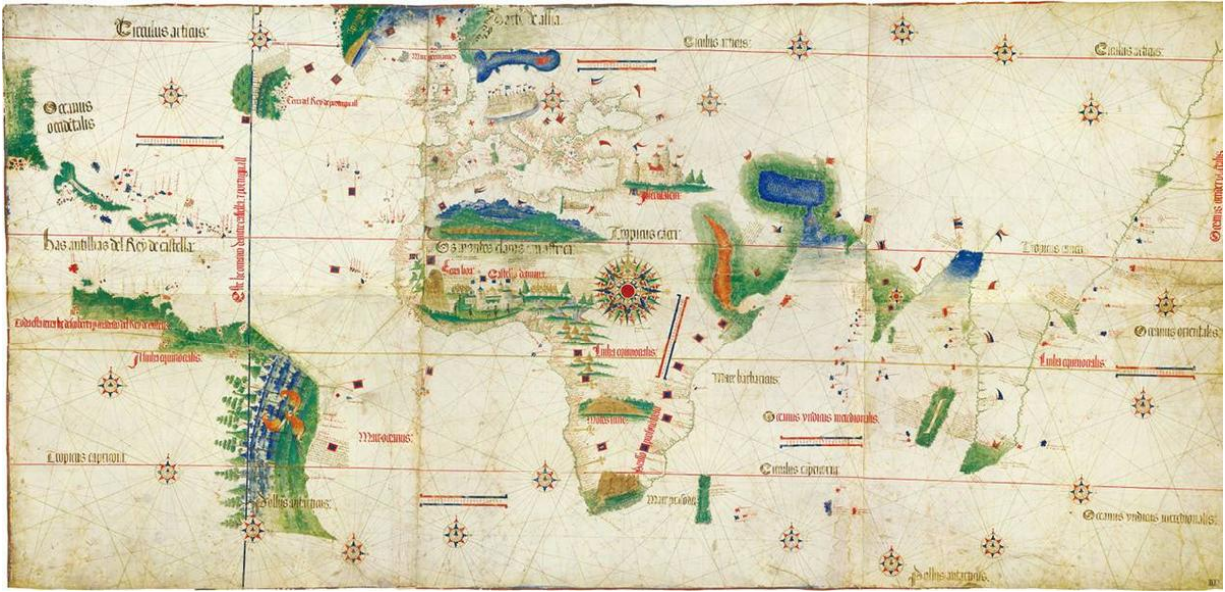
Mapa Nicolò Caveriego



Mapa Gerónimo Giravy



Mapa Fra Mauro z około 1450 roku



Planisfera Cantino z 1502 roku



Mapa Juana de la Cosa



Słynna mapa tureckiego admirała Piri Re'isa



Pomnik Krzysztofa Kolumba w Genui




Indianie na fresku Pinturicchia *Zmartwychwstanie* z 1494 roku



Autor pod pomnikiem Kolumba w Santo Domingo na Dominikanie





Autor podczas rejsu repliką „Santa Marii”

Bibliografia

Acosta de José, *The Natural & Moral History of the Indies*, transl. E. Grimston, London 1880, vol. 1.

Ambroży, *Hexaameron*, w: *Pisma starochrześcijańskich pisarzy*, t. 4, przeł. W. Szołdrski, Warszawa 1969.

Allen James M., *Atlantyda w Andach*, przeł. E. Witecka, Warszawa 1999.

Arik Sabire, *Znaczenie Kitab-i Bahriye (Księgi Mórz) Piriego Reisa w szesnastowiecznym świecie śródziemnomorskim* [w:] Portolana, *Studia Mediterranea*, vol. 4, Kraków 2009.

Attali Jacques, *1492*, przeł. E. Bąkowska, M. Pilot, H. Igalson-Tygielska, Warszawa 1992.

Azembski Mirosław, *Inny świat*, Warszawa 1966.

Baity Elizabeth Chesley, *Ameryka przed Kolumbem*, przeł. M.L. Pisarek, Warszawa 1962.

Baker John L., *Odkrycia i wyprawy geograficzne*, przeł. J. Flis, Warszawa 1959.

Baudouin Luc, Gunn Bee F., Olsen Kenneth M., *The presence of coconut in southern Panama in pre-Columbian times: clearing up the confusion*, „Annals of Botany” 2013,

<http://aob.oxfordjournals.org/content/early/2013/11/12/aob.mct244.full>; dostęp: 24.04.2015.

Bińkowski Andrzej, *Królestwo za Bramą Łez*, Warszawa 1971.

Bergreen Laurence, *Poza krawędź świata. Opowieść o Magellanie i jego przejmującym grozą rejsie dookoła ziemi*, przeł. J. Pyka, Poznań 2005.

Blond George, *Wielcy żeglarze*, przeł. J. Karczmarewicz-Fedorowska, Warszawa 1971.

Boorstin Daniel J., *Odkrywczy. Dzieje ludzkich odkryć i wynalazków*, przeł. M. Stopa, Warszawa 1998.

Braudel Fernand, *Kultura materialna, gospodarka i kapitalizm XV–XVIII wiek*, t. I, *Struktury codzienności. Możliwe i niemożliwe*, przeł. M. Ochab i P. Graff, Warszawa 1992.

Brothwell Don, *The Bog Man and the Archaeology of People*, London 1992.

Bry Thomas de, *Discovering the New World*, London 1976.

Buck Peter H., *Wikingowie Pacyfiku*, przeł. M. i A. Posern-Zieliński, Warszawa 1983.

Ca'da Mosto da Alvise, *Podróże do Afryki*, przeł. J. Szymanowska, Gdańsk 1994.

Calder Ritchie, *Spadkobiercy, opowieść o człowieku i stworzonym przez niego świecie*, przeł. J. Schwakopf, Warszawa 1965.

Camp L. Sprague de, *Wielcy i mali twórcy cywilizacji (Od Imhotepa do Leonarda da Vinci)*, przeł. B. Orłowski, Warszawa 1968.

Carroll Warren H., *Izabela Katolicka – królowa Hiszpanii*, przeł. J. Morka, Kobierzyce 2012.

Cary Max, Warmington Eric Herbert, *Starożytni odkrywcy*, przeł. B. Wojciechowski, Warszawa 1968.

Casson Lionel, *Podróże w starożytnym świecie*, przeł. A. Flasińska i M. Radlińska-Karaś, Wrocław 1981.

Casson Lionel, *Starożytni żeglarze basenu Morza Śródziemnego*, przeł. L. Teliga, Warszawa 1965.

Chołaj Henryk, *Kolumb, Europa i świat*, Warszawa 1995.

Clarke Grahame, Piggott Stuart, *Spółeczeństwa prahistoryczne*, przeł. S. Wierzbicka-Pawłowska, Warszawa 1970.

Clement Charles R., Zizumbo-Villareal Daniel, Brown Cecil H., Ward Gerard R., Alves-Pereira Alessandro, Harries Hugh C., *Coconuts in America*, „The Botanical Review” 2013, t. 79, z. 3, s. 342–370.

Colon Hernando, *Dzieje żywota i znamienitych spraw Admirala don Krzysztofa Kolumba*, przeł. A. Dukanović, Warszawa 1965.

Corteseo Armando, *The Nautical Chart of 1424 and the Early Discovery and Cartographical Representation of America*, Minneapolis 1975.

Cotterell Maurice M., *Zaginiony grobowiec Wirakoczy*, przeł. G. Gasparska, Warszawa 2002.

Crinò Sebastiano, *La scoperta della carta originale di Paolo dal Pozzo Toscanelli che servi di guida a Cristoforo Colombo per il viaggio verso il Nuovo Mondo*, „L'Universo” 1941, XXII.

Cumming William P., Skelton Raleigh A., Quinn David B., *The Discovery of North America*, Nowy Jork 1972.

Cywilizacje starożytne, red. A. Cotterell, przeł. R. Grygiel, P. Krupczyński, W. Ceran, J. Skowrońska, J. Skowroński, M. Dąbrowska, Łódź 1990.

Czerwiński Julian, *Oceaniczni wioślarze*, Gdynia 1967.

Czerwiński Julian, *Wyprawa „Tahiti-Nui”*, Gdynia 1960.

Dame Frederick W., *The Muslim Discovery of America*, Norderstedt 2013.

Dampier William, *A New Voyage Round the World*, <http://gutenberg.net.au/ebooks05/0500461h.html>; dostęp: 24.04.2015.

Davies Nigel, *Voyagers to the New World*, New York 1979.

Deloria Vine jr, *Red Earth, White Lies*, New York 1995.

Derdziuk Eugeniusz, *Mnisi iroszkoccy. Św. Kolumban Młodszy – ewangelizacja Europy*, Lublin 1997.

Deuel Leo, *Odkrywczy dawnej Ameryki*, przeł. S. Błaut, Warszawa 1990.

Diaz del Castillo Bernal, *Pamiętnik żołnierza Korteza, czyli prawdziwa historia podboju Nowej Hiszpanii*, przeł. A.L. Czerny, Łódź 1986.

Ducin Stanisław, *Sztuka nawigacji w starożytnej Grecji i w Rzymie*, Lublin 1997.

Elbanowski Adam, *Kraina Mwisów. Przewodnik po Eldorado*, Warszawa 1999.

Favier Jean, *Wielkie odkrycia od Aleksandra do Magellana*, przeł. T. Radożycki, Warszawa 1996.

Fell Barry, *America BC*, New York 1980.

Fell Barry, *Saga America*, New York 1976.

Fernández-Armesto Felipe, *Milenium. Historia ostatniego tysiąclecia*, przeł. R. Bartoń, J. Grzegorzczak, J. Polak, J. Ruszkowski, Poznań 1999.

Fernández-Armesto Felipe, *Wokół tysiąca stołów, czyli historia jedzenia*, przeł. J. Jackiewicz, Warszawa 2003.

Fiebag Peter, Gruber Elmar, Holbe Rainer, *Wielkie zagadki świata. Starożytność*, przeł. E.I. Szczepanik i K. Żak, Warszawa 2003.

Filipowiak Władysław, *Średniowieczna stolica królestwa Mali – Niani w VI–XVII wieku*, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk–Łódź 1981.

Fischer-Fabian Siegfried, *Krzysztof Kolumb. Bohater czy łotr*, przeł. M. Nowak-Kreyer, Warszawa 2006.

Fitzgerald Charles P., *Chiny. Zarys historii kultury*, przeł. A. Bogdański, Warszawa 1974.

Fitzhugh William W., Ward Elisabeth I, *Vikings. The North Atlantic Saga*, Washington 2000.

Fleks Adam, *Szkatnictwo przedwikingi w Skandynawii w latach 100–700 n.e.*, „Morze, Statki i Okręty” 2006, nr 5, s. 68–75.

Foot Peter G., Wilson David M., *Wikingowie*, przeł. W. Niepokólczycki, Warszawa 1975.

Frankowska Maria, *Mitologia Azteków*, Warszawa 1987.

Geografia antyczna, red. M.S. Bodnarskij, przeł. B. Butrymowicz, M. Golias, S. Hammer, W. Madyda, S. Mleczko, S. Oświęcimski, J. Parandowski, J. Pliszczyńska, J. Schnayder, L. Siemieński, W. Witwicki, Warszawa 1957.

Godlewski Aleksander L., *Na morzach południowych*, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk 1976.

Gordon Cyrus, *Before Columbus*, New York 1971.

Gore Rick, *Kim byli Fenicjanie*, „National Geographic” 2004, nr 10, s. 50–73.

Graves Robert, *Biała Bogini. Gramatyka historyczna mitu poetyckiego*, przeł. I. Kania, Warszawa 2008.

Graves Robert, *Mity greckie*, przeł. H. Krzeczkowski, Warszawa 1982.

Griffith Paddy, *The Viking Art of War*, London 1995.

Gurevič Aron Jukovievič, *Wyprawa wikingów*, przeł. S. Ludkiewicz, Warszawa 1969.

Hagner Charles J., *W poszukiwaniu Eldorado*, przeł. U. Dziewiątkowska, Warszawa 1998.

Hakluyt Richard, *Wyprawy morskie, podróże i odkrycia Anglików*, przeł. M. Adamczyk-Garbowska, Gdańsk 1988.

Hancock Graham, *Zwierciadło nieba*, przeł. K. Kuraszkiewicz, Warszawa 1999.

Hart Henry, *Droga morska do Indii*, przeł. M. Derenicz, Warszawa 1958.

Herrmann Paul, *Siódma minęła, ósma przemija. Przygody najwcześniejszych odkryć*, przeł. K. Rapaczyński, Warszawa 1967.

Herodot, *Dzieje*, przeł. S. Hammer, Warszawa 1954.

Heyerdahl Thor, *Aku-Aku*, przeł. J. Giebułtowicz, Warszawa 1968.

Heyerdahl Thor, *Ekspedycja Ra*, przeł. Z. Łanowski, Warszawa 1974.

Heyerdahl Thor, *Fatu Hiva*, przeł. B. Zieliński, Warszawa 1978.

Heyerdahl Thor, *Spotkanie u brzegów Ameryki. Historia pokonanych*, przeł. A. Marcinkówna, Gdańsk 1999.

Heyerdahl Thor, *Z kontynentu na kontynent. Początki żeglugi i migracji*, przeł. M. Maszkowska-Kozakiewicz, Gdańsk 1983.

Heyerdahl Thor, *Wyprawa Kon-Tiki*, przeł. J. Pański, Warszawa 1968.

Historia odkryć geograficznych. Wielcy odkrywcy i badacze Ziemi, przeł. B. Wojciechowski, Warszawa 1958.

Historia świata śródziemnomorskiego, red. B. Bennassar, D. Borne, É. Carpentier, C. Liauzu, A. Tranoy, przeł. A. Pierchała, Wrocław 2003.

Homer, *Iliada*, przeł. F.K. Dmochowski, Kraków 1972.

Homer, *Odyseja*, przeł. L. Siemieński, Warszawa 1990.

Horden Nicholas, Dresner Simon, Hillman Martin, *Nový svět*, transl. J. Stach, Praha 1987.

Humboldt Aleksander von, *Podróże po Ameryce Podzwrotnikowej*, przeł. J. Babicz, J. Petryszyn, Warszawa 1959.

Hyams Edward, *Rośliny w służbie człowieka*, przeł. J. Suska, Warszawa 1974.

Imperio Loredana, *Templari*, Ferrara 2001.

Jacobi Bernhard, *Tajemnice świątyn i pałaców*, przeł. L. Gradstein, Warszawa 1983.

Jakow Swiet, *Kolumb*, przeł. M. Kalisz, Warszawa 1979.

Joseph Frank, *Zaginiony skarb króla Juby*, przeł. G. Gasparska, Warszawa 2003.

Jundził Juliusz, *Rzymianie a morze*, Bydgoszcz 1991.

Kałasznikow Wiktor, *Atlas tajemnic i zagadek. Mity, magowie, mistycy*, przeł. B. Chmielowski, t. 1, Warszawa 2003.

Kałasznikow Wiktor, *Atlas tajemnic i zagadek. Dawne cywilizacje*, przeł. E. Pankiewicz, t. 2, Warszawa 2003.

Kay Bernhard, *Na koniec świata. Historia odkryć geograficznych*, przeł. K. Żak, Warszawa 2003.

Kolumb Krzysztof, *Pisma*, przeł. A.L. Czerny, Warszawa 1970.

Kozłowski Bolesław, *Dzieje okrętu*, Warszawa 1956.

Kronikarze kultur prekolumbijskich, przeł. M. Sten, Kraków 1988.

Krupp Edwin C., *Obserwatorzy nieba, szamani i królowie. Astronomia i archeologia mocy*, przeł. R.M. Sadowski, Warszawa 2001.

Krzak Zygmunt, *Megalithy świata*, Wrocław 2001.

Kurlansky Mark, *Dorsz. Ryba, która zmieniła świat*, przeł. J. Jackowicz, Warszawa 2004.

Landa Diego de, *Świat Apocalypso*, przeł. P. Skibiński, Radom 2006.

Lanning Edward P., *Peru przed Inkami*, przeł. R. Krzanowska, Kraków 1985.

León-Portilla Miguel, *Dawni Meksykanie*, przeł. M. Sten, Kraków 1976.

Lissner Ivar, *Zagadki wielkich kultur*, przeł. Z. Alberowa i A. Porębska, Warszawa 1990.

Lommel A., *Twórczość Indian południowoamerykańskich*, w: Dockstader Frederick J., *Sztuka Ameryki III*, przeł. E. Kuryluk, Warszawa 1977.

López Portillo y Pacheco José, *Quetzalcóatl*, przeł. D. Rycerz, Kraków 1978.

Łoposzko Tadeusz, *Starożytne podróże przez Atlantyk*, „Meander” 1969, nr 11–12.

- Łoposzko Tadeusz, *Tajemnice starożytnej żeglugi*, Gdańsk 1977.
- Machowski Jacek, *Odkrywczy Ameryki. Dzieje przedkolumbijskich kontaktów między Starym i Nowym Światem*, Warszawa 1983.
- Machowski Jacek, *Wyspa Tajemnic. Historia odkryć i badań Wyspy Wielkanocnej*, Warszawa 1966.
- Magidowicz Josif Petrovič, *Historia poznania Ameryki Środkowej i Południowej*, przeł. J. Pawlik, Warszawa 1979.
- Makarewicz Maciej, *Corte-Real: klan odkrywców Ameryki*, „Focus Historia” 2014, nr 9.
- Malinowski Bronisław, *Argonauci Zachodniego Pacyfiku. Relacje o poczynaniach i przygodach krajowców z Nowej Gwinei*, przeł. B. Olszewska-Dyoniziak i S. Szykiewicz, Warszawa 1986.
- Małowist Marian, *Europa i jej ekspansja XIV–XVII w.*, Warszawa 1993.
- Małowist Marian, *Konkwistadorzy portugalscy*, Warszawa 1976.
- Małowist Marian, *Wielkie państwa Sudanu Zachodniego w późnym średniowieczu*, Warszawa 1964.
- Marino Ruggero, *Krzysztof Kolumb*, przeł. H. Cieśla, Warszawa 2009.
- Meissner Marek, *Śladami arabskich kupców i piratów*, Warszawa 1977.
- Menzies Gavin, *1421: rok, w którym Chińczycy odkryli Amerykę i opłynęli świat*, przeł. R. Januszewski, Warszawa 2002.
- Mickiewicz Marian, *Z dziejów żeglugi*, Warszawa 1971.
- Mollat du Jourdin Michel, *Europa i morze. Tworzenie Europy*, przeł. M. Bruczkowska, Warszawa 1995.
- Montet Pierre, *Życie codzienne w Egipcie w epoce Ramessydów XIII–XII w. p.n.e.*, przeł. E. Bąkowska, Warszawa 1964.
- Morison Samuel Eliot, *Krzysztof Kolumb*, przeł. B. Wojciechowski, Warszawa 1963.
- Mortimer Golden W., *History of Coca: „The Divine Plant” of the Incas*, Honolulu 2000.
- Morze w kulturach świata*, praca zbiorowa pod red. Andrzeja Piskozuba, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk 1976.
- Moseley Michael E., *The Incas and their Ancestors*, London 2001.
- Mowat Farley, *Wyprawy wikingów. Dawni Normanowie w Grenlandii i Ameryce Północnej*, przeł. W. Niepokólczycki, Warszawa 1972.
- Niżnikiewicz Jan, *Tajemnice starożytnej medycyny*, Gdańsk 2000.
- Nowy stary świat. Wypisy geograficzne*, Warszawa 1990.

- Olaya Clara Inés, *Frutas de América. Tropical y subtropical. Historia y usos*, Santa Fe de Bogotá 1991.
- Osorio-Mrożek Susana, *Meksyk od kuchni. Książka niekucharska*, przeł. M. Raczkiewicz, Kraków 1999.
- Other Routes: 1500 Years of African and Asian Travel Writing*, red. T. Khair, M. Leer, J.D. Edwards, H. Ziadeh, Oxford 2006.
- Parry John Horace, *Morskie imperium Hiszpanii*, przeł. S. Bławat, Gdańsk 1983.
- Petroniusz, *Uczta Trymalchiona*, przeł. L. Staff, Warszawa 1986.
- Pigafetta Antonio, *Relacja z wyprawy Magellana dookoła świata*, przeł. J. Szymanowska, Gdańsk 1992.
- Piskozub Andrzej, *Leksykon morskich odkryć geograficznych*, Gdańsk 1996.
- Piskozub Andrzej, *Opływanie Ziemi*, Gdańsk 1994.
- Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu w przekładzie z języków oryginalnych*, opracował zespół biblistów polskich z inicjatywy Benedyktynów Tynieckich, Poznań–Warszawa 1971.
- Pizarro Pedro, *Relacja o odkryciu i podboju królestwa Peru*, przeł. M. Mróz, Gdańsk 1995.
- Pliniusz Starszy, *Historia naturalna*, przeł. I. i T. Zawadzcy, Wrocław 2004.
- Polo Marco, *Opisanie świata*, przeł. A.L. Czerny, Warszawa 1975.
- Popol Vuh. Księga Rady Narodu Quiché*, przeł. H. Czarnocka, C. Marrodán Casas, Warszawa 1980.
- Pringle Heather, *The Mummy Congress. Science, Obsession, and The Everlasting Dead*, New York 2001.
- Rackwitz Erich, *Szlaki w nieznane. Z dziejów odkryć geograficznych*, przeł. T. i L. Sikorscy, Łódź 1987.
- Roesdahl Else, *Historia wikingów*, przeł. F. Jaszuński, Gdańsk 2001.
- Rosa Manuel, *Kolumb. Historia nieznana*, przeł. M. Szafrńska-Brandt, Poznań 2012.
- Rose Mark, *Decoding the Megaliths*, „Archaeology” 2004, nr 7–8, s. 42–47.
- Rudgley Richard, *Alchemia kultury. Od opium do kawy*, przeł. E. Klekot, Warszawa 2002.
- Ryn Zdzisław Jan, *Medycyna indiańska*, Kraków 2007.
- Sahagún de Bernardino, *Rzecz z dziejów Nowej Hiszpanii. Księgi I, II, III*, przeł. K. Baraniecka, M. Leszczyńska, Kęty 2007.
- Seneka, *O zjawiskach natury*, w: *Pisma filozoficzne*, t. 3, przeł. L. Joachimowicz, Warszawa 1969.
- Setima Ivan van, *African Presence in Early America*, New Brunswick 1987.

- Setima Ivan van, *They Came Before Columbus*, New York 1976.
- Severin Tim, *Podróż „Brendana”*, przeł. I. Gurska, Gdańsk 1983.
- Silva Da José Gentil, *Morskie dzieje Portugalczyków*, przeł. V. Soczewińska, Gdańsk 1987.
- Skrok Zdzisław, *Kto odkrył Amerykę?*, Warszawa 1987.
- Skrok Zdzisław, *Odkrywcy oceanów*, Gdańsk 1990.
- Stingl Miloslav, *Czyciele gwiazd. Śladami zaginionych kultur peruwiańskich*, przeł. P. Godlewski, Warszawa 1985.
- Swiet Jakov, *Kolumb*, przeł. M. Kalisz, Warszawa 1982.
- Ślaski Kazimierz, *Dawni żeglarze Oceanii*, Gdańsk 1979.
- Ślaski Kazimierz, *Poprzednicy Kolumba*, Gdańsk 1969.
- Thacher John Boyd, *Christopher Columbus*, New York 1950.
- Thompson Gunnar, *Rajskie nasiona*, [w:] *Zaginiona historia starożytnych Ameryk*, red. F. Joseph, przeł. K. Kurek, Warszawa 2006.
- Thorwald Jürgen, *Dawna medycyna, jej tajemnice i potęga. Egipt, Babilonia, Indie, Chiny, Meksyk, Peru*, przeł. A. Bandurski i J. Sczaniecka, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk–Łódź 1990.
- Todorov Tzvetan, *Podbój Ameryki. Problem innego*, przeł. J. Wojcieszak, Warszawa 1996.
- Todorov Tzvetan, *Podróżnicy i tubylcy*, [w:] *Człowiek renesansu*, przeł. A. Osmólska-Mętrak, Warszawa 2001.
- Tomicki Ryszard, *Ludzie i bogowie. Indianie meksykańscy wobec Hiszpanów we wczesnej fazie konkwisty*, Wrocław–Warszawa–Kraków 1990.
- Urbańczyk Przemysław, *Normanowie*, „Archeologia Żywa” 2000, nr 1–2, s. 26.
- Urbańczyk Przemysław, *Tubylcy amerykańscy w sagach grenlandzkich*, [w:] *Wyobrażenie wroga w dawnych kulturach*, Warszawa 2007, s. 129–138.
- Urbańczyk Przemysław, *Zdobycy północnego Atlantyku*, Wrocław 2004.
- Urbański Edmund Stephen, *Hispanoameryka i jej cywilizacje. Hispanoamerykanie i Angloamerykanie*, przeł. B. Zieliński, Warszawa 1981.
- Urbański Edmund Stefan, *Od wikingów do Indian*, Ostrów Wielkopolski 1994.
- Vega Inka Garcilaso de la, *O Inkach uwagi prawdziwe*, przeł. J. Szemiński, Warszawa 2000.
- Velho Alvaro, *Relacja z wyprawy Vasco da Gamy do Indii*, przeł. E. Milewska, Gdańsk 1996.
- Vesilind Priit J., *Wikingowie*, „National Geographic” 2000, nr 5, s. 2–27.
- Vreeland James M. jr, *Powrót kolorowej bawełny*, „Świat Nauki” 1999, nr 6.

Wala Andrew J.R., *Kłamstwa, spaczenia, przemilczenia i półprawdy*, [w:] *Referaty Seminariów Antropologicznych 1990–2000*, Atlantic City–Wielichowo 2001, s. 45–70.

Wassermann Jakub, *Krzysztof Kolumb*, przeł. A. Wat, Poznań 1949.

Weiner Leo, *Africa and the Discovery of America*, Philadelphia 1920.

Wieczorkiewicz Anna, *Muzeum ludzkich ciał. Anatomia spojrzenia*, Gdańsk 2000.

Zalewska-Lorkiewicz Katarzyna, *Ilustrowane mappae mundi jako obraz świata. Średniowiecze i początek okresu nowożytnego*, Warszawa 1997.

Żegluga świętego Brendana opata, przeł. I. Lewandowski, Poznań 1992.